

# MICHAEL MOORCOCK

HISTORIA RUNESTAFFA:

## Runestaff- Magiczna aska



Fantasy

  
AMBER

MICHAEL  
MOORCOCK

RuneStaff-  
Magiczna  
aska

Przełożył  
ANDRZEJ LESZCZYŃSKI



*Dedykuję Jimowi Cawthornowi,  
który pomógł mi stworzyć tę opowieść*

# KSIĘGA PIERWSZA

*Baronowie Granbretanu - niezrównani stratedzy i rycerze o szaleńczej odwadze, gardzący własnym życiem; istoty o zepsutych duszach i chorych umysłach, pałające nienawiścią do wszystkiego, czego nie zdołały jeszcze zrujnować, wykorzystujące swą potęgę bez żadnych reguł moralnych i nadużywające siły nie mającej oparcia w sprawiedliwości - ponieśli sztandary króla Huona wzdłuż i w poprzek Europy, biorąc we władanie cały kontynent, a następnie wyruszyli na wschód i zachód, w stronę innych ziem, do których również rościli pretensje. Zdawało się, że żadna siła - czy to naturalna, czy nadprzyrodzona - nie zdoła powstrzymać fali szaleńczych, krwawych podbojów. Nikt nie potrafił stawić im czoła. Z dumą i zimnym wyrachowaniem żądali dla siebie jako daniny całych narodów i danina ta musiała zostać złożona.*

*Nieliczni mieszkańcy podbitych ziem żywili jeszcze nadzieję, a niewielu z nich ośmielało się to nawet okazywać. Pośród tej garstki nie było chyba jednak nikogo, kto odważyłby się choćby szeptem wymienić nazwę związaną nierozzerwalnie z ową nadzieją.*

*A brzmiała ona: Zamek Brass.*

*Nazwa ta mówiła bowiem sama za siebie - Zamek Brass był jedyną twierdzą, której nie udało się zająć wojownikom Granbretanu. Imiona bohaterskich mieszkańców zamku, ludzi walczących przeciwko Mrocznemu Imperium, ze szczególną nienawiścią i wściekłością wypowiadał mściwy baron Meliadus, Wielki Konstabl Zakonu Wilka, Naczelnny Wódz Armii Zdobywców. Było powszechnie wiadomym, iż wypowiedział prywatną wojnę im wszystkim, a zwłaszcza legendarnemu Dorianowi Hawkmoonowi z Koln, który poślubił pożądaną przez Meliadusa kobietę - Yisseldę, córkę hrabiego Brass.*

*Lecz mieszkańcy Zamku Brass nie zwyciężyli armii Granbretanu, zaledwie uciekli przed nimi, zniknęli wykorzystując dziwną starożytną kryształową maszynę zdolną do przenikania w inne wymiary Ziemi. Bohaterowie - Hawkmoon, hrabia Brass, Huillam d'Averc, Oladahn z Gór Bułgarskich oraz garstka obrońców Kamargu - znaleźli jedynie chwilowe schronienie, choć większość ludzi sądziła, iż odeszli na zawsze. Nikt nie miał im tego za złe; dni jednak mijały, a bohaterowie nie wracali, coraz bardziej słabła też nadzieja na wyzwolenie.*

*W bliźniaczym Kamargu, oddzielonym od rodzimego świata niezbadanymi otchłaniami przestrzeni i czasu, Hawkmoon wraz z przyjaciółmi musieli stawić czoło nowemu zagrożeniu, okazało się bowiem, że naukowcy-magicy z Mrocznego Imperium bliscy są odkrycia sposobów bądź to przeniknięcia do ich wymiaru, bądź też przeniesienia z powrotem Zamku Brass do macierzystej czasoprzestrzeni. Tajemniczy Rycerz w Czerni i Złocie doradził Hawkmoonowi i d'Avercowi, by wyruszyli na wyprawę do dziwnej, nieznannej krainy w poszukiwaniu legendarnego Miecza Świtu, mającego dopomóc im w prowadzeniu walki, a zarazem pomóc Magicznej Lasce, której - według zapewnień Rycerza - sługą był Hawkmoon.*

*Po zdobyciu różowego miecza Hawkmoon dowiedział się, iż ma popłynąć morzem wzdłuż brzegów Amareku do miasta Dnark, gdzie miał wykorzystać moc tajemniczego oręża. Ale książę sprzeciwił się, tęsknił do Kamargu i swej pięknej żony Yisseldy. Skierował statek podarowany mu przez Bewchara z Narleenu w stronę Europy, wbrew nakazom Rycerza w Czerni i Zlocie, utrzymującego, iż powinności Hawkmoona wobec Magicznej Laski - owego legendarnego artefaktu, mającego jakoby sprawować kontrolę nad losami całej ludzkości - są znacznie ważniejsze od obowiązków wobec małżonki, przyjaciół i przybranej ojczyzny. Tak więc Hawkmoon wraz z fircykowatym Huillamem d'Avercem wyruszyli na morze.*

*Równocześnie w Granbretanie baron Meliadus gniewem przyjął wydany mu przez Króla-Imperatora, w jego mniemaniu będący objawem głupoty, zakaz kontynuowania prywatnej wojny przeciwko mieszkańcom Zamku Brass. Im większymi względami króla Huona, coraz bardziej podejrzliwie traktującego udręczonego zdobywcę, cieszył się Shenegar Trott, hrabia Sussex, tym mocniej buntownicze myśli zaprzętały głowę Meliadusa. Wyruszył tropem swych wrogów do spustoszonej krainy Yel, a gdy ci znowu wymknęli mu się z rąk, ogarnięty w dwójnasób spotęgowaną nienawiścią wrócił do Londry, by tu snuć plany zemsty nie tylko na bohaterach z Zamku Brass, lecz także na nieśmiertelnym władcy, Królu-Imperatorze Huonie...*

**Wielka Historia Magicznej Laski**

# ROZDZIAŁ I

## EPIZOD W SALI TRONOWEJ KRÓLA HUONA

Gigantyczne drzwi otworzyły się i baron Meliadus, który dopiero co powrócił z Yel, wkroczył do Sali Tronowej Króla-Imperatora, by złożyć raport o swych odkryciach i zakomunikować o porażce.

Zaraz za progiem sali, której sklepienie zdawało się sięgać niebios, a odległe ściany sprawiały wrażenie, jakby obejmowały cały kraj, na drodze stanął mu podwójny szereg strażników. Wojownicy ci, należący do Zakonu Modliszki, którym dowodził sam Król-Imperator, zasłaniający twarze wielkimi, zdobionymi klejnotami owadzimi maskami, jakby z ociąganiem zaczęli rozstępować się przed nim. Z trudem opanowując wzburzenie Meliadus czekał cierpliwie, aż zrobią mu przejście.

Wreszcie ruszył energicznym krokiem przez błyszczącą wszystkimi kolorami komnatę, w której z galerii zwieszały się wielobarwne sztandary pięciuset najznamienitszych rodów Granbretanu, a wzdłuż ścian ozdobionych mozaikami ze szlachetnych kamieni ukazującymi sceny wspaniałej historii Imperium stało z każdej strony po tysiąc zamarłych w bezruchu wojowników z Zakonu Modliszki - w kierunku odległej o ponad milę Kuli Tronowej. W połowie drogi złożył ceremonialny, chociaż nieco sztywny hołd władcy.

Kiedy podnosił się z posadzki, odniósł wrażenie, że czarną kulą

wstrząsnął nagły spazm, a po chwili w nieprzejrzystym wnętrzu pojawiły się coraz liczniejsze szkarłatne i białe pasma, które w końcu całkowicie wypełniły bezdenną czerń. Fluid, przypominający barwą mieszaninę mleka z krwią, zawirował i wyklarował się, ukazując drobną, zwiniętą na kształt embriona postać w środku. Z pociętej zmarszczkami twarzy było twarde, przenikliwe spojrzenie czarnych oczu, emanujących bardzo starą, nieśmiertelną inteligencją. Był to Huon, Król-Imperator Granbretanu oraz Mrocznego Imperium, Wielki Konstabl Zakonu Modliszki, dzierżący w dłoniach losy dziesiątków milionów dusz - jego władza miała trwać wiecznie, to właśnie w jego imieniu baron Meliadus podbił całą Europę i ościenne krainy.

Z Kuli Tronowej dobył się melodyjny, młodzieńczy głos:

— Ach, nasz porywczy baron Meliadus...

Baron skłonił się ponownie.

— Wasz sługa, Książę nad Książętami - mruknął.

— Co masz nam do zakomunikowania, popędliwy Lordzie Granbretanu?

— Odniosłem sukces, Wielki Imperatorze. Zdobyłem dowód potwierdzający moje podejrzenia...

— Czyżbyś odnalazł zaginionych emisariuszy z Azjokomuny?

— Niestety nie, Szlachetny Panie...

Baron nie wiedział, że to właśnie Hawkmoon i d'Averc w przebraniu przebywali w stolicy Mrocznego Imperium. Ów sekret znany był jedynie Flanie Mikosevaar, która pomogła dwóm przyjaciółom w ucieczce.

— Zatem co cię tu sprowadza, Meliadusie?

— Odkryłem, iż ten, którego wciąż uważam za najbardziej zagrażającego naszemu bezpieczeństwu, Hawkmoon, znajdował się na naszej wyspie. Wyruszyłem do Yelu, gdzie znalazłem jego i

zdrajcę Huillama d'Averca w towarzystwie czarownika Mygana z Llandaru. Posiedli oni tajemnicę podróżowania poprzez wymiary. - Nie uważał oczywiście za stosowne dodać, że wrogowie mu umknęli. - Zanim zdążyliśmy ich pojmać, zniknęli na naszych oczach. Potężny

Monarcho, jeśli oni potrafią zjawiać się w naszym kraju kiedy i gdzie zechcą, oczywiście jest, iż nie będziemy tak naprawdę całkowicie bezpieczni, dopóki ich nie pokonamy. Proponowałbym natychmiast skierować wszystkie wysiłki naszych naukowców, a w szczególności Taragorma i Kalana, na poszukiwania i zniszczenie tych renegatów. Oni nam zagrażają...

— Czy masz jakieś nowiny o emisariuszach z Azjokomuny, baronie Meliadusie?

— Nie, jak do tej pory żadnych, Wszechmocny Królu-Imperatorze, ale...

— Z kilkoma partyzantami, baronie z Kroiden, imperium da sobie radę, ale jeśli u naszych wybrzeży pojawią się armie równie liczne, a może nawet potężniejsze od naszych, armie dysponujące ponadto wiedzą naukową, jakiej my nie posiadliśmy, wówczas, jak sam rozumiesz, możemy nie przetrwać... - tłumaczył dźwięczny głos z pełną goryczy cierpliwością.

Meliadus zmarszczył brwi.

— Nie mamy żadnego dowodu na to, że planowana jest taka inwazja, Monarcho Świata...

— Przyznaję. Ale nie mamy też dowodu, baronie Meliadusie, że Hawkmoon i jego banda terrorystów dysponują mocą zdolną do wyrządzenia nam jakichkolwiek szkód. - We fluidzie wypełniającym Kulę Tronową pojawiły się niespodziewanie lodowato błękitne pasma.



— Wielki Królu-Imperatorze. Daj mi czas i środki...

— Jesteśmy ekspansywnym imperium, baronie Meliadusie. Mamy wolę nadal poszerzać nasze granice. To byłoby bardzo smutne, gdybyśmy musieli poprzestać na tym, co mamy, nieprawdaż? Nie, to nie dla nas. Jesteśmy dumni z naszego wpływu na dzieje Ziemi. Pragniemy, by był on coraz znaczniejszy. Tymczasem ty sprawiasz wrażenie, jakbyś odnosił się z niechęcią do realizacji naszych dążeń, to znaczy do siania spustoszenia i postrachu we wszystkich zakątkach świata. Obawiamy się, że zaczniesz być małostkowy...

— Lekceważenie tych pozornie nie znaczących sił, które zdolne są pokrzyżować nasze plany, Znamienity Władco, może także zniweczyć nasze starania!

— Nie zgodzimy się na jakąkolwiek dysydencję, baronie Meliadusie. Twoja osobista nienawiść do Hawkmoona i, jak słyszeliśmy, pożądanie Yisseldy Brass są właśnie przejawami dysydencji. Ta sprawa bardzo nam leży na sercu, jeśli bowiem nie zmienisz zapatrywań, będziemy zmuszeni zrezygnować z twoich usług i wybrać kogoś innego na twoje miejsce, a ciebie może nawet wykluczyć z Zakonu Wilków...

Osłonięta rękawicą dłoń Meliadusa odruchowo uniosła się ku masce. Zostać niezamaskowanym?! Najgorsza hańba - największa spośród wszystkich zniewaga! Do tego właśnie sprowadzała się groźba króla: degradacja do najniższej kasty Londry, włączenie do szeregów niezamaskowanych wyrzutków! Barona przeszył dreszcz, ledwie zdołał opanować głos.

— Będę pamiętał wasze słowa, Imperatorze Ziemi... - mruknął w końcu.

— Pamiętaj, baronie Meliadusie. Nie chcielibyśmy oglądać upadku tak wielkiego zdobywcy z powodu kilku chmurnych

myśli. Gdybyś chciał odzyskać swą pozycję, zająłbyś się w naszym imieniu dochodzeniem w sprawie ucieczki z dworu emisariuszy z Azjokomuny.

Meliadus padł na kolana, rozrzucił szeroko ręce, a olbrzymia wilcza maska pochyliła się nisko. Oto zdobywca całej Europy składał hołd swemu panu, ale w jego głowie kłębiły się myśli buntownika. Dziękował Prawom Zakonów' za to, iż zasłaniająca jego twarz maska skrywa również malującą się na obliczu wściekłość.

Wycofał się spod Kuli Tronowej, odprowadzany ironicznym spojrzeniem błyszczących oczu Króla-Imperatora. Chwytny język wysunął się, by dotknąć klejnotu pływającego w pobliżu zmumifikowanej głowy, i po chwili mleczny fluid zawirował, zapłonął gamą kolorów, po czym zaczął stopniowo czernieć.

Meliadus odwrócił się, rozpoczynając długi marsz w stronę gigantycznych drzwi. Czuł, że wszystkie pary oczu zza nieruchomych owadzich masek spoglądają na niego ze złośliwą satysfakcją.

Kiedy minął drzwi, skręcił w lewo i niemal pobiegł korytarzami oszalałymi pałacu w kierunku apartamentów hrabiny Flany Mikosevaar z Kanbery, wdowy po Asrovaku Mikosevaarze, renegacie z Moskovii, który dowodził Legionem Sępów. Hrabina Flana była nie tylko tytułarną przywódczynią Legionu Sępów, była także - co ważniejsze - kuzynką Króla-Imperatora, jego jedyną żyjącą krewną.

## ROZDZIAŁ II

### LUDZKIE MYŚLI HRABINY FLANY

Hrabina położyła splecioną ze złotego drutu maskę czapli na lakierowanym blacie stołu i zapatrzyła się przez okno na gąszcz spiralnych, niesamowitych wież Londry. Na jej pięknej, pobladłej twarzy malowały się smutek i troska.

Przy najlżejszym poruszeniu drogie jedwabie stroju i zdobiące je klejnoty odbijały czerwonawe promyki słońca. Podeszła do szafy i otworzyła drzwi. Od czasu kiedy dwaj niezwykli goście opuścili jej apartamenty wiele dni temu, trzymała tam ich dziwaczne przebrania. W tych szatach Hawkmoon i d'Averc występowali na dworze jako książęta Azjokomuny. Zastanawiała się teraz, gdzież oni mogą być. Szczególnie tęskniła za d'Avercem, który zapałał do niej miłością.

Flana, hrabina Kanbery, miała już tuzin małżonków i dziesiątki kochanków - pozbywała się ich takim czy innym sposobem, traktując mniej więcej tak samo, jakby wyrzucała parę zniszczonych pończoch. Ale nigdy nie zaznała miłości, nie doświadczyła wrażeń znanych większości ludzi, a nawet szlachcie Granbretanu.

D'Averc, ów fircykowaty renegat bez przerwy epatujący swymi fikcyjnymi dolegliwościami, zdołał jednak obudzić w niej te uczucia. Możliwe, że dotychczas była oziębła dlatego, iż przebywała w otoczeniu ludzi nienormalnych - delikatna, zdolna

do poświęcenia w miłości, obracała się wśród Lordów Mrocznego Imperium, dla których podobne cechy były niezrozumiałe. Niewykluczone, że d'Averc, delikatny, subtelny i wrażliwy, wyrwał ją z apatii powodowanej nie brakiem ducha, lecz jego wielkością - wielkością, która nie mogła się objawić pomiędzy obłąkanymi, egoistycznymi, perwersyjnymi ludźmi wypełniającymi dwór króla Huona.

Teraz - jak gdyby obudzona ze snu - hrabina Flana nie mogła pogodzić się z otaczającym ją horrorem, nie była w stanie znieść rozpaczki na myśl o tym, że jej kochanek nigdy nie wróci, że być może jest już martwy.

Zamykała się w swych apartamentach unikając kontaktów z ludźmi, lecz nawet jeśli tym sposobem mogła zapomnieć o otaczającym ją koszmarze, to przecież coraz bardziej pogrążała się w smutku. Po gładkich policzkach Flany spłynęły łzy, otarła je perfumowaną, jedwabną chustką. Do komnaty weszła pokojówka i zawahała się na progu. Hrabina odruchowo sięgnęła po maskę czapli.

— O co chodzi?

— Przybył baron Meliadus z Kroiden, pani. Mówi, że chciałby porozmawiać w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

Flana wsunęła maskę na głowę i umocowała ją na karku.

Przez chwilę jakby zastanawiała się nad słowami dziewczyny, po czym wzruszyła ramionami. Jakież to miało znaczenie, czy poświęci kilka minut Meliadusowi? Niewykluczone, że miał jakieś wieści o d'Avercu, do którego pałał nienawiścią. Może dzięki paru wybiegom uda jej się wydobyć z niego informacje. A jeśli chciał jedynie spędzić z nią noc, tak jak przy poprzednim spotkaniu?

Cóż, będzie musiała odprawić go z kwitkiem, jak czyniła to już

zresztą niejednokrotnie.

Pochyliła nieco pięknie zdobioną maskę czapli i powiedziała:

— Proszę wpuścić barona Meliadusa.

## ROZDZIAŁ III

### HAWKMOON ZMIENIA KURS

Wielkie żagle wydymały się na wietrze. Niebo było czyste, a spokojne morze przypominało nieskończoną taflę błękitu, po której statek sunął bez przeszkód. Wiosła wciągnięto do środka. Sternik zerkał na główny pokład w oczekiwaniu rozkazów. Odziany w pomarańczowo-czarny strój bosman wkroczył na pokład rufowy i podszedł do Hawkmoona wbijającego wzrok w pustkę oceanu.

Wiatr rozwiewał złote włosy księcia z Koln i unosił poły jego aksamitnego płaszcza w kolorze wina. Przeżycia z pól bitewnych i zmienne koleje losu odcisnęły piętno na rysach jego twarzy, ale przystojne oblicze szpecił jak dotąd jedynie matowy czarny kamień tkwiący pośrodku czoła. Z posępną miną odpowiedział na pozdrowienie bosmana.

— Wydałem rozkazy, by trzymać kurs na wschód, wzdłuż wybrzeża, panie - oznajmił marynarz.

— Kto kazał obrać ten kurs, bosmanie?

— Nikt, panie. Przyjąłem po prostu, że jeśli mamy żeglować do Dnarku...

— Nie płyniemy do Dnarku, proszę przekazać to sternikowi.

— Ale ten dziwny rycerz, którego pan nazywał Rycerzem w Czerni i Złocie, powiedział..

— On nie jest moim władcą, bosmanie. Popłyniemy za morze,

do Europy.

— Do Europy?! Wiesz, panie, że po ocaleniu Narleenu pożeglujemy, dokąd pan rozkaże, i pójdziemy za panem wszędzie, ale czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jaki dystans musimy pokonać, żeby dotrzeć do Europy? Jak długo trzeba płynąć, ile sztormów...?

— Owszem, wiem o tym. Niemniej pożeglujemy do Europy.

— Wedle rozkazu, panie. - Bosman zmarszczył brwi, lecz bez słowa odwrócił się i poszedł przekazać polecenia sternikowi.

D'Averc wyszedł spod pokładu, gdzie mieściła się jego kabina, i wspinał się właśnie po schodkach w stronę Hawkmoona. Ten powitał go uśmiechem.

— Czy dobrze spałeś, przyjacielu?

— Na tyle, na ile to możliwe w tej huśtającej balii. Zwykle cierpię na dolegliwą bezsenność, Hawkmoonie, ale udało mi się zdrzemnąć przez kilka chwil. Chyba niczego więcej nie można się było spodziewać w tych warunkach.

Księżę wybuchnął śmiechem.

— Kiedy zjrzałem do ciebie godzinę temu, chrapałeś jak smok.

— Ach tak! - Francuz uniósł brwi w zdumieniu. - Słyszałeś zatem, jak ciężko oddycham? Próbowałem zachowywać się najciszej, jak potrafię, ale z powodu przeziębienia, nękającego mnie od chwili wejścia na pokład, przychodzi mi to z olbrzymim trudem. - Przytknął do czubka nosa niewielki skrawek płótna.

D'Averc miał na sobie strój z jedwabiu - luźną niebieską koszulę i obszerne szkarłatne spodnie, zebrane ciężkim, szerokim skórzanym pasem, dźwigającym miecz oraz sztylet. Wokół spalonej na brąz szyi zawiązał wielką purpurową chustę, a włosy zebrał w tyle głowy przepaską w kolorze spodni. Na jego pociągłej, niemal ascetycznej twarzy widniał zwykły dla niego

sarkastyczny grymas.

— Czy dobrze słyszałem z dołu? - zapytał. - Wydałeś bosmanowi polecenie, by skierował statek do Europy?

— Owszem.

— Nadal masz zamiar wrócić do Zamku Brass i zignorować to, co powiedział Rycerz w Czerni i Złocie o twoim przeznaczeniu? O tym, że powinieneś zawieźć ten miecz do Dnarku, gdzie miałyby on służyć wypełnianiu woli Magicznej Laski? - d'Averc wskazał wiszący u boku Hawkmoona olbrzymi różowy obusieczny miecz.

— Przede wszystkim winien jestem wypełniać obowiązki wobec siebie i moich bliskich, a dopiero potem spełniać wolę jakiegoś artefaktu, w którego istnienie poważnie wątpię.

— Tak samo nie wierzyłeś przedtem w moce zaklęte w tej głównej, w Mieczu Świtu - zauważył z kwaśną miną Francuz. - Lecz sam się przekonałeś, że wyczarował z powietrza wojowników, którzy ocalili nam życie.

Na twarzy Hawkmoona pojawił się wyraz zaciętości i uporu.

— Przyznaję - odparł z ociąganiem - lecz nie zmienia to faktu, że chciałbym wrócić do Zamku Brass, o ile to możliwe.

— Nie wiesz nawet, czy leży on w tym wymiarze, czy w innym.

— Mam tego świadomość. Mogę jedynie łudzić się nadzieją, że jesteśmy w tym samym wymiarze - odparł stanowczo książę Koln, dając wyraz swej niechęci do dalszej dyskusji na ten temat. D'Averc stał jeszcze przez chwilę z zachmurzonym czołem, po czym zbiegł na główny pokład i poszedł w stronę dzioba pogwizdując.

Przez pięć dni przemierzali gładki jak stół ocean, rozwiniawszy dla uzyskania maksymalnej prędkości wszystkie żagle.

Szóstego dnia do stojącego na dziobie Hawkmoona podszedł bosman i wskazał ręką na wschód.



— Czy widzisz, panie, to ciemne niebo na horyzoncie? To silny sztorm, a my płyniemy prosto w tamtym kierunku.

Księżę zapatrzył się w dal.

— Sztorm, powiadasz? Wygląda nieco dziwnie.

— To prawda, panie. Czy mam rozkazać zwinąć żagle?

— Nie, bosmanie. Podpłynmy bliżej i przekonajmy się, cóż to takiego.

— Wedle rozkazu, panie. - Bosman zszedł z powrotem na główny pokład, kręcąc ze zdumienia głową.

W kilka godzin później wyłoniła się przed nimi ponura, miejscami ciemnoczerwona, miejscami purpurowa ściana przecinająca morze od horyzontu po horyzont. Dźwigała się wysoko w górę, a powyżej niej widniało niezmiennie błękitne, pogodne niebo. Morze było niezwykle spokojne, tylko wiatr zelżał nieco. Wyglądało tak, jakby żeglowali po jeziorze, którego strome brzegi wznosiły się wysoko pod niebiosami.

Wśród załogi zapanował niepokój, a w głosie bosmana, który ponownie stanął u boku księcia z Koln, wyraźnie brzmiał strach.

— Czy mamy płynąć dalej, panie? Nigdy nie słyszałem o czymś takim, nigdy nie zetknąłem się z podobnym przypadkiem. Załoga zaczyna się denerwować, a muszę przyznać, że ja także.

Hawkmoon ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Jest to istotnie coś bardzo dziwnego. Mam wrażenie, że to wytwór sił nadprzyrodzonych, a nie zjawisko naturalne.

— Tak samo mówią ludzie, panie.

Księżę, gotów na wszystko, miał wielką ochotę popłynąć dalej, ale był odpowiedzialny za całą załogę, składającą się wyłącznie z ochotników, którzy podjęli ryzyko żeglowania pod jego rozkazami z wdzięczności za uwolnienie ojczystego miasta, Narleenu, od Pirackiego Lorda, Valjona ze Starvelu,

poprzedniego właściciela Miecza Świtu. Westchnął głośno.

— Dobrze, bosmanie. Zwiniemy wszystkie żagle i zatrzymamy się na noc. Może rano, jeśli dopisze nam szczęście, ujrzymy wolną drogę.

— Dziękuję, panie - rzekł marynarz z wyraźną ulgą.

Hawkmoon odwzajemnił salut i odwrócił się, zatapiając spojrzenie w gigantycznej ścianie. Czy były to zbite chmury, czy też coś innego? Odniósł wrażenie, że znacznie się ochłodziło. Słońce nadal świeciło jasno, ale jego promienie najwyraźniej nie docierały do posępnej ściany.

Panowała niezwykła cisza. Zaczął się zastanawiać, czy podjął słuszną decyzję, zawracając statek z kursu do Dnarku. O ile wiedział, do tej pory nikt z wyjątkiem starożytnych żeglarzy nie przepłynął oceanu. Kto mógł przewidzieć, jakie straszliwe niespodzianki czekały ich w trakcie tej drogi?



Zapadła noc, lecz wznosząca się w oddali olbrzymia, przytłaczająca ściana wciąż była widoczna - jej intensywne kolory, czerwień i purpura, przebijały się przez mrok. Nawet te barwy niewiele miały wspólnego z normalnymi właściwościami światła. Hawkmoon poczuł się nieswojo.



Rankiem ujrzeli, że ściana jak gdyby przesunęła się w ich stronę, dość znacznie ograniczając przestrzeń spokojnego, błękitnego morza. Księciu przyszło na myśl, że zostali schwytani w pułapkę zastawioną przez gigantów albo jakieś nadprzyrodzone moce.

Ubrany w ciężki płaszcz, który niewiele chronił przed zimnem,

Hawkmoon o świcie przechadzał się nerwowo po pokładzie. Wkrótce wyszedł także d'Averc. Miał na sobie co najmniej trzy płaszcze, a mimo to trząsł się ostentacyjnie.

— Rzeński poranek, Hawkmoonie.

— Owszem - przyznał książę Koln. - Co o tym sądzisz, d'Avercu?

Francuz pokręcił głową.

— Wygląda to raczej groźnie. Ale oto i nasz bosman.

Odwrócili się obaj na powitanie marynarza. Ten również owinięty był płaszczem z grubej skóry, używanym zwykle podczas silnych sztormów.

— Może pan to jakoś wyjaśnić, bosmanie? - zapytał d'Averc.

Marynarz zaprzeczył ruchem głowy, po czym zwrócił się do Hawkmoona:

— Mam przekazać, że bez względu na okoliczności ludzie są do pańskiej dyspozycji. Gotowi nawet na śmierć, jeśli zajdzie konieczność.

— Zdaje się, że wszyscy są w ponurym nastroju. - D'Averc uśmiechnął się. - Właściwie trudno ich za to winić.

— Istotnie, panie. - Na okrągłej, sympatycznej twarzy bosmana pojawiła się desperacja. - Czy mam wydać rozkaz rozwinięcia żagli, panie?

— To chyba lepsze, niż czekać w miejscu, aż ów fenomen zbliży się do nas - odparł Hawkmoon. - Postawcie żagle, bosmanie.

Padły odpowiednie komendy i ludzie zaczęli się wspinać po linach, rozwijać płótna, mocować sznury. Żagle wypełniły się wiatrem i statek powoli, jakby z ociąganiem, ruszył na spotkanie zbitej ściany niby-chmur.

Niemal równocześnie ciemna masa przed dziobem poczęła burzyć się i kłębić. Ściana poczerniała, a ze wszystkich stron

dobiegał do statku dziwny, zawodzący dźwięk. Ludzie z trudem walczyli z ogarniającą ich paniką, wielu marynarzy zamarło w bezruchu na wantach, przyglądając się niezwykłemu zjawisku. Zaniepokojony Hawkmoon pochylił się do przodu.

Nagle mroczne ściany zniknęły!

Książkę wciągnął głęboko powietrze.

Dookoła, tak jak poprzednio, widniało spokojne morze. Wśród załogi podniosły się okrzyki i wiwaty. Hawkmoon zauważył, że oblicze d'Averca pozostało jednak zasępione. On sam również miał przeczucie, że niebezpieczeństwo nie minęło. Oparł się ciężko na relingu i zapatrzył w dal.

Nagle spod wody wychynęła olbrzymia bestia.

Wiwaty natychmiast przemieniły się w okrzyki strachu. Wszędzie dokoła zaczęły wynurzać się kolejne potwory. Były gigantyczne, o rozdziawionych czerwonych paszczach z potrójnymi szeregami zębów. Po oślizgłej skórze spływały strumienie wody, a błyszczące oczka emanowały nieludzkim, zatrważającym okrucieństwem. Wśród ogłuszającego łopotu jedna po drugiej gigantyczne bestie zaczęły wzbijać się w powietrze.

— Już po nas, Hawkmoonie - zauważył filozoficznie d'Averc sięgając po miecz. - Szkoda, że nie będziemy mogli po raz ostatni rzucić okiem na Zamek Brass i po raz ostatni ucałować usta kobiet, które darzymy miłością.

Ale przyjaciel nie słuchał go. Czynił gorzkie wyrzuty losowi, który zdecydował, że jego żywot dobiegnie kresu na tym bezbrzeżnym oceanie i nikt nie będzie wiedział ani gdzie, ani w jaki sposób Hawkmoon poniósł śmierć.

## ROZDZIAŁ 10

### ORLAND FANK

Cienie olbrzymich stworów przesuwają się tu i tam po pokładzie, a powietrze wypełnił łopot ciężkich skrzydeł. Hawkmoon z zimną obojętnością spoglądał w górę na pikującą ku niemu z rozwartą paszczą bestię, przygotowując się na rychłą śmierć. Ale monstrum wzbiło się ponownie w powietrze, trąciwszy jedynie najwyższy maszt.

Z napiętymi nerwami i naprężonymi muskularni Dorian Hawkmoon sięgnął po Miecz Świtu - oręż, którego żaden inny człowiek poza nim nie mógł dzierżyć. Zdał sobie jednak sprawę, że nawet niezwykle moce zaklęte w mieczu nie zdadzą się na nic w zetknięciu z kolosalnymi potworami; nie musiały atakować ludzi - wystarczyłoby kilka ciosów ich łap, by posłać statek na dno. Okręt zakołysał się w podmuchach wywołanych uderzeniami ogromnych skrzydeł, a ludzi owionął fetor gadzich oddechów.

D'Averc zmarszczył brwi.

— Dlaczego nie atakują? Czyżby chciały się nami zabawić?

— Możliwe - odparł Hawkmoon przez zaciśnięte zęby. - Czemu nie miałyby zaznać przyjemności zabawy nami, zanim zaczną nas niszczyć. Francuz skoczył z wyciągniętym mieczem naprzeciw wielkiego, opadającego ku niemu cienia, ale stwór uniósł się z powrotem w górę, nim jeszcze stopy człowieka ponownie dotknęły pokładu. D'Averc skrzywił się z niesmakiem.

— Fuj! Co za smród! Na pewno odbije się to na stanie moich

płuc.

Nagle jeden za drugim potwory zaczęły pikować i uderzać w burtę statku ogromnymi, błoniastymi skrzydłami. Szkunierem zatrzęsło, ludzie z wrzaskiem spadali z wantów na pokład. Hawkmoon i d'Averc zatoczyli się i chwycili mocno relingu, żeby nie runąć na deski.

— One odwracają statek! - wykrzyknął zdumiony Francuz. - Jakby chciały zawrócić nas z drogi!

Księżę ponurym wzrokiem spoglądał na przerażające stworzenia i nie odzywał się. Wkrótce statek został obrócony w przybliżeniu o osiemdziesiąt stopni, a bestie wzbiły się w niebo i poczęły zataczać nad nimi koła, jak gdyby zastanawiały się nad dalszym postępowaniem. Hawkmoon patrzył wprost w błyszczące oczka, próbując doszukać się w nich przebłysków inteligencji i choć w najmniejszym stopniu pojąć intencje zadziwiających stworów, lecz było to niemożliwe. W końcu odleciały daleko za rufę, zaraz jednak zawróciły i ruszyły ponownie w stronę statku.

Leciały teraz w zwartej formacji, a ruch ich skrzydeł powodował tak silne podmuchy powietrza, że nawet Hawkmoon i d'Averc nie byli w stanie utrzymać się na nogach i padli, wciskając twarze w deski pokładu. Żagle wydeły się na sztuczny wiatr i Francuz krzyknął ze zdumienia:

— O to im chodzi! Popychają statek w kierunku, który same wybrały! To niewiarygodne!

— Płyniemy z powrotem w stronę Amareku - rzekł Hawkmoon, usiłując stanąć na nogach. - Ciekaw jestem...

— Czymże one się żywią?! - krzyknął d'Averc. - Pewnie nie starają się zjeść niczego takiego, po czym nie cuchnęłoby im z paszczy! Ohyda!

Książę zdobył się na krzywy uśmiech.

Stłoczeni na pokładzie wiosłowym marynarze wychylali głowy przez luki, posyłając lękliwe spojrzenia monstrualnym bestiom, które uderzeniami skrzydeł popychały statek.

— Może w tamtym kierunku znajdują się ich gniazda? - podsunął myśl Hawkmoon. - Może mamy stanowić pokarm dla młodych, a one wolą żywe ofiary?

D'Averc sprawiał wrażenie obrażonego.

— To dość prawdopodobne, przyjacielu. Niemniej uważam za nietakt z twojej strony wypowiedzianie tego typu sądów...

Książę uśmiechnął się smutno.

— Jeśli mają gniazda na lądzie, będziemy mogli przynajmniej stawić im czoło - rzekł. - Na otwartym morzu nie mamy żadnych szans przeżycia.

— Jesteś optymistą, książę Koln...



Przez ponad godzinę niezwykle potwory popychały statek, nadając mu karkołomną szybkość. W pewnym momencie Hawkmoon bez słowa wskazał ręką horyzont przed dziobem.

— Wyspa! - krzyknął d'Averc. - Zdaje się, że miałeś rację!

Z morza wyłaniała się niewielka, całkowicie pozbawiona roślinności wysepka o urwistych brzegach, ponad którymi wznosił się skalisty szczyt. Przypominała czubek góry pogrążonej w oceanie.

Nagle nowe niebezpieczeństwo poraziło Hawkmoona.

— Skąły! Płyniemy prosto na nie! Załoga, na stanowiska! Sternik... - Sam rzucił się do steru, zacisnął dłonie na kole i desperacko próbował zmienić kurs statku, by nie rozbić go na rafach.

D'Averc przyłączył się do niego, pomagając obracać kołem. Wyspa błyskawicznie rosła im w oczach, a uszy wypełnił brzmiały niczym wyrok szum fal rozbijających się o głazy.

Bardzo powoli zdołali wykręcić. Skalne falezy zawisły niemal nad ich głowami, a rozbryzgi fal zmoczyły ubrania ludzi. Nagle rozległ się straszliwy odgłos rozpruwanego poszycia - belki prawej burty poniżej linii zanurzenia trzaskały w zetknięciu z podwodnymi rafami.

— Ratuj się, kto może! - krzyknął Hawkmoon, ruszając wraz z d'Avercem biegiem ku relingom. Statek szarpnął, odskoczył w bok niczym żywa istota, a wszystkie sprzęty poleciały w stronę prawej burty. Potłuczeni lecz nadal przytomni dwaj przyjaciele poderwali się na nogi, zawahali przez moment, po czym skoczyli w czarną kipieli oceanu.

Hawkmoon poczuł, że ciężar olbrzymiego miecza ściąga go na dno. Poprzez spienione fale dostrzegał sylwetki pływających ludzi, huk przyboju zdawał się ogłuszać. Nie wypuścił jednak z dłoni Miecza Świtu. Pograżając się pozwolił zdołać wsunąć go do pochwy, po czym zebrał wszystkie siły, by z dodatkowym obciążeniem wynurzyć się na powierzchnię.

W końcu wypłynął pośród fal. Pochwycił mroczny cień górującego nad nim statku. Morze znacznie się uspokoiło, wiatr ucichł niemal całkowicie, a huk przyboju zmienił w lekki szum. W miejsce rozbrzmiewającej jeszcze przed chwilą kakofonii zapanowała niezwykła cisza. Popłynął w kierunku płaskiej skały i po chwili wdrapał się na suchy ląd.

Spojrzał za siebie.

Monstrualne stwory nadal zataczały nad nimi koła, ale wzbiły się wysoko, jakby nie chciały więcej wywoływać wiatru uderzeniami skrzydeł. Po pewnym czasie uniosły się jeszcze



wyżej, zbiły w gromadę, a następnie zanurkowały ku falom, oddalając od wyspy.

Jeden po drugim z głośnym chlupotem zapadały w głębiny. Statek zatrzeszczał kołysząc się na wywołanych przez nie wysokich falach, które o mało nie zmyły Hawkmoona ze skały.

Potwory zniknęły.

Księżę otarł wodę z oczu i wypluł gorycz morskiej soli.

Cóż teraz planowały uczynić bestie? Czyżby miały zamiar zachować ich przy życiu, oszczędzić do czasu, kiedy będą potrzebowały świeżego mięsa? Nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Usłyszał okrzyk. Odwrócił się i ujrzał d'Averca w towarzystwie kilku marynarzy, idącego po skałach w jego kierunku.

Na twarzy Francuza malowało się zdumienie.

— Czy widziałeś odlot tych potworów, Hawkmoonie?

— Owszem. Właśnie zastanawiam się, czy wrócą.

D'Averc skierował ponure spojrzenie ku morzu, gdzie stworzenia zanurkowały w głębiny. Wzruszył ramionami.

— Proponuję, byśmy dostali się na ląd, przenosząc ze statku wszystko, co tylko zdołamy - powiedział księżę Koln. - Ilu ludzi zdołało się uratować? - zadał to pytanie bosmanowi, który stanął obok d'Averca.

— Sądzę, że większość, panie. Mieliśmy szczęście. Proszę spojrzeć - wskazał w stronę wraku. Liczna gromada ludzi wychodziła z wody na skały.

— Popłyńcie z częścią załogi z powrotem na statek, zanim się rozpadnie - polecił Hawkmoon. - Przerzućcie liny na brzeg i przenieście na ląd nasze zapasy.

— Wedle rozkazu, panie. A jeśli wrócą potwory?

— Będziemy musieli jakoś poradzić sobie z nimi, kiedy się pokażą - odparł Hawkmoon.

W ciągu następnych kilku godzin przyglądał się transportowaniu ze statku i składowaniu na skałach wszystkich użytecznych przedmiotów.

— Jak sądzisz, czy da się naprawić szkuner? - zapytał go d'Averc.

— Możliwe. Dopóki morze jest spokojne, nie powinien się przełamać. Ale naprawa wymaga czasu. - Księżę musnął palcami matowy czarny kamień na czole. - Chodźmy, d'Avercu. Przyjrzymy się bliżej tej wyspie.

Zaczęli się wspinać, kierując w stronę krawędzi urwistego brzegu. Mieli wrażenie, że nie ma tu nic poza nagimi skałami. Jedyne, na co mogli liczyć, to sadzawki ze słodką wodą i pokłady mięczaków przytwierdzonych do głazów na brzegu. Niewielką mieli szansę na przeżycie wśród niegościnnych urwisk, jeśli nie uda się naprawić statku - tym bardziej że nadal zagrażał im powrót monstrualnych bestii.

Dotarli na szczyt klifu i stanęli, dysząc ciężko po trudach wspinaczki.

— Tamta strona wygląda równie nieciekawie, jak ta - oznajmił d'Averc, pokazując w dół. - Ciekaw jestem... - urwał i sapnął głośno. - Na oczy Berezenatha! Człowiek!

Hawkmoon popatrzył w kierunku wskazywanym przez przyjaciela. Nie ulegało wątpliwości, że w dole przesuwiała się wzdłuż brzegu ludzka postać. Po chwili obcy spojrział w górę, dostrzegł ich i pomachał ręką, wskazując, żeby zeszli na dół.

Nie do końca pewni, czy nie ulegają halucynacji, zaczęli powoli schodzić ku brzegowi, aż w końcu zbliżyli się do nieznanego. Stał na szeroko rozstawionych nogach, oparłszy zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach, i zaszczycał ich uśmiechem. Zatrzymali się.

Obcy ubrany był dość dziwnie, w archaicznym stylu. Spalony na brąz tors opinał głęboko wycięty na piersiach skórzany kubrak bez rękawów. Czubek strzechy rudych włosów zwieńczała wełniana czapeczka z wetkniętym barwnym piórem z ogona bażanta. Jego spodnie wykonane były z materiału o wzorze szachownicy, a na nogach miał znoszone buty zapinane na klamry. Na plecach zawiesił na sznurze gigantyczny topór bojowy o wyszczerbionym od częstego używania i pokrytym grubą warstwą brudu ostrzu. Skóra pociągłej, kościstej twarzy była mocno zaczerwieniona, a przepełnione ironią bladoniebieskie oczy wbijały się w przybyszów.

— Zatem to wy musicie być Hawkmoon i d'Averc - rzekł obcy z dziwnym akcentem. - Powiedziano mi, że zjawicie się tutaj.

— A kimże pan jest? - zapytał d'Averc z wyższością w głosie.

— Nazywam się Orland Fank, jak byście chcieli wiedzieć. Orland Fank, do waszych usług, dobrzy panowie.

— Mieszkasz na tej wyspie? - wtrącił książę.

— Mieszkalem tu, ale teraz nie mieszkam, jak byście chcieli wiedzieć. - Fank ściągnął czapkę i otarł dłonią czoło. - Teraz jestem wędrowcem. Zdaje mi się, że tak samo jak wy.

— Kto ci o nas mówił? - zapytał Hawkmoon.

— Mam brata, nawykłego do noszenia dość dziwnej czarno-złotej zbroi...

— Rycerz w Czerni i Złocie! - wykrzyknął książę Koln.

— Zdaje się, że przyłgnął do niego ten niezwykły tytuł. Nie przypuszczam, żeby opowiadał wam o swoim prymitywnym, nieokrzesanym bracie.

— Nic nie mówił. A co ty robisz?

— Nazywam się Orland Fank. Pochodzę ze Skare Brae. To na Orkadach, wiecie...

— Orkady! - Dłoń Hawkmoona powędrowała ku rękojeści miecza. - Czy nie jest to część Granbretanu? Wyspy leżące daleko na północy...

Fank zaśmiał się.

— Powiedzcie człowiekowi z Orkadów, że jest mieszkańcem Mrocznego Imperium, a zębami wydrze wam te słowa z gardła! - Wykonał jednoznaczny ruch dłonią, po czym dodał jakby wyjaśniając: - Tam stanowi to ulubiony sposób rozprawienia się z wrogiem, jeśli chcecie wiedzieć. Jesteśmy prostymi ludźmi.

— A zatem Rycerz w Czerni i Złocie także musi pochodzić z Orkadów... - zaczął d'Averc.

— Skądże, człowieku! On z Orkadów? Z tą ozdobną zbroją i wykwintnymi manierami? - Orland Fank wybuchnął głośnym śmiechem. - Nie. On nie mieszkał na Orkadach! - Fank otarł ściekające z oczu łzy wyświechtaną czapką. - Skąd wam to przyszło do głowy?

— Powiedziałeś, że jest twoim bratem.

— Bo jest, ale że się tak wyrażę, duchowym. A może nawet rodzonym, nie pamiętam już. Widzicie, minęło tak wiele lat od czasu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

— Jak do tego doszło?

— Zwyczajnie, że się tak wyrażę. Przyświecał nam ten sam cel.

— Czyżby znów przyczyną wszystkiego była Magiczna Laska? - mruknął Hawkmoon, a jego głos, niewiele silniejszy od szeptu, ledwie przebił się przez dobiegający z dołu szum przyboju.

— To możliwe.

— Mam wrażenie, że nagle straciłeś ochotę do rozmowy, drogi Fanku - wtrącił d'Averc.

— Owszem. My z Orkadów nie jesteśmy zbyt rozmowni - skwitował Orland. - Mnie uważają tam za największego gadułę. -

Nie wyglądał ani trochę na obrażonego.

Księżę wskazał dłonią za siebie.

— A te potwory? Dziwne chmury, które widzieliśmy wcześniej? Czy to również może mieć związek z Magiczną Laską?

— Nie zauważyłem żadnych potworów. Ani też chmur. Dopiero co przybiłem do brzegu.

— Przygnały nas na tę wyspę gigantyczne bestie - wyjaśnił Hawkmoon. - Teraz zaczynam rozumieć przyczynę. One także służyły Magicznej Lasce, to nie ulega wątpliwości.

— Możliwe - odparł Fank. - To nie moja sprawa, księżę Dorianie.

— Ale w jakim to niby celu Magiczna Laska miałyby zatapiać nasz statek? - zapytał z naciskiem Hawkmoon.

— Trudno powiedzieć. - Fank nałożył z powrotem czapkę na rudą czuprynę i podrapał się w kościsty policzek. - Wiadomo mi jedynie, że miałem przypłynąć tu, przekazać wam łódź i wyjaśnić, gdzie możecie znaleźć najbliższe zamieszkane ziemie.

— Masz dla nas łódź? - spytał zdumiony d'Averc.

— Owszem. Nic specjalnego, ale to pełnowartościowa krypa, w sam raz dla was dwóch.

— Dla nas dwóch?! Jest z nami pięćdziesięciu marynarzy! - Oczy Hawkmoona miały błyski. - Och, jeśli Magiczna Laska pragnie, bym jej służył, powinna lepiej aranżować wydarzenia! Jedyne, co do tej pory skutecznie osiągnęła, to doprowadzenie mnie do wściekłości!

— Twoja złość to tylko niepotrzebna strata energii - stwierdził pojednawczo Fank. - Myślałem, że płyniecie do Dnarku wypełniając misję Magicznej Laski. Mój brat powiedział...

— Twój brat nalegał, bym udał się do Dnarku. Ale ja mam także inne powinności, Orlandzie Fanku. Obowiązki wobec żony,

której nie widziałem od miesiący, wobec teścia czekającego na mój powrót czy też przyjaciół...

— Mieszkańców Zamku Brass? Owszem, słyszałem o nich. Ale jak na razie nic im nie grozi, jeśli to was uspokoi.

— Masz co do tego pewność?

— Tak. W ich życiu nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, jeśli pominąć kłopoty z niejakim Elverezą Tozerem.

— Tozerem?! Cóż uczynił ten renegat?!

— Z tego co wiem, odzyskał swój pierścień i zniknął. - Orland wykonał lekceważący ruch dłonią.

— Dokąd się przeniósł?

— Któż to może wiedzieć? Doświadczyliście na sobie skutków działania pierścieni Mygana.

— To prawda, niezbyt można na nich polegać.

— Właśnie to miałem na myśli.

— W każdym razie pozbyli się tego uciążliwego Tozera.

— Nic mi o nim nie wiadomo.

— To utalentowany dramatopisarz - wyjaśnił Hawkmoon - ale kurczowo trzymający się kanonów... praw...

— Granbretanu? - podsunął Fank.

— Właśnie. - Księżę zmarszczył brwi i obrzucił Orlanda surowym spojrzeniem. - Na pewno mnie nie oszukujesz? Moi bliscy i przyjaciele są bezpieczni?

— W chwili obecnej absolutnie nic im nie grozi.

Hawkmoon westchnął.

— Gdzie jest ta łódź? Co będzie z załogą szkunera?

— Mam pewne doświadczenie w skutnictwie. Pomogę im naprawić statek i wrócić do Narleenu.

— Czemu nie mielibyśmy popłynąć razem z nimi? - wtrącił d'Averc.

— Jestem przekonany, że obaj należycie do ludzi niecierpliwych - stwierdził niewinnym głosem Fank - i chcielibyście wydostać się z tej wyspy najszybciej, jak tylko można. Naprawa tak dużego statku z pewnością potrwa wiele dni.

— Skorzystamy z twojej małej łodzi - odparł Hawkmoon. - Coś mi się zdaje, że gdybyśmy tego nie zrobili, Magiczna Laska, czy też jakakolwiek inna siła, za sprawą której znaleźliśmy się tutaj, spowodowałaby na nas dalsze kłopoty.

— Muszę przyznać, że brzmi to dość prawdopodobnie - rzekł Fank, uśmiechając się jakby do swoich myśli.

— A jak ty opuścisz wyspę, jeśli oddasz nam swą łódź? - zapytał d'Averc.

— Popłynę z marynarzami do Narleenu. Mnie się donikąd nie spieszy.

— Jak daleko jest stąd do stałego lądu? - zainteresował się Hawkmoon. - W jaki sposób mamy kierować łodzią? Czy masz kompas, który mógłbyś nam pożyczyć?

Fank wzruszył ramionami.

— To niezbyt daleko i nie będziecie potrzebowali kompasu. Musicie jedynie poczekać na odpowiedni rodzaj wiatru.

— Co masz na myśli?

— Wiatry w tych rejonach mają dosyć szczególne właściwości. Sami się przekonacie, co mam na myśli.

Książę z rezygnacją machnął ręką.

Orland Fank poprowadził ich wzdłuż wybrzeża.

Po pewnym czasie, kiedy oczom ich ukazała się niewielka łódź, d'Averc mruknął ironicznie:

— Wygląda na to, że możemy kształtować naszą przyszłość w znacznie mniejszym stopniu, niż byśmy tego pragnęli.

## ROZDZIAŁ V

### MIASTO BŁYSZCZĄCYCH CIENI

Przez cały dzień wiatr popychał łódź, prowadząc ją bez wątpienia jakimś szczególnym kursem. Hawkmoon leżał z kwaśną miną, natomiast d'Averc stał na dziobie, wystawiając twarz na uderzenia pyłu wodnego.

— Teraz rozumiem, co Fank miał na myśli, mówiąc o wietrze - mruknął książę Koln. - To nie jest zwykła bryza. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że staliśmy się zabawkami jakichś nadprzyrodzonych mocy...

Francuz wyszczerzył zęby w uśmiechu i wskazał w kierunku, w którym płynęli.

— Możliwe, że będziemy mieli szansę osobiście zgłosić pretensje tymże mocom. Spójrz, ląd przed nami.

Hawkmoon podniósł się z ociąganiem i ujrzał na horyzoncie niewyraźny zarys brzegu.

— A więc wróciliśmy do Amareku - zachichotał d'Averc.

— Ach, gdyby to była Europa, gdzie czeka na mnie Yisselda... - westchnął Hawkmoon.

— Albo nawet Londra, gdzie znalazłbym radość w ramionach Flany... - Francuz wzruszył ramionami i zaczął teatralnie kasłać. - Nie, to nawet lepiej, że nie będzie musiała wiązać się z tak schorowaną, umierającą istotą...

Powoli wyłaniały się przed nimi szczegóły linii brzegowej -



porozrzucane skały, wzgórza, plaże i drzewa. Bardziej na południe dostrzegli dziwną złotawą poświatę, pulsującą jak gdyby w rytm uderzeń gigantycznego serca.

— Kolejny niezwykły fenomen - zauważył d'Averc.

Wiatr uderzył ze wzmożoną siłą i łódź wykręciła w kierunku złotawej łuny.

— A my zmierzamy prosto w tamtą stronę - jęknął Hawkmoon.  
- Mam już dosyć tych wszystkich przypadków.

Wkrótce stało się jasne, że są spychani ku obszernej zatoce i wysuwającej się daleko w morze długiej wyspie. Pulsująca złota poświata wisiała nad zwróconym ku lądowi krańcem wyspy.

Ciągnąca się w obu kierunkach kraina sprawiała wrażenie bezpiecznej - ponad szerokimi plażami widniały zalesione wzgórza, nie zdołali jednak dostrzec śladów ludzkich siedzib.

W miarę jak zbliżali się do źródła światła, poświata przygasała, aż wreszcie była już tylko słabym poblaskiem na niebie. Szybkość łodzi spadła, mimo to posuwali się bez przerwy prosto w serce łuny. Aż wreszcie dostrzegli je.

Było to miasto - tak piękne, że jego widok niemal zapierał dech w piersi. Równie olbrzymie jak Londra, jeśli nawet nie większe, dźwigało się w górę symetrycznie rozmieszczonymi wieżycami, kopułami i iglicami, a wszystkie budowle płonęły tym samym dziwnym światłem, chociaż spod złotego blasku przebijały ich właściwe delikatne, przyblakłe kolory - różowy, żółty, błękitny, zielony, fioletowy i wiśniowy. Całość przypominała obraz namalowany światłem, a następnie rozmyty złotą poświatą. Owo przytłaczające piękno sugerowało, iż mieszkają tu nie ludzie, lecz bogowie.

Łódź wpłynęła do rozległego portu leżącego u stóp miasta. Po nabrzeżach przesuwwały się te same barwne, subtelne cienie,

które zdobiły ściany budynków.

— Zupełnie jak sen... - mruknął Hawkmoon.

— Niebiański sen - dodał d'Averc. Z jego cynizmu nie zostało nawet śladu w zetknięciu ze wspaniałymi widokami.

Zbliżali się powoli do wstęgi schodów zbiegających prosto w fale, omywanych wielobarwnymi odblaskami; tutaj łódź stanęła.

D'Averc wzruszył ramionami.

— Sądzę, że powinniśmy zejść na ląd. Chyba łódź nie zawiezie nas w jeszcze piękniejsze miejsce.

Hawkmoon posępnie skinął głową, po czym rzekł:

— Czy pierścienie Mygana nadal znajdują się w twojej sakiewce, d'Avercu?

— Są tu bezpieczne. - Francuz poklepał skórzany mieszek. - Dlaczego pytasz?

— Chciałem się upewnić, czy napotkawszy niebezpieczeństwo, któremu nie zdołamy zaradzić mieczami, i mając czas na skorzystanie z pierścieni, będziemy mogli posłużyć się nimi.

D'Averc pokiwał ze zrozumieniem głową, lecz zaraz zachmurzył się.

— To dziwne, że nie przyszło nam do głowy skorzystać z nich, kiedy przebywaliśmy na wyspie...

Na twarzy Hawkmoona pojawiło się zdumienie.

— Tak, to prawda... - Po chwili wydał lekceważąco wargi. - Bez wątplenia było to efektem oddziaływania nadprzyrodzonych mocy na nasze umysły! Jakże dość mam tych niezwykłości!

Francuz położył palec na wargach i skrzywił się w ironicznym wyrazie dezaprobaty.

— Żeby mówić podobne rzeczy w takim mieście...!

— Racja. Pozostaje mieć nadzieję, że mieszkańcy są równie sympatyczni, jak wygląd miasta.

— O ile są tu jacyś mieszkańcy - stwierdził d'Averc, rozglądając się dookoła.

Weszli po schodkach na nabrzeże. Na wprost otwierała się szeroka ulica, wiodąca między niezwykle budowle.

— Chodźmy do miasta i spróbujmy jak najszybciej dowiedzieć się, w jakim celu zostaliśmy tu ściągnięci - zaproponował Hawkmoon. - Może wkrótce wolno nam będzie wrócić do Zamku Brass!

Ruszyli przed siebie ulicą. Odnieśli wrażenie, że cienie rzucane przez budynki dziwnie błyszczą i promieniują własnymi barwami. Z bliska niebotyczne wieże zdawały się na wpeł widmowe, a kiedy Dorian Hawkmoon wyciągnął rękę i dotknął jednej z nich, poczuł pod palcami coś, co w dotyku nie przypominało żadnej znanej mu substancji. Nie był to ani kamień, ani drewno, nie mogła być także stal, ponieważ ugięła się nieco pod naciskiem, a on poczuł zarazem mrowienie w palcach. Zaskoczyło go również dziwaczne uczucie ciepła wędrującego wzdłuż ramienia i ogarniającego całe ciało. Pokręcił głową.

— To bardziej przypomina żywy organizm niż martwą ścianę! D'Averc w ślad za nim dotknął budowli i także się zdumiał.

— Owszem, może to być na przykład jakaś roślina. W każdym razie wygląda na materię organiczną, coś żywego.

Poszli dalej. W regularnych odstępach ulice zbiegały się, tworząc rozległe place. Przecinali je, wybierając na chybił trafił kierunek dalszego marszu. Spoglądali w górę, na zdawałoby się dzwigające w nieskończoność budynki, których szczyty niknęły w niezwyklej, złotawej łunie.

Mówili półgłosem, jakby bali się naruszyć spowijającą olbrzymie miasto ciszę.

— Czy zauważyłeś - mruknął Hawkmoon - że budowle pozbawione są okien?

— Nie mają także drzwi - odparł d'Averc. - Jestem pewien, że to miasto nie zostało wzniesione dla ludzi. I nie ludzie je budowali.

— Możliwe, że jest to dzieło istot powstałych wskutek Tragicznego Millenium - podsunął Hawkmoon. - Chociażby takich, jak widmowcy z Soryandum.

Francuz potakująco kiwnął głową.

Przed nimi niezwykle cienie tworzyły bardziej zwarte skupisko. Wkroczyli między nie, z zaskoczeniem przyjmując ogarniające ich obu przemożne wrażenie znakomitego samopoczucia. Książę, pomimo nurtującego go lęku, uśmiechnął się promiennie, a d'Averc odpowiedział mu tym samym. Dokoła przepływały błyszczące cienie i Hawkmoonowi przyszło na myśl, że faktycznie mogą to być tutejsi mieszkańcy.

Doszli do wylotu ulicy i znaleźli się na przestronnym placu, stanowiącym bez wątpienia centralny punkt miasta. Pośrodku wznosił się cylindryczny budynek, sprawiający wrażenie najpotężniejszej, a zarazem najbardziej delikatnej konstrukcji w okolicy. Jego ściany płonęły wielobarwnym blaskiem, a u podnóża widniało coś, co przyciągnęło uwagę Hawkmoona.

— Spójrz, d'Avercu! Schody prowadzące do drzwi!

— Zastanawiam się, co powinniśmy zrobić - szepnął Francuz.

Książę wzruszył ramionami.

— Wejść, rzecz jasna. Cóż mamy do stracenia?

— Niewykluczone, że odpowiedź na to pytanie znajdziemy wewnątrz - stwierdził z uśmiechem d'Averc. - Prowadź, książę Koln!

Ruszyli ku schodom, weszli po nich i stanęli u wejścia do budynku, które było stosunkowo niewielkie, nie za małe jednak

dla człowieka. W środku dostrzegli następne połyskujące cienie.

Hawkmoon śmiało wkroczył do wnętrza, d'Averc poszedł tuż za nim.

## ROZDZIAŁ VI

### JEHAMIA COHNAHLIAS

Ich stopy jakby zanurzały się w posadzce, a błyszczące cienie zdawały się spowijać obu mężczyzn w miarę wkraczania w głąb przesyconego skrami światła półmroku wnętrza budowli. Powietrze korytarza wypełniły miłe dla ucha dźwięki, składające się w rodzaj nieziemskiej kołysanki. Im bardziej zagłębiali się w organiczną konstrukcję, tym silniej muzyka przepajała ich wrażeniem znakomitego samopoczucia. Niespodziewanie stanęli u wejścia do niewielkiej komnaty pełnej tej samej złotawej i pulsującej poświaty, którą podziwiali z łodzi.

Łuna ta była od dziecka.

Chłopiec o orientalnych rysach twarzy i przyjemnym, brązowym odcieniu skóry odziany był w szatę tak gęsto naszywaną klejnotami, iż kompletnie zakrywały materiał.

— Książę Dorian Hawkmoon z Koln - odezwał się chłopiec, chyląc głowę w ukłonie - oraz Huillam d'Averc. Podziwiałem zarówno pańskie obrazy, jak i budowle pańskiego projektu.

Francuz zdumiał się.

— Podziwiłeś je?

— Są przepiękne. Dlaczego nie zajmuje się pan tym dalej?

D'Averc zakasłał w zakłopotaniu.

— Ja... straciłem talent, jak sądzę. Poza tym wojna...

— Ach, tak. Mroczne Imperium. Właśnie dlatego znalazł się pan tutaj.

— Chciałbym tylko wiedzieć...

— Zwą mnie Jehamią Cohnahliasem. - Chłopiec zaszczyił ich promiennym uśmiechem. - Jest to jedyna bezpośrednia informacja o mnie, jakiej wam w tej chwili udzielam, gdyż rozumiem, że będziecie chcieli później mnie o wszystko wypytać. To miasto nosi nazwę Dnark, a jego mieszkańcy znani są w całym świecie jako Ludzie Wielkiej Dobroci. Myślę, że zetknęliście się już z niektórymi z nich.

— Mówisz o błyszczących cieniach? - zapytał Hawkmoon.

— W ten sposób ich postrzegacie? Owszem, chodzi mi o błyszczące cienie.

— A zatem są to istoty rozumne? - indagował księżę z Koln.

— Oczywiście, że tak. Chyba nawet więcej niż rozumne.

— A to miasto, Dnark - pytał dalej Hawkmoon - jest legendarnym miastem Magicznej Laski?

— Tak.

— To dziwne, gdyż wszystkie legendy umiejscawiały je nie w Amareku, lecz w Azjokomunie - wtrącił d'Averc.

— Możliwe, że wcale nieprzypadkowo - odparł uśmiechnięty chłopiec. - Mogliśmy odnieść jedynie korzyści z podobnych legend.

— Ach tak, rozumiem.

Jehamia Cohnahlias uśmiechał się bez przerwy.

— Jak sądzę, przybyliście tu specjalnie, by zobaczyć Magiczną Laskę?

— Oczywiście - przyznał Hawkmoon, niezdolny do okazania złości wobec tego dziecka. - Najpierw Rycerz w Czerni i Złocie nakazał nam przybyć tu, a kiedy sprzeciwiliśmy się, przejął nad nami opiekę jego brat, niejaki Orland Fank...

— Ach tak - przerwał mu Jehamia Cohnahlias. - Orland Fank. Darzę tego sługę Magicznej Laski szczególną sympatią. Może

przejdźmy teraz do Sali Magicznej Laski. - Nagle zmarszczył brwi. - Byłbym zapomniał. Z pewnością najpierw chcielibyście się odświeżyć i spotkać ze znanym wam podróżnikiem. Zawitał do miasta zaledwie kilka godzin temu.

— I my go znamy?

— O ile wiem, spotkaliście się już kiedyś w przeszłości. - Chłopiec jak gdyby sfrunął z fotela, w którym siedział. - Tędy, proszę.

— Któż to może być? - mruknął d'Averc do przyjaciela. - Czy znamy kogoś, kto również miał przybyć do Dnarku?



## ROZDZIAŁ VII

### DOBRE ZNANY PODRÓŻNIK

Poszli za Jehamią Cohnahliasem krętymi korytarzami organicznej budowli. Było tu nieco jaśniej, gdyż błyszczące cienie - Ludzie Wielkiej Dobroci, jak określił ich chłopiec - zniknęły. Widocznie ich zadaniem było tylko pomóc Hawkmoonowi i d'Avercowi znaleźć drogę do dziecka.

Weszli w końcu do obszernej sali, pośrodku której znajdował się długi stół i ławy, wykonane zapewne z tej samej organicznej substancji co ściany budynku. Na stole stała zastawa z niezbyt wyszukanym jedzeniem - ryby, chleb i zielenina. Lecz ich uwagę przyciągnęła postać siedząca przy odległym krańcu stołu. Na widok tego człowieka ich dłonie automatycznie sięgnęły po miecze, a na twarzach pojawił się grymas, wyrażający zarazem wściekłość i zdumienie. Dopiero po dłuższej chwili Hawkmoon zdołał syknąć przez zaciśnięte zęby:

— Shenegar Trott!

Gruby mężczyzna zbliżył się do nich ciężkim krokiem. Jego prosta, srebrna maska przedstawiała karykaturę rysów skrytej pod nią twarzy.

— Dzień dobry, panowie. Dorian Hawkmoon i Huillam d'Averc, jak się domyślam.

— Czy wiesz, kto to jest? - Książę odwrócił się w stronę chłopca.

— Podróżnik z Europy.

— To hrabia Sussex, jeden z zaufanych króla Huona. Zniewolił pół Europy! Jest drugi po baronie Meliadusie w szerzonym przez nich dziele zniszczenia.

— Proszę - rzekł Trott łagodnym, nieco rozbawionym tonem - nie zaczynajmy od wzajemnych zniewag. Znajdujemy się tu na neutralnym gruncie. Kwestie wojny zostawmy na boku. Dopóki na razie nie dotyczą nas one bezpośrednio, proponuję zachowywać się jak ludzie cywilizowani i nie obrażać naszego młodego gospodarza...

Hawkmoon spojrzał na niego spode łba.

— Jak się pan dostał do Dnarku, hrabio Shenegarze?

— Przypląnąłem statkiem, księżę Köln. Baron Kalan, którego, jak sądzę, miał pan okazję poznać... - Trott chrząknął, widząc jak dłoń Hawkmoona odruchowo unosi się ku czarnemu kamieniowi na czole, umieszczonemu tam właśnie przez Kalana - opracował nowy typ silnika, zdolnego nadać naszym statkom dużą prędkość i przenieść je przez ocean. Z tego co wiem, jest to znacznie udoskonalony model silnika stosowanego w skrzydłolotach. Zostałem zobligowany przez Najjaśniejszego Króla-Imperatora do podróży do Amareku i nawiązania przyjaznych stosunków z władcami tej krainy...

— A zarazem do poznania ich siły i odkrycia słabych punktów, zanim zdecydujecie się zaatakować! - wykrzyknął Hawkmoon. - Jak można obdarzyć zaufaniem wysłannika Mrocznego Imperium?!

Chłopiec rozrzucił szeroko ramiona, a na jego obliczu pojawił się smutek.

— My w Dnarku dążymy jedynie do osiągnięcia stanu równowagi. Jest to jedyny powód i zarazem cel istnienia Magicznej Laski, którą tu przechowujemy. Błagam was, panowie,

odłóżcie podobne dysputy do czasu, aż spotkacie się na polu bitwy, a teraz zasiądźcie wspólnie do przygotowanego dla was posiłku.

— Muszę cię jednak ostrzec - powiedział Huillam d'Averc znacznie łagodniejszym tonem niż przybrany przez Hawkmoona - że Shenegar Trott nie przybył tu w misji pokojowej. W ślad za nim nadciągną zło i zniszczenie. Przygotujcie się, uchroni on bowiem za najbardziej przebiegłego wśród Mrocznych Rycerzy Granbretanu.

Chłopiec sprawiał wrażenie zakłopotanego. Ponownie wskazał dłonią stół.

— Proszę siadać.

— A gdzie pańska flota, hrabio Shenegarze? - spytał d'Averc, zasiadając na ławie i przysuwając sobie talerz z rybami.

— Flota? - odparł niewinnie Trott. - Nic nie mówiłem o flocie, a tylko o jednym statku. Stoi zakotwiczony o kilka mil ód miasta.

— Zatem musi to być naprawdę duży okręt - mruknął Hawkmoon, wgrzyzając się w pajdę chleba. - To niepodobne do hrabiów Mrocznego Imperium, by wyruszali w podróż nie przygotowani do dokonania podboju.

— Zapomina pan, że my z Granbretanu jesteśmy także naukowcami i badaczami - stwierdził Trott z lekką urazą w głosie. - Zdobywamy wiedzę, szukamy prawd i reguł. A nasze wielkie dzieło jednoczenia wojujących państweczek Europy to pierwszy krok na drodze do zaprowadzenia pokoju na świecie, dzięki czemu nauka mogłaby się rozwijać znacznie szybciej.

D'Averc zakasłał ostentacyjnie, ale nic nie powiedział.

Trott uczynił teraz coś, co wśród szlachty Mrocznego Imperium po prostu nie miało precedensu - energicznie zsunął maskę na tył głowy i zaczął jeść. W Granbretanie zarówno odsłonięcie twarzy,

jak i spożywanie posiłku w gronie innych osób uważane było za wielce nieprzyzwoite. Książę wiedział, że Trotta uważano w ojczyźnie za ekscentryka, a cała szlachta tolerowała go jedynie z powodu ogromnej prywatnej fortuny, wszechstronnych umiejętności i niezrównanej odwagi w walce.

Odsłonił bladą, nalaną lecz inteligentną twarz o rysach wyraźnie zbliżonych do karykatury, jaką stanowiła maska. Pozornie wydawało się, że jego oczy nie mają żadnego wyrazu, jednak Shenegar Trott potrafił zawrzeć w spojrzeniu całą gamę emocji.

Posilali się w milczeniu. Chłopiec w ogóle nie tknął jedzenia, chociaż zasiadł wraz z nimi przy stole.

— Dlaczego podróżuje pan w tak ciężkim ekwipunku, hrabio Shenegarze - zapytał Hawkmoon po dłuższym czasie, wskazując na masywną, srebrzystą zbroję - jeśli pańska misja ma charakter pokojowy i poznawczy?

Trott uśmiechnął się.

— Skąd mogłem mieć pewność, że nie czyhają w mieście żadne niebezpieczeństwa? Czy to nielogiczne, że wyrusza się w podróż przygotowanym na różne okoliczności?

— Jakie są koleje wojny w Europie? - zapytał d'Averc pospiesznie zmieniając temat, zrozumiał bowiem, że nie wyciągną z Granbretańczyka niczego poza wymijającymi odpowiedziami.

— Wojna w Europie dobiegła już końca - odparł Trott.

— Dobiegła końca?! Po cóż zatem ściągnięto nas tu, nie pozwalając wrócić do ojczyzny? - wtrącił Hawkmoon.

— Wojna dobiegła końca i w całej Europie zapanował pokój, któremu patronuje nasz dobry król Huon - stwierdził Shenegar Trott, łypiąc okiem po łobuzersku, a nawet po przyjacielsku, na

co książkę Köln w żaden sposób nie mógł odpowiedzieć. - Oczywiście, z wyjątkiem Kamargu - dodał - który zniknął bez śladu. Mój drogi kolega, baron Meliadus, został tym doprowadzony do wściekłości.

— Należało się tego spodziewać - rzekł Hawkmoon. - Czy nadal chce wyrzucić na nas wendetę?

— Z pewnością. Jeśli mam być szczery, kiedy opuszczałem Londrę, zawisła nad nim groźba, iż stanie się pośmiewiskiem całego dworu.

— Wydaje mi się, że nie darzy pan zbyt dużą sympatią barona Meliadusa - wtrącił d'Averc.

— Owszem, nie ukrywam - przyznał hrabia Shenegar. - Widzicie, my nie jesteśmy wszyscy tak obłąkani i zachłanni, jak można by sądzić. Wielokrotnie kwestionowałem stanowisko barona Meliadusa. Ale jestem lojalnym poddanym mego władcy i sługą ojczyzny. Nie popieram niektórych działań, jakie wykonuje się w ich imieniu, także wielu z tych, w jakich osobiście brałem udział. Wykonuję jednak rozkazy. Jestem patriotą. - Trott poruszył szerokimi ramionami. - Wolałbym zostać w domu, czytać książki i pisać. Kiedyś uważano mnie za obiecującego poetę.

— A teraz pisze pan jedynie epitafia, w dodatku krwią i ogniem - wtrącił Hawkmoon.

Hrabia Shenegar nie wyglądał na urażonego.

— Wy macie swój punkt widzenia, a ja swój - odparł pojednawczo. - Wierzę w słuszność celu ostatecznego, zjednoczenie całego świata jest najważniejsze, natomiast aspiracje personalne, bez względu na to jak szlachetne, muszą zostać podporządkowane wyższemu ideałom.

— Te same puste słowa można usłyszeć z ust każdego

Granbretańczyka - stwierdził nie przekonany ksiązę Koln. - Podobnych argumentów użył w rozmowie z hrabią Brassem Meliadus, na krótko przedtem, jak usiłował porwać i zniewolić jego córkę, Yisseldę!

— Wyjaśniłem już, że nic mnie nie łączy z baronem Meliadusem. Na każdym dworze znajdzie się jakiś głupiec, a każda wielka idea musi przyciągnąć także ludzi, kierujących się jedynie własnym dobrem.

Odpowiedzi Shenegara Trotta sprawiały wrażenie skierowanych bardziej do słuchającego w milczeniu chłopca niż bezpośrednio do Hawkmoona i d'Averca. Skończyli posiłek. Trott odsunął talerz i ponownie skrył twarz pod maską. Odwrócił się w stronę gospodarza.

— Bardzo dziękuję za gościnę, panie. Uzyskałem obietnicę zobaczenia Magicznej Laski. Z wielką przyjemnością stanąłbym obecnie przed tym legendarnym artefaktem...

Hawkmoon i d'Averc skierowali jednocześnie ku chłopcu ostrzegawcze spojrzenia, lecz ten zdawał się ich nie dostrzegać.

— Jest już późno - rzekł Jehamia Cohnahlias. - Jutro wszyscy udamy się do Sali Magicznej Laski. Na razie proszę tutaj odpocząć. Za tymi małymi drzwiami - wskazał odległy koniec komnaty - znajdziecie panowie miejsca do spania. Spotkamy się rano.

Shenegar Trott wstał i skłonił się nisko.

— Dziękuję uprzejmie za tę propozycję, ale moi ludzie będą się niepokoiли, jeśli nie wrócę dzisiaj na statek. Z przyjemnością dołączę do panów jutro rano.

— Jak pan sobie życzy - rzekł chłopiec.

— Będziemy niezwykle wdzięczni za udzielenie nam gościny - odezwał się Hawkmoon - lecz musimy ostrzec raz jeszcze, że

Shenegar Trott może okazać się człowiekiem zupełnie różnym od waszych wyobrażeń o nim.

— Wasza wytrwałość, panowie, jest godna podziwu - rzekł Granbretańczyk. Machnął osłoniętą rękawicą dłonią w parodii salutu i energicznym krokiem opuścił salę.

— Obawiam się, że będziemy bardzo źle spali tej nocy mając świadomość, że wróg przebywa w Dnarku - stwierdził d'Averc.

Chłopiec skwitował to uśmiechem.

— Proszę się nie obawiać. Ludzie Wielkiej Dobroci pomogą wam wypocząć i ochronią przed wszystkim, czego możecie się lękać. Dobrej nocy, panowie. Zobaczymy się jutro.

Wyszedł swobodnym krokiem z sali, natomiast dwaj przyjaciele poszli obejrzeć pokoiki, w których znajdowały się opuszczane łóżka przykryte pościelą.

— Boję się, że Shenegar Trott zamierza uczynić jakąś krzywdę temu chłopcu - powiedział książę Koln.

— Lepiej weźmy na siebie zadanie otoczenia go ochroną, jeśli będzie to w naszej mocy - odparł d'Averc. - Dobranoc, Hawkmoonie.

Francuz zniknął we wnętrzu pokoiku, a książę Koln otworzył następne drzwi. W pomieszczeniu roiło się od błyszczących cieni, a powietrze wypełniała ta sama co poprzednio melodia nieziemskiej kołysanki. Niemal natychmiast poczuł się bardzo senny.

## ROZDZIAŁ VIII

### ULTIMATUM

Hawkmoon obudził się późno, wypoczęty i odprężony, spostrzegł jednak, że błyszczące cienie wydają się dziwnie ożywione. Wszystkie świeciły zimnym, niebieskim światłem i kręciły się dookoła, jakby ogarnięte paniką.

Wstał, pospiesznie sięgając po pas z mieczem. Zafrasował się. Czy niebezpieczeństwo dopiero nadciągało, czy też wisiało nad nimi już teraz? Z Ludźmi Wielkiej Dobroci nie było chyba sposobu się porozumieć.

W tej samej chwili do pokoiku wbiegł d'Averc.

— Jak sądzisz, Hawkmoonie, co tu się dzieje?

— Nie wiem. Czyżby Shenegar Trott odważył się na inwazję? A może coś zagraża chłopcu?

Nagle błyszczące cienie owinęły się ciasno wokół obu mężczyzn, wyciągnęły ich z pokoiku, z wielką szybkością przeniosły przez salę, w której jedli poprzedniego dnia, i dalej krętymi korytarzami, aż znaleźli się na zewnątrz budynku, gdzie zostali poderwani w górę, ku spowijającej niebo złotawej łunie.

Wkrótce Ludzie Wielkiej Dobroci zwolnili, a Hawkmoon i d'Averc, wciąż nie mogąc z wrażenia złapać oddechu po ich gwałtownej akcji, zawisnęli w powietrzu, wysoko ponad rozległym placem.

D'Averc pobladł nieco - jego stopy właściwie nie miały żadnego oparcia, jako że błyszczące cienie trudno było zaliczyć do rzeczy namacalnych. Nie spadali jednak.



Na placu w dole dostrzegli maleńkie figurki ludzi skradających się ku cylindrycznej wieży.

— Przecież to cała armia! - jęknął Hawkmoon. - Musi tam być co najmniej tysiąc żołnierzy. Oto co wynikło z zapewnień Shenegara Trotta o pokojowym charakterze jego misji. Napadł na Dnark! Ale po co?

— Czy to nie jest oczywiste, przyjacielu? - zapytał posępnym tonem Francuz. - Chce zdobyć Magiczną Laskę. Wykorzystując jej potęgę mógłby z pewnością zawładnąć całym światem!

— Ależ nie wie, gdzie ona się znajduje!

— Chyba właśnie dlatego atakuje wieżę. Spójrz, żołnierze wdarli się już do środka.

Otoczeni nieuchwytnymi cieniami i spowici ze wszystkich stron złotawym blaskiem dwaj mężczyźni spoglądali z trwogą na rozgrywające się wydarzenia.

— Musimy wrócić na dół - oznajmił wreszcie Hawkmoon.

— Ale nas jest dwóch, a ich tysiąc! - przypomniał d'Averc.

— Owszem, lecz jeśli po raz wtóry Miecz Świtu sprowadzi na pomoc Legion Świtu, być może poradzimy sobie z nimi! - wyjaśnił ksiązę.

Jak gdyby zrozumiał jego słowa, Ludzie Wielkiej Dobroci zaczęli opadać ku ziemi. Hawkmoon, spadając gwałtownie na sam środek placu wypełnionego już przez zamaskowanych wojowników Mrocznego Imperium, poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Żołnierze należeli do straszliwego Legionu Sokołów, który - podobnie jak Legion Sępów - składał się z najemnych renegatów, okrutniejszych jeszcze od rodowitych Granbretańczyków. Obłąkane oczy Sokołów skierowały się ku górze, jak gdyby smakując już krwawą ucztę, jaką mieli stanowić Hawkmoon i d'Averc; sterczące z masek dzioby sprawiały

wrażenie gotowych do rozrywania ciał dwóch wrogów, a miecze, buzdygany, topory i włócznie w ich dłoniach wyciągały się niczym szpony do zadawania krwawych ran.

Błyszczące cienie opuściły Francuza i księcia Koln w pobliżu wejścia do wieży. Mieli zaledwie czas na wydobycie mieczy przed zmasowanym atakiem. Lecz w tej samej chwili w drzwiach budowli pojawił się Shenegar Trott.

— Stójcie, moje Sokoły! - zawołał, powstrzymując ludzi. - Nie ma potrzeby rozlewania krwi. Mam chłopca!

Dwaj przyjaciele ujrzeni, jak ścisnął w garści szaty dziecka i uniósł szamoczącego się Jehamię Cohnahliasa w górę.

— Wiem, że to miasto roi się od nadprzyrodzonych istot, które mogłyby nas powstrzymać - oznajmił Granbretańczyk. - Dlatego też postarałem się o glejt i dzięki niemu nic nam nie zagrozi podczas pobytu na lądzie. Jeśli zostaniemy zaatakowani, czy chociażby jednemu z moich ludzi coś się stanie, poderżnę gardło temu chłopcu od ucha do ucha - zachichotał. - Uczynię to choćby tylko dlatego, by uniknąć nieprzyjemności od którejkolwiek ze stron...

Hawkmoon wykonał ruch, jak gdyby mimo wszystko chciał przywołać Legion Świtu, ale Trott ostrzegawczo pokiwał w jego stronę palcem.

— Czyżbyś chciał przyczynić się do śmierci dziecka, księżę Koln?

Płonąc gniewem Hawkmoon opuścił miecz.

— Ostrzegałem cię przed jego perfidią! - zwrócił się do chłopca.

— Tak... - Jehamia szarpnął się, na wpół uduszony zaciśniętym kołnierzem szaty. - Chyba... powinienem był... zwrócić baczniejszą... uwagę na pańskie słowa.

Hrabia Shenegar zaśmiał się głośno. Złotawa łuna zagrała

refleksami na wypolerowanej masce.

— A teraz powiedz mi, gdzie znajduje się Magiczna Laska.

Chłopiec wskazał w stronę wieży.

— Tam, w Sali Magicznej Laski.

— Zaprowadzisz nas! - rozkazał Trott i zwrócił się do swych żołnierzy. - Uważajcie na tych dwóch. Wolałbym zachować ich żywych, gdyż Król-Imperator niezmiernie by się ucieszył, gdybyśmy wrócili zarówno z bohaterami Kamargu, jak i z Magiczną Laską. Jeśli się poruszają, dajcie mi znać, a wówczas obetnę chłopcu jedno albo nawet dwoje uszu. - Wyciągnął sztylet i zbliżył go do twarzy Jehamii. - Reszta za mną!

Zniknął we wnętrzu budowli. Sześciu żołnierzy w sokolich maskach zostało, by pilnować Hawkmoona i d'Averca, reszta zaś podążyła za przywódcą.

— Gdyby tylko chłopiec zwrócił uwagę na to, o czym mówiliśmy! - jęknął książę. Poruszył się nieznacznie i strażnicy ostrzegawczo skierowali w jego stronę broń. - Jak możemy teraz wybawić jego i Magiczną Laskę z rąk Trotta?

Zdumione Sokoły zaczęły nagle spoglądać w górę, d'Averc także zadarł głowę.

— Wygląda na to, że nadchodzi ratunek - uśmiechnął się.

Powracały błyszczące cienie.

Zanim strażnicy zdążyli poruszyć się, czy otworzyć usta, cienie ponownie owinęły się wokół dwóch przyjaciół i błyskawicznie uniosły ich w powietrze. Zdezorientowani żołnierze próbowali jeszcze dosięgnąć stóp Kamargijczyków, lecz szybko zrezygnowali i pobiegli do wieży, by donieść przywódcy, co się stało.

Ludzie Wielkiej Dobroci tym razem unosili Hawkmoona i d'Averca coraz wyżej i wyżej. Otoczyła ich gęstniejąca stopniowo,

przyjmująca postać mgły złota poświata, aż wkrótce nie mogli dostrzec ani budynków miasta, ani nawet siebie nawzajem. Zdawało im się, że płyną tak w powietrzu przez długie godziny, nim wreszcie spostrzegli, że złota mgła poczyna rzednąć.

## ROZDZIAŁ IX

### MAGICZNA LASKA

**K**iedy złotawa mgła rozwiała się, Hawkmoon zamrugał szybko oczyma, gdyż poraziła je feeria wielobarwnych świateł, bijących z centralnie umieszczonego źródła; fale i promienie rysowały w powietrzu przedziwne konfiguracje.

Mrużąc oczy od blasku rozejrzał się dookoła. Tkwili zawieszeni pod sklepieniem sali, której częściowo przejrzyste ściany wyglądały, jakby były wykonane ze szmaragdu i onyksu. Pośrodku widniał postument, a ze wszystkich stron prowadziły ku niemu schody. Obiekt znajdujący się na podwyższeniu stanowił źródło świetlnych konfiguracji. Gwiazdy, okręgi, stożki i bardziej skomplikowane figury geometryczne tworzyły zmieniające się nieustannie obrazy, lecz wszystkie pochodziły z tego samego źródła. Była to niewielka laska, w przybliżeniu długości krótkiego miecza, o matowej, czarnej, w kilku miejscach wyraźnie przebarwionej, pokrytej ciemnoniebieskimi plamkami powierzchni.

„Magiczna Laska...?” - przemknęło mu przez myśl. Ten legendarny obiekt, mający posiadać niezwykłą moc, nie zrobił na nim wrażenia. Sądził, że będzie to przedmiot większy od człowieka, połyskujący setkami kolorów, a nie coś takiego, co mógł unieść jedną ręką!

Nagle z wejścia widniejącego z boku sali wypadła gromada

ludzi - Shenegar Trott i jego żołnierze z Legionu Sokołów. W uścisku Trotta nadal szamotał się mały chłopiec. Powietrze wypełnił głośny śmiech hrabiego Sussex.

— Nareszcie! Teraz będzie moja! Nawet Król-Imperator nie odmówi mi niczego, gdy Magiczna Laska znajdzie się w moich rękach!

Hawkmoon pociągnął nosem. Poczł przyjemny, gorzkosłodki zapach, któremu towarzyszył nasilający się miękki, basowy pomruk. Ludzie Wielkiej Dobroci zaczęli opuszczać jego i d'Averca, aż postawili ich na szczycie schodów, tuż pod postumentem Magicznej Laski. Granbretańczyk zauważył ich dopiero teraz.

— Jak...?

Księżę spojrzał na niego z góry i wyciągnął ku niemu palec wyprostowanej lewej ręki.

— Uwolnij dziecko, hrabio Shenegarze!

Lecz Trott zachichotał jedynie, błyskawicznie otrząsnąwszy się ze zdumienia.

— Najpierw powiedzcie mi, jakim sposobem dostaliście się tu przede mną.

— Przy pomocy Ludzi Wielkiej Dobroci, tych nadprzyrodzonych istot, których się boisz. Mamy także innych przyjaciół, hrabio Shenegarze.

Granbretańczyk niemal przytknął sztylet do czubka nosa chłopca.

— Byłbym głupcem, gdybym teraz uwolnił mój jedyny glejt do wolności, nie mówiąc już o sukcesie!

Hawkmoon uniósł Miecz Świtu.

— Ostrzegam cię, mroczny hrabio. Mój miecz nie jest zwykłym orężem! Popatrz tylko na bijące od niego różowe światło!

— Owszem, jest bardzo piękny. Lecz czy dosięgnie mnie, nim zdążę wyłupić chłopcu jedno oko z czaszki, tak jak wyjmuję się śliwkę z koszyka?

D'Averc obrzucił uważnym spojrzeniem niezwykłą salę - zmieniające się ciągle świetlne obrazy, półprzejryste ściany oraz błyszczące cienie, skupione teraz wysoko pod kopułą, jak gdyby przyglądające się tej scenie.

— Wygląda na to, że nie ma wyjścia, Hawkmoonie - mruknął cicho. - Chyba nie możemy już oczekiwać pomocy ze strony błyszczących cieni. Na pewno nie mają takiej mocy, żeby brać czynny udział w zmaganiach ludzi.

— Obiecuję, że jeśli uwolnisz chłopca, będziesz mógł bez przeszkód opuścić Dnark - oznajmił księżę Koln.

Shenegar Trott odpowiedział śmiechem.

— Naprawdę? Wy dwaj przegnacie z miasta całą moją armię?

— Mamy sprzymierzeńców - przypomniał mu Hawkmoon.

— Możliwe. Proponuję jednak, byście odłożyli swoje miecze i pozwolili mi podejść do Magicznej Laski. Kiedy ją zdobędę, być może przekażę wam chłopca.

— Żywego?

— Tak, żywego.

— Czy można w ogóle zaufać komuś takiemu jak Shenegar Trott? - wtrącił d'Averc. - Najpierw zabije chłopca, a potem pozbędzie się nas. Nie słyszałem, by szlachcice Granbretanu dotrzymywali danego słowa.

— Gdybyśmy mogli uzyskać jakieś gwarancje - szepnął zdesperowany Hawkmoon.

W tej samej chwili za ich plecami rozległ się dobrze znany im głos. Odwrócili się zaskoczeni.

— Nie masz innego wyjścia, jak uwolnić dziecko, hrabio

Shenegarze! - Głos zahuczał z głębin olbrzymiego, czarno-złotego hełmu.

— Zgadza się, mój brat mówi prawdę... - Z przeciwnej strony postumentu pojawił się Orland Fank, dźwigający na okrytych skórzanym kubrakiem plecach ogromny topór bojowy.

— Jak się tu dostaliście? - spytał zdumiony Hawkmoon.

— Mógłbym zadać to samo pytanie. - Fank wyszczerzył zęby w uśmiechu. - W każdym razie macie teraz przyjaciół, gotowych do dyskusji nad tym fenomenem.



## ROZDZIAŁ X

### DUCH MAGICZNEJ LASKI

Shenegar Trott, hrabia Sussex, zachichotał ponownie i pokręcił głową. — Cóż, jest was teraz czterech, lecz to niewiele zmienia całą sytuację. Za mną stoi tysiąc żołnierzy. Mam chłopca. Bądźcie łaskawi rozstąpić się, panowie, by uczynić mi dostęp do Magicznej Laski.

Pociągła twarz Orlanda Fanka rozjaśniła się w promiennym uśmiechu, natomiast Rycerz w Czerni i Złocie niemal nieznacznie przesunął jedną stopę. Hawkmoon i d'Averc spoglądali na nich pytającym wzrokiem.

— Wydaje mi się, że istnieje poważna luka w pańskiej argumentacji, przyjacielu - oświadczył Fank.

— Skądże, z pewnością nie ma żadnej... panie. - Trott zaczął powoli przesuwać się do przodu.

— Owszem, powiedziałbym, nawet zasadnicza.

Hrabia Shenegar zatrzymał się.

— A więc jaka?

— Zakłada pan, że potrafi utrzymać tego chłopca, prawda?

— Mogę go zabić, zanim wykonacie najdrobniejszy ruch.

— To prawda, sądzi pan bowiem, że chłopiec w żaden sposób nie może panu uciec, czyż nie tak?

— A jak miałyby się wykręcić?! - Shenegar Trott potrząsnął zawieszonym nad posadzką dzieckiem. Ścisnął mocno w garści

zebraną na karku chłopca szatę. - Spójrzcie! - wybuchnął głośnym śmiechem.

Nagle rechot Granbretańczyka przemienił się w zdumione wycie. Chłopiec jak gdyby wypływał z jego uścisku, wyprysnął poprzez komnatę przemieniony w rozmytą smugę światła, noszącą dziwnie wyciągnięte i zamazane rysy jego twarzy. Melodia rozbrzmiała teraz głośniejsz, a dziwny zapach przybrał na sile.

Trott machnął raz i drugi ręką, próbując pochwycić umykającego chłopca, lecz złapać go było tak samo niemożliwe, jak wziąć w dłonie jeden z błyszczących cieni, które pulsowały w powietrzu nad ich głowami.

— Na Kulę Tronową Huona! To nie człowiek! - wrzasnął rozwścieczony Trott. - To nie człowiek!

— Czy ktoś twierdził, że on jest człowiekiem? - zapytał miękko Orland Fank i łobuzersko mrugnął okiem do Hawkmoona. - Czy ty i twój przyjaciel jesteście przygotowani na dobrą walkę?

— Oczywiście, jak zawsze! - książę Koln uśmiechnął się.

Przemieniony w smugę światła chłopiec poszybował nad ich głowami i dotknął Magicznej Laski. Obrazy uległy gwałtownej odmianie - znacznie gęściej wypełniły salę, a po twarzach ludzi zaczęły przesuwać się wielobarwne, promieniste pasy.

Orland Fank przyglądał się temu z napiętą uwagą, a w miarę znikania świetlistego chłopca w Magicznej Lasce na jego obliczu coraz silniej odmalowywały się smutek i żal.

Wkrótce nie został nawet ślad po chłopcu, za to Magiczna Laska zajaśniała pogłębioną czernią, jak gdyby odzyskawszy zdolność zmysłowego odczuwania.

Hawkmoon wciągnął głęboko powietrze.

— Któż to był, Orlandzie?

Fank zamrugał oczyma.

— On? To duch Magicznej Laski. Rzadko przybiera ludzką postać, ale wy zostaliście specjalnie zaszczyceni.

Rozwścieczony Shenegar Trott wykrzykiwał coś, lecz donośny, głęboki, dudniący wewnątrz olbrzymiego hełmu głos Rycerza w Czerni i Żłocie uciszył go.

— Musisz się teraz przygotować na śmierć, hrabio Sussex.

Trott wybuchnął szaleńczym śmiechem.

— Wciąż się mylisz. Was jest czterech, a nas tysiąc. To wy zginiecie, a wówczas zdobędę Magiczną Laskę!

Rycerz odwrócił się w stronę Hawkmoona.

— Czy byłbyś łaskaw sprowadzić pomoc, księżę Koln?

— Z przyjemnością - odparł Hawkmoon, unosząc różowy miecz wysoko w powietrze. - Przyzywam Legion Świtu!



Salę zalało różowe światło, przyćmiewające nawet dryfujące wokół nich barwne wzory. Znikąd pojawiła się nagle setka wojowników, a każdego z nich otaczała szkarłatna poświata.

Wyglądali na barbarzyńców, jakby pochodzili z jakiejś odległej, bardziej prymitywnej ery ludzkości. Dźwigali wielkie, nabijane ćwiekami i zdobione misternymi ornamentami maczugi oraz włócznie przybrane pękami barwionych włosów. Mieli na sobie jedynie przepaski biodrowe z jaskrawych tkanin, a skórę i brązowe twarze pokrywały wykonane farbą znaki. Na ramionach i nogach nosili drewniane osłony. Z dużych czarnych oczu wyzierał bezbrzeżny smutek, a z gardeł płynęła żalosna, zawodząca pieśń.

Byli to Żołnierze Świtu.

Ich niespodziewane zmaterializowanie się wywołało nawet

wśród najodważniejszych najemników z Legionu Sokołów okrzyki przerażenia. Shenegar Trott cofnął się krok.

— Radziłbym wam złożyć broń i poddać się - rzekł Hawkmoon posępnym tonem.

— Nigdy! - Trott potrząsnął głową. - Wciąż jeszcze mamy przewagę liczebną!

— A zatem musimy rozpocząć bitwę - oświadczył książę Koln, ruszając po schodach w dół, w kierunku wrogów.

Shenegar wyciągnął olbrzymich rozmiarów miecz i przyjął pozycję szermierza. Hawkmoon zamachnął się Mieczem Świtu, lecz Granbretańczyk wykonał błyskawiczny unik i zatoczył szeroki łuk swym orężem, omal nie rozcinając księcia na pół. Trott, zakuty w ciężką zbroję, miał przewagę nad ubranym tylko w jedwabne szaty Hawkmoonem.

Pieśń Legionu Świtu zastąpiły bitewne okrzyki, a wojownicy runęli po schodach, wymachując maczugami i tnąc przeciwników włóczniami. Waleczni żołnierze Legionu Sokołów dzielnie stawili im czoło, odpowiadając ciosem na cios, lecz gdy przekonali się, że w miejsce każdego zabitego Wojownika Świtu natychmiast pojawia się znikąd następny i zajmuje jego miejsce, wyraźnie upadli na duchu i stracili animusz.

D'Averc, Orland Fank oraz Rycerz w Czerni i Złocie ruszyli wolnym krokiem w dół schodów, zataczając jakby jednym zgodnym ruchem wielkie półkola mieczami i spychając przed sobą Sokoły trzema ruchomymi stalowymi sierpami.

Shenegar Trott ponownie zamierzył się na Hawkmoona i rozciął rękaw jego koszuli. Książę odpowiedział ciosem i Miecz Świtu dosięgnął maski Granbretańczyka, wgniatając ją i czyniąc jej rysy jeszcze bardziej groteskowymi.

Hawkmoon zrobił krok do tyłu, szykując się do kolejnego

ataku, kiedy nagle otrzymał silny cios w tył głowy. Odwrócił się i ujrzał żołnierza Legionu Sokołów z uniesionym toporem. Chciał natrzeć na niego, lecz poczuł, że nogi się pod nim uginają. W ostatnim przebłysku świadomości dostrzegł, iż Wojownicy Świtu zapadają się z powrotem w niebyt. Uczynił jeszcze desperacką próbę przywołania ich, ale widocznie Legion Świtu nie mógł egzystować, jeśli on nie sprawował nad nimi świadomej kontroli. Padając na stopnie schodów słyszał głośny śmiech Shenegara Trotta.

## ROZDZIAŁ XI

### ŚMIERĆ BRATA

Hawkmoon ocknął się, słysząc stłumione odgłosy walki. Potrząsnął głową, usiłując dojrzeć coś poprzez czerwono-czarną mgłę. Spróbował podnieść się na nogi i dopiero po chwili zrozumiał, że co najmniej cztery martwe ciała przygniatają go do posadzki. Jego przyjaciele brali wysoką cenę za swe życie.

Wytężył wszystkie siły i wkrótce dostrzegł, że Shenegar Trott sięga właśnie po Magiczną Laskę. Rycerz w Czerni i Złocie - najwyraźniej ciężko ranny, w zbroi pogietej od setek uderzeń mieczy - próbował stanąć mu na drodze i nie pozwolić na zdobycie Magicznej Laski. Ale potężny cios buzdyganu Granbretańczyka dosięgnął hełmu Rycerza i wgniółł go z trzaskiem. Rycerz zachwiał się.

Hawkmoon nabrał głęboko powietrza i krzyknął zachrypniętym głosem:

— Legion Świtu! Przyzywam was! Legion Świtu!

Barbarzyńscy wojownicy ponownie zaczęli wyłaniać się znikąd, dziesiątkując zdumionych Sokołów. Księżę rzucił się w górę schodów na pomoc Rycerzowi, nie dostrzegając wokół siebie nic innego. Ale olbrzym w czarno-złotej zbroi począł walić się na niego, zmuszając do uskoczenia w bok. Próbował podtrzymać padające ciało, coś mu jednak podpowiadało, że nie ma już w nim nawet krzty życia.

Hawkmoon usiłował odsunąć wizjer, przepelnięty rozpaczą z

powodu śmierci człowieka, którego aż do tej chwili nie uważał nawet za swego przyjaciela. Chciał przynajmniej ujrzeć rysy twarzy tego, który od tak dawna kierował jego losami, ale wizjer hełmu silnie wgniecionego po ciosie Trotta nie dał się przesunąć nawet o milimetr.

— Rycerzu...

— Rycerz nie żyje! - Shenegar Trott zrzucił z twarzy maskę i sięgał ku Magicznej Lasce, z triumfem w oczach spoglądając przez ramię na księcia Koln. - Tak samo i ty zginiesz w jednej chwili, Dorianie Hawkmoonie!

Księżę ułożył ciało Rycerza na stopniach i z rykiem wściekłości rzucił się po schodach ku zabójcy. Trott, z dzikim grymasem na twarzy, odwrócił się w jego stronę, unosząc buzdygan do ciosu.

Hawkmoon zanurkował pod ramieniem Granbretańczyka, doskoczył i zwarł się z nim na najwyższym stopniu schodów. Dookoła rozgrywała się krwawa rzeź.

Siłując się z Trottem dostrzegł w połowie wysokości schodów d'Averca - z jego stroju zostały tylko zakrwawione strzepy, a jedna ręka zwisała bezwładnie u boku, dzielnie jednak stawiał czoło pięciu żołnierzom z Legionu Sokołów naraz. Nieco wyżej stał także żywy Orland Fank, wywijając nad głową olbrzymim toporem, a z jego gardła płynął dziwny, piskliwy jęk. Trott dyszał ciężko przez zaciśnięte zęby. Księcia zaskoczyła jego niezwykła siła.

— Umrzesz, Hawkmoonie! - usłyszał. - Musisz umrzeć, żeby Magiczna Laska mogła należeć do mnie!

Księżę Dorian wyteżał wszystkie siły, stawiając opór hrabiemu.

— Nigdy nie będzie twoja. Ona nie może należeć do żadnego człowieka!

Nagłym szarpnięciem przełamał obronę Trotta i wymierzył mu

cios pięścią w twarz. Tamten wrzasnął i skoczył do przodu, lecz Hawkmoon uniósł nogę i kopnął go w pierś, aż Granbretańczyk poleciał do tyłu, uderzając plecami o postument. Kiedy tamten ponownie rzucił się w jego stronę, zaślepiony wściekłością, książę Koln błyskawicznie uniósł Miecz Świtu, przeszywając przeciwnika na wylot.

Shenegar Trott po raz ostatni rzucił spojrzenie w stronę Magicznej Laski, po czym skonał ze straszliwym bluźnierstwem na ustach.

Hawkmoon wyciągnął miecz z nieruchomego ciała i rozejrzał się uważnie dokoła. Jego Legion Świtu dokonywał już krwawego dzieła, siekąc ostatnich broniących się żołnierzy w sokolich maskach. D'Averc i Fank siedzieli na schodach, wsparci plecami o postument i z trudem łapali oddech.

Wkrótce ciosy maczug dosięgnęły ostatnich żywych ludzi, umilkły jęki i zapadła cisza, wypełniona jedynie ledwie słyszalnym basowym pomrukiem i chrapliwymi oddechami trzech pozostałych przy życiu ludzi. Wraz ze śmiercią ostatnich Granbretańczyków zniknęli także Wojownicy Świtu. Hawkmoon spojrzał na nieruchome tłuście ciało Shenegara Trotta i zmarszczył brwi.

— Pokonaliśmy ich - powiedział - lecz jeśli oni tu dotarli, ich śladem przypłyną inni. Dnark nie jest już bezpieczny od zakusów Mrocznego Imperium.

Fank pociągnął nosem i wytarł go rękawem koszuli.

— Tylko od ciebie zależy teraz, czy Dnark będzie bezpieczny, a na dobrą sprawę, czy będzie bezpieczny cały świat.

— Jakże mam tego dokonać? - Książę uśmiechnął się krzywo.

Fank otworzył już usta, lecz nagle jego spojrzenie padło na olbrzymią postać Rycerza w Czerni i Złocie.



— Bracie! - szepnął. Zsunął się powoli ze schodów, odrzucił swój wielki topór i objął ramionami ciało zakutego w zbroję człowieka. - Bracie...!

— On nie żyje - rzekł cichym głosem Hawkmoon. - Zginął z ręki Shenegara Trotta, broniąc Magicznej Laski. A ja zabiłem Trotta... Fank zaczął szlochać.



Po pewnym czasie stanęli we trójkę obok siebie, rozglądając się po wielkiej sali zasłanej trupami. Nawet wędrujące w powietrzu świetlne obrazy zdawały się teraz płonąć krwawą czerwienią, a gorzkawosłodki zapach nie był w stanie zatrzeć odoru wszechobecnej śmierci.

— I co teraz? - zapytał Hawkmoon, wsuwając do pochwy Miecz Świtu. - Wykonaliśmy zadanie, dla którego ściągnięto nas tutaj. Zdołaliśmy obronić Magiczną Laskę. Wracajmy do Europy.

Niespodziewanie rozległ się za ich plecami melodyjny chłopięcy głos Jehamii Cohnahliasa. Książę odwrócił się i spostrzegł, że znów stoi on obok postumentu, dzierżąc w dłoni Magiczną Laskę.

— Teraz, książę Koln, weź to, co z takim mozołem wywalczyłeś - powiedział chłopiec. Jego skośne oczy promieniowały żywym ciepłem. - Zabierz ze sobą Magiczną Laskę do Europy, gdzie rozstrzygnie się przyszłość całej Ziemi.

— Do Europy?! Myślałem, że nikt nie może ruszyć jej z miejsca!

— Nie może tego uczynić żaden śmiertelnik. Ale ty zostałeś przez nią wybrany, wolno ci tego dokonać. - Chłopiec podszedł szybko do Hawkmoona i włożył mu w dłonie Magiczną Laskę. - Weź i chroń ją. A ona otoczy cię opieką.

— W jaki sposób mamy ją wykorzystać? - zapytał d'Averc.

— Jako symbol. Niech wszyscy ludzie wiedzą, że wam towarzyszy, że jest po waszej stronie. Przekażcie wszystkim, że to baron Meliadus odważył się złożyć przysięgę na Magiczną Laskę, a przysięga ta dała początek ważkim wydarzeniom, które muszą doprowadzić do ostatecznej klęski jednej lub drugiej spośród walczących stron. Cokolwiek się wydarzy, będzie ostateczne. Albo wasza wyprawa na Granbretan zakończy się zwycięstwem, albo zginiecie w walce. Już wkrótce musi się rozegrać decydująca bitwa pomiędzy Meliadusem i Hawkmoonem, a o jej losach rozsądzi Magiczna Laska!

Książę z ociąganiem ujął artefakt. Był zimny, martwy i bardzo ciężki, chociaż nadal rozsiewał wokół siebie świetlne obrazy.

— Schowaj ją za koszulę albo owiń skrawkiem materii - poradził chłopiec - a wówczas znikną konfiguracje świetlne zdradzające obecność Magicznej Laski. Pokażesz je ludziom wtedy, kiedy będziesz chciał.

— Dziękuję ci - rzekł cicho książę Koln.

— Ludzie Wielkiej Dobroci pomogą wam wrócić do ojczystych stron - rzekł Jehamia. - Żegnaj, Hawkmoonie.

— Dlaczego mówisz: żegnaj? Dokąd się wybierasz?

— Tam, gdzie moje miejsce.

Znowu sylwetka chłopca zaczęła się rozwiewać, przekształcać w wydłużony, zachowujący jeszcze w jakimś stopniu kształt człowieka, strumień złotawego światła, który począł wlewać się do Magicznej Laski. Ta stała się nagle w dłoni Hawkmoona ciepła, żywa i lekka.

Księcia przeszył dziwny dreszcz, lecz zgodnie z radą schował Magiczną Laskę za koszulę. Kiedy wszyscy trzej ruszyli ku wyjściu z sali, d'Averc zwrócił się do roniącego nadal łyż Orlanda Fanka:

— Cóż cię tak smuci, Fanku? Czyżbyś nadal opłakiwał śmierć swego brata?

— Owszem, ale bardziej jeszcze opłakuję mego syna.

— Syna? Któż to taki?

Orland wskazał kciukiem na wlokącego się za nimi ze zwieszoną głową, pogrążonego w myślach Hawkmoona.

— To był on.

— O czym ty mówisz?

Fank westchnął.

— Wiem, że to na pewno on. Tyle że ja jestem człowiekiem, zdolnym ronić łzy. Mówiłem o Jehamii Cohnahliasie.

— O chłopcu?! O duchu Magicznej Laski?

— Tak. To był mój syn... A może nawet ja sam... Nigdy nie rozumiałem dostatecznie tych spraw...

## KSIĘGA DRUGA

*Napisano: „Ci, którzy odważyli się złożyć przysięgę na Magiczną Laskę, musieli przyjąć dobrodziejstwa czy cierpienia określonej ścieżki losu, ustanowionej poprzez przysięgę”. Takie właśnie przyrzeczenie złożył baron Meliadus z Kroiden - poprzysiągł zemstę na wszystkich mieszkańcach Zamku Brass, przysiągł także, że Yisselda, córka hrabiego Brassy, będzie należała do niego. Tamtego dnia, wiele miesięcy wcześniej, wyznaczona została określona ścieżka losu, która samego barona z Kroiden wplątała w szaleńcze, niszczycielskie działania, Dorianą Hawkmoona uczyniła bohaterem niezwykłych, burzliwych przygód w odległych zakątkach świata, a obecnie wiodła ku przerażającemu, ostatecznemu rozwiązaniu.*

Wielka Historia Magicznej Laski

# ROZDZIAŁ I

## SZEPTY W SEKRETNEJ KOMNACIE

Weranda wychodziła na krwistoczerwoną rzekę Tamzę, toczącą leniwie swe wody przez samo serce Londry - skupisko ponurych, niezwykłych wież. Ponad nimi z rzadka jedynie przelatywał z głośnym łoskotem błyszczący ptak z metalu, skrzydłolot, rzeką zaś barki wykonane z brązu i hebanu przewoziły towary między wybrzeżem a miastem. Zwykle płynęły z cennym ładunkiem - transportowały zrabowane dobra, pojmanych mężczyzn, kobiety i dzieci, zwożonych do Londry jako niewolnicy. Markiza z grubego purpurowego welwetu, ozdobiona szkarłatnymi jedwabnymi frędzlami zasłaniała użytkowników werandy od góry, natomiast rzucany przez nią cień nie pozwalał dostrzec ludzi z pokładów kursujących po rzece statków.

Znajdował się tu spizowy stół oraz dwa połączone, wyściełane grubym niebieskim pluszem krzesła. Na bogato zdobionej, platynowej tacy stały na stole dwa puchary z ciemnozielonego szkła i tworzący z nimi komplet dzban napełniony winem. Przy drzwiach wiodących na werandę czuwały dwie nagie dziewczyny, o twarzach, piersiach i łonach pokrytych grubą warstwą różu. Każdy obeznany z królewskim dworem mieszkaniec Londry rozpoznałby w nich niewolnice barona Meliadusa z Kroiden, gdyż usługiwały mu wyłącznie nagie

dziewczęta, a ich ciała musiały być koniecznie przysypane różem. Jedna z niewolnic, której nie widzące spojrzenie błędziło po falach rzeki, była blondynką, niemal na pewno pochodzącą z Germańskiego Księstwa Koln, prawem zdobywcy będącego lennem barona. Druga, o ciemnych włosach, musiała pochodzić z jednego z miast Środkowego Wschodu, które baron Meliadus krwią i żelazem włączył do swych posiadłości.

Na jednym z połączonych krzeseł siedziała kobieta od stóp do głowy odziana w ciężki brokat, zasłaniająca twarz srebrną maseczką, kunsztownie stylizowaną na kształt głowy czapli. Na drugim spoczywał mężczyzna w grubym, skórzanym, czarnym stroju, dźwigający na ramionach olbrzymią maskę przedstawiającą łeb czarnego, szczerzącego kły wilka. Poprzez złotą rurkę, której jeden koniec zanurzony był w pucharze, drugi zaś wetknięty w niewielki otworek w masce, mężczyzna powoli sączył wino.

Siedzieli pogrążeni w ciszy, dźwięki docierały tylko spoza werandy - chlupot wody o burty statków na rzece, krzyki i towarzyszące im śmiechy, dobiegające z którejś z sąsiednich wież, powolny łopot metalowych skrzydeł zawieszzonego gdzieś wysoko skrzydłolotu, prawdopodobnie szykującego się do lądowania na płaskim dachu któregoś z budynków.

Po dłuższym czasie mężczyzna skryty za maską przemówił głębokim, wibrującym głosem. Kobieta nie poruszyła nawet głową, jakby nie słyszała jego słów, spoglądała po prostu dalej na krwistoczerwone wody rzeki, zawdzięczające swą barwę nieczystościom wypływającym z licznych ujść ścieków, które odprowadzano wprost do nurtu.

— Wiesz o tym, Flano, że nawet ty znalazłaś się w kręgu osób podejrzanych. Król Huon przypuszcza, że mogłaś mieć coś

wspólnego z tajemniczą epidemią szaleństwa, które ogarnęło strażników tej samej nocy, gdy zniknęli emisariusze z Azjokomuny. Nie chcę, byś sądziła, że rozmawiając z tobą mam na względzie jedynie moje własne interesy, gdyż troszczę się wyłącznie o naszą ukochaną ojczyznę, o świetność Granbretanu.

Mówca przerwał, jak gdyby spodziewał się odpowiedzi, lecz kobieta milczała.

— To jasne, Flano, że obecna sytuacja na dworze nie służy najlepiej sprawom Imperium. Oczywiście, jako prawdziwy syn Granbretanu uwielbiam ekscentryzm, ale potrafię dostrzec różnicę między ekscentryzmem a starczą słabością. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Flana Mikosevaar nadal się nie odzywała.

— Sugeruję - kontynuował mężczyzna - iż potrzebujemy nowego władcy... a raczej władczyni. Tylko jedną żyjącą osobę łączącą bezpośrednio więzy krwi z Huonem, tylko ona zostanie powszechnie zaakceptowana i uznana za prawowitą spadkobierczynię tronu Mrocznego Imperium.

Wciąż nie było odpowiedzi.

Postać w wilczej masce pochyliła się do przodu.

— Flano?

Maska czapli obróciła się w stronę wizerunku szczerzącego kły wilka.

— Flano, mogłabyś zostać Królową-Imperatorową Granbretanu. Ze mną jako regentem u boku zapewniłabyś bezpieczeństwo naszemu narodowi, wzmocniła potęgę Granbretanu. Uczynilibyśmy cały świat naszą domeną!

— A cóż byśmy robili, kiedy już cały świat znalazłby się w naszym władaniu, Meliadusie? - odezwała się po raz pierwszy Flana Mikosevaar.

— Cieszyli się nim! Korzystali z niego!

— Czy nie można zmęczyć się gwałtem i morderstwami, torturami i sianiem zniszczenia?

Meliadus sprawiał wrażenie zaskoczonego jej uwagą.

— Oczywiście, można się znudzić wszystkim, ale otwierają się nowe perspektywy: eksperymenty Kalana, badania Taragorma. Mając do dyspozycji wszelkie zasoby świata nasi naukowcy zdolni byłiby osiągnąć wszystko. Może nawet skonstruowaliby statki, którymi polecilibyśmy w kosmos, rakiety takie, jakie mieli starożytni, czy chociażby ta, którą według legendy przywieziono na naszą planetę Magiczną Laskę! Moglibyśmy odkrywać nowe światy i zdobywać je, przeciwstawiając naszą wiedzę i umiejętności całemu wszechświatowi! Potęga Granbretanu mogłaby przetrwać milion lat!

— Czyżbyśmy mieli szukać jedynie przygód i sensacji, Meliadusie?

— Oczywiście. Dlaczegoż by nie? Wszystko tonie w chaosie nie stwarzającym warunków do życia. Jediną zaletą naszego bytowania jest możliwość czerpania tak wielu wrażeń, ile tylko ludzki umysł i ciało zdolne będą wchłonąć. Sytuacja ta nie zmieni się co najmniej przez milion lat, prawda?

Flana przytaknęła.

— To jedna z naszych reguł życiowych - westchnęła cicho. - Wydaje mi się, że mogłabym przystać na twój plan, Meliadusie, gdyż to, co proponujesz, jest według mnie nie bardziej nużące od innych perspektyw. - Wzruszyła ramionami. - Znakomicie, zostanę twoją królową, o ile będziesz tego potrzebował, jeśli zaś Huon odkryje nasz spisek, cóż, wówczas z ulgą przyjmę śmierć.

Wyraźnie nie poruszony tą wizją baron z Kroiden wstał z za stołu.



— Czy nie zdradzisz się przed nikim, dopóki nie nadejdzie odpowiedni moment, Flano?

— Nikomu o niczym nie powiem.

— Świetnie. Muszę się teraz spotkać z Kalanem. Popiera mój plan, gdyż w wypadku powodzenia uzyska znacznie szersze możliwości prowadzenia swych eksperymentów. Również Taragorm jest z nami...

— Ufasz Taragormowi? Przecież powszechnie znana jest wasza wzajemna niechęć...

— Owszem, nienawidzę go, a on nienawidzi mnie, lecz obecnie nie jest to już tak wyraźne. Jak pamiętasz, obiektem rywalizacji była moja siostra, którą chciałem poślubić, gdy tymczasem jej rękę zdobył Taragorm. Lecz moja siostra skompromitowała się; z tego, co wiem, współżyła z osłem, a Taragorm odkrył prawdę. Na pewno musiałaś słyszeć, że została w dziwnych okolicznościach zabita razem z tym osłem przez jej niewolników. Wspólnie z Taragormem rozprawiliśmy się ze zbuntowanymi niewolnikami i od tamtej pory odżyła między nami nić wzajemnej starej przyjaźni. Mojemu szwagrowi można ufać. Uważa, że Huon zbyt ingeruje w jego badania. Cała ta rozmowa prowadzona była szeptem lub półgłosem, tak że nawet stojące przy drzwiach niewolnice nie mogły ich usłyszeć.

Meliadus skłonił się przed Flaną i strzelił palcami na dziewczyny, by przygotowały mu lektykę i poniosły z powrotem zaułkami do domu, po czym wyszedł.

Flana nadal wpatrywała się w wody rzeki, niewiele myśląc o planie Meliadusa - śniła na jawie o przystojnym d'Avercu, wyobrażała sobie ich spotkanie w przyszłości, marzyła o tym, żeby Huillam zabrał ją z Londry, uwolnił od dworskich intryg i zawiózł do swej wiejskiej posiadłości, gdzieś we Francji, którą -

będąc już królową Granbretanu - mogłaby mu zwrócić.

Dostrzegała pewne korzyści płynące z faktu przejęcia przez nią tronu. Mogłaby dowolnie wybrać sobie męża, którym - oczywiście - zostałby d'Averc. Wybaczyłaby mu wszystkie przestępstwa wobec Granbretanu, a może nawet ułaskawiłaby jego towarzyszy, Hawkmoona i całą resztę.

Nie. Nawet jeśli Meliadus zgodziłby się darować winy d'Avercowi, za nic nie pozwoliłby ocalić pozostałych.

Możliwe, że cały ten plan był głupi. Westchnęła. Nie zależało jej na zaszczytach. Nie miała nawet pewności, czy d'Averc jeszcze żyje. Przyznała w duchu, że nie ma żadnego powodu, by nie uczestniczyć, przynajmniej biernie, w spisku barona z Kroiden. Rozumiała jednak, jak straszliwe mogą być konsekwencje jego niepowodzenia, jak niezwykle trudne zadanie przedsięwziął Meliadus. Musiał być skrajnie zdesperowany, jeśli zdobył się na obmyślanie spisku przeciwko nieśmiertelnemu władcy. W ciągu dwóch tysięcy lat rządów Huona żadnemu Granbretanńczykowi nawet nie przyszła do głowy myśl obalenia go. Flana nie wyobrażała sobie nawet, że jest to w ogóle możliwe.

Przeszył ją dreszcz. Jeżeli zostanie królową Imperium, nigdy nie zgodzi się na przyjęcie nieśmiertelności - zwłaszcza gdyby miało to oznaczać przemianę w zasuszoną mumię, jaką był Huon.

## ROZDZIAŁ II

### ROZMOWA W POBLIŻU MASZYNY MENTALNEJ

Kalan z Vitall dotknął swej węzowej maski bladą, pomarszczoną dłonią, której liczne, silnie nabrzmiałe niebieskie żyłki także przypominały drobne, wijące się żmijki. Stali w głównym pomieszczeniu laboratoriów - olbrzymiej, nisko sklepionej sali, wypełnionej przeprowadzającymi swe eksperymenty, identycznie ubranymi ludźmi, noszącymi na głowach maski Zakonu Węża - zakonu, którego Wielkim Konstablern był baron Kalan. Z niezwykłych maszyn wydobywały się dziwne dźwięki i fale smrodu, wszędzie dokoła rozświeślały się i trzaskały niegroźne kolorowe błyskawice, a cała sala sprawiała wrażenie jakiegoś piekielnego warsztatu opanowanego przez diabły. Tu i ówdzie widać było ludzi wprowadzanych bądź też wyciąganych z wnętrza maszyn, ludzi obojga płci, w bardzo zróżnicowanym wieku, służących jako materiał doświadczalny do sprawdzenia oddziaływania urządzeń na umysł i ciało człowieka. Większość z nich zachowywała się biernie, ale niektórzy wrzeszczeli, jęczeli albo wykrzykiwali coś przerażonym głosem, doprowadzając tym do wściekłości odrywanych od pracy naukowców, którzy pospiesznie zatykali im usta jakimiś szmatami, łajali zgodnym chórem lub też znajdowali inne metody przywrócenia ciszy i atmosfery skupienia.

Kalan położył dłoń na ramieniu Meliadusa i wskazał mu stojące nie opodal, nie używane obecnie urządzenie.

— Czy pamiętasz maszynę mentalną? Tę samą, z pomocą której badaliśmy umysł Hawkmoona?

— Tak - mruknął baron z Kroiden. - Na podstawie wyników tych badań doszedłeś do wniosku, że możemy zaufać Hawkmoonowi.

— Zetknęliśmy się z czynnikami, których nie sposób było przewidzieć - oznajmił usprawiedliwiając się Kalan. - Ale nie dlatego teraz wspominałem ci o niej. Poproszono mnie dziś rano o ponowne jej wykorzystanie.

— Któż cię o to prosił?

— Sam Król-Imperator. Wezwał mnie do siebie i stwierdził, że chciałby poddać testom mentalnym kogoś ze swego otoczenia.

— Kogo?

— A jak sądzisz, mój panie?

— Mnie! - syknął rozwścieczony Meliadus.

— Właśnie. Sądzę, że domyśla się, iż nie jesteś lojalny, mój drogi...

— Czy uważasz, że może coś wiedzieć?

— Chyba nie. Wszystko wskazuje na to, że Huonowi nie odpowiada, iż zbyt koncentrujesz się na sprawach prywatnych, mniejszą wagę przykładając do jego zamierzeń. Myślę, że chciałby po prostu wiedzieć, na ile jesteś lojalny w stosunku do niego i czy gdybyś zrezygnował z realizacji własnych planów...

— A ty masz zamiar wykonać jego rozkaz, Kalanie?

Tamten wzruszył ramionami.

— Sugerujesz zatem, że powinniśmy go zignorować?

— Nie. Ale musimy coś wymyślić.

— Oczywiście, po prostu poddam cię badaniom w maszynie mentalnej, sądzę jednak, że uda mi się uzyskać wynik badania odpowiadający naszym zamierzeniom - Kalan zachichotał niemal bezgłośnie, gdyż maska stłumiła jego śmiech do ledwie słyszalnego szmeru. - Czy możemy zacząć, Meliadusie?

Baron z ociąganiem ruszył przed siebie, obrzucając nerwowym spojrzeniem maszynę o błyszczącej, czerwono-błękitnej obudowie, jej tajemnicze czujniki oraz masywne dźwignie i przełączniki nie znanego mu przeznaczenia. Główny jej element stanowił olbrzymi dzwon widniejący obecnie wysoko ponad urządzeniem, podwieszony pod kratownicowym wysięgnikiem o złożonej konstrukcji.

Kalan włączył maszynę i rozłożył ręce w przepaszającym geście.

— Kiedyś trzymaliśmy ją w oddzielnym pomieszczeniu, ale ostatnio coraz bardziej odczuwamy brak miejsca. To jeden z moich podstawowych zarzutów. Prosi się nas o tak wiele, a oddaje do dyspozycji tak ograniczoną przestrzeń.

Z głębin urządzenia dobiegi dźwięk przypominający westchnienie jakiejś gigantycznej bestii. Meliadus cofnął się o krok. Kalan ponownie zachichotał i gestem nakazał technikom w węzowych maskach, by podeszli i pomogli mu w obsłudze maszyny mentalnej.

— Gdybyś był łaskaw stanąć pod dzwonem, baronie z Kroiden, moglibyśmy już zacząć go opuszczać - rzekł Kalan.

Powoli, jakby pełen podejrzeń, Meliadus zajął miejsce pod dzwonem, a ten począł opadać, aż w końcu całkowicie go zakrył: mięsiste brzegi zawinęły się do środka i ściśle przywarły do nóg człowieka. Baron doznał nagle wrażenia, jakby w jego czaszkę zanurzały się rozżarzone druciki, mające pobrać próbki z jego

mózgu. Chciał krzyczeć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Ogarnęły go halucynacje - abstrakcyjne wizje i obrazy wydobyte ze wspomnień. Przepływały widoki pól bitewnych, krwawe rzezie, a pomiędzy nimi często pojawiała się odbicie znienawidzonej twarzy Doriana Hawkmoona, na milion możliwych sposobów wykrzywionej strachem, a także piękne rysy uśmiechniętej Yisseldy Brass - kobiety, której pożądał ponad wszystko. Stopniowo wyłaniało się z niebytu całe jego życie, przypominał sobie wszystkie wydarzenia, najdrobniejsze nawet myśli i sny - nie w porządku chronologicznym, lecz posegregowane według ważności. Ponad wszystkim dominowało pragnienie zdobycia Yisseldy, nienawiść do Hawkmoona oraz plany dotyczące obalenia króla Huona.

Wreszcie dzwon zaczął wędrować ku górze i wkrótce Meliadus znów ujrzał przed sobą maskę Kalana. Poczul się dziwnie oczyszczony moralnie i podniesiony na duchu.

— Cóż więc odkryłeś, Kalanie?

— Na razie nie znalazłem niczego, o czym bym już nie wiedział. Ostateczne wyniki uzyskamy za jakąś godzinę, może dwie. - Zachichotał. - Imperator miałby chyba niezłą zabawę, gdyby je zobaczył.

— Owszem. Mam jednak nadzieję, że ich nie ujrzy.

— Otrzyma coś, co przekona go, Meliadusie, że twoja nienawiść do Hawkmoona powoli blednie, natomiast twe oddanie imperatorowi jest trwałe i głęboko zakorzenione. Czyżby nie powtarzano nam ustawicznie, że miłość i nienawiść zawsze idą w parze? Dlatego pogarda, którą żywisz dla Huona, po mojej drobnej ingerencji stanie się miłością.

— Świetnie. Porozmawiajmy teraz o przyszłości naszego projektu. Najpierw musimy znaleźć sposób na przywołanie

Zamku Brass z powrotem do naszego wymiaru albo też na przeniesienie nas do ich czasoprzestrzeni. Później trzeba będzie reaktywować Czarny Klejnot w czaszce Hawkmoona i tym samym uczynić z tego rycerzyka narzędzie w naszych rękach. Na końcu powinniśmy postarać się o jakiś rodzaj broni zdolnej do zniszczenia sił chroniących Huona.

Kalan przytaknął ruchem głowy.

— To oczywiste. Dysponujemy już nowym rodzajem silników, które montujemy na statkach...

— Czy Trott wyruszył na takich ulepszonych już statkach?

— Tak. Dzięki tym silnikom mogą rozwijać większe prędkości, a tym samym pokonywać większe dystanse. Trott zabrał wszystkie jednostki, które zdołaliśmy dotychczas w nie wyposażać. Już wkrótce powinniśmy otrzymać wiadomości od niego.

— Dokąd popłynęli?

— Nie jestem pewien. To tajemnica, znana tylko jemu i królowi Huonowi. Na pewno miała to być daleka wyprawa, co najmniej na odległość kilku tysięcy mil. Możliwe, że popłynęli do Azjokomuny.

— To dość prawdopodobne - przyznał Meliadus. - Na razie zapomnijmy o wyprawie Trotta i zajmijmy się szczegółami naszego planu. Taragorm także pracuje nad urządzeniem, dzięki któremu być może uda się dotrzeć do Zamku Brass.

— Chyba najlepiej będzie, jeśli Taragorm skoncentruje się na tej właśnie części planu, gdyż jest to jego specjalność, ja natomiast podejmę próby reaktywowania Czarnego Klejnotu - zaproponował Kalan.

— Może i tak - mruknął Meliadus. - Chciałbym jeszcze naradzić się ze szwagrem. Udam się teraz do niego i jak najszybciej

skontaktuję ponownie z tobą - rzekłszy to dał znak niewolnicom, by przyniosły jego lektykę. Wszedł do środka, pomachał Kalanowi na pożegnanie, a następnie rozkazał dziewczynom zanieść się do Pałacu Czasu.



## ROZDZIAŁ III

### TARAGORM Z PAŁACU CZASU

**W**dziwnym pałacu, zbudowanym na kształt gigantycznego czasomierza, pośród ogłuszającego bębnienia i dzwonienia oraz świstu powietrza rozcinanego wahadłem głównego mechanizmu, Taragorm, którego wielka maska, będąca właściwie zegarem, pokazywała aktualny czas z taką samą dokładnością jak wszystkie inne urządzenia wokół, ujął Meliadusa pod ramię. Poprowadził go przez Salę Wahadłową, gdzie tuż nad głowami ludzi kołysał się to w jedną, to w drugą stronę pięćdziesięcotonowy mosiężny obciążnik w formie stylizowanego promiennego słońca.

— Zatem, bracie - baron z Kroiden musiał przekrzykiwać panujący tu hałas - otrzymałem twój list, w którym napisałeś, że nowiny z pewnością mnie zainteresują, lecz poza wyznaczeniem spotkania nie podałeś żadnych szczegółów.

— Owszem. Uznałem, że lepiej będzie zakomunikować ci o tym w tajemnicy. Chodź. - Taragorm powiódł Meliadusa krótkim korytarzem do niewielkiego pokoiku, w którym stał tylko jeden bardzo stary zegar. Kiedy zamknął drzwi, hałasy znacznie przycichły. Wskazał dłonią czasomierz.

— To prawdopodobnie najstarszy zegar świata, bracie. Nazwano go „dziadkiem”, a został wykonany przez Thomasa Tompiona.

— Nigdy nie słyszałem o tym człowieku.

— Był największym mistrzem rzemiosła swojej epoki. Żył na długo przed rozpoczęciem Tragicznego Millenium.

— Naprawdę? Czyżby wiadomości te miały coś wspólnego z obiecanyymi nowinami?

— Oczywiście, że nie. - Taragorm klasnął w dłonie i otworzyły się niewielkie drzwiczki w bocznej ścianie. Stał w nich wychudzony człowiek w poszarpanym ubraniu, z twarzą ukrytą za prostą podniszczoną skórzaną maską. Złożył przed Meliadusem wykwintny ukłon.

— Kto to jest?

— Elvereza Tozer, bracie. Z pewnością pamiętasz to nazwisko?

— Pewnie! Człowiek, który skradł pierścień Mygana, a następnie zniknął!

— Właśnie. Opowiedz mojemu bratu, baronowi Meliadusowi, gdzie przebywałeś, mistrzu Tozerze...

Ten skłonił się ponownie, przysiadł na krawędzi stołu i rzekł, rozkładając szeroko ręce:

— Byłem w Zamku Brass, panowie!

Meliadus rzucił się nagle ku niemu i chwycił przerażonego Tozera za luźno zwisającą koszulę.

— Gdzie byłeś?! - warknął.

— W... Zamku... Brass, wasza miłość...

Baron potrząsnął pisarzem i postawił go na podłodze.

— Jak się tam dostałeś?

— Przypadkiem... Zostałem schwytany przez Hawkmoona z Koln... Więzili mnie... zabrali mój pierścień... Ale udało mi się go odzyskać... uciekłem... i wróciłem tutaj... - jąkał się przestraszony Tozer.

— Dostarczył nam także informacje, które są dla nas bardzo

interesujące - wtrącił Taragorm. - Opowiedz wszystko, Tozerze.

— Maszyna, która ich ochrania i utrzymuje w tamtym wymiarze, znajduje się w lochach zamku, pilnie strzeżona. Jest to krystaliczne urządzenie pochodzące z miasta zwanego Soryandum. Dzięki niemu właśnie zniknęli z tego świata i teraz ukrywają się w bezpiecznym miejscu. To wszystko prawda, panowie...

Taragorm wybuchnął śmiechem.

— Zgadza się, Meliadusie. Testowałem go już kilkakrotnie. Słyszałem o tej krystalicznej maszynie, nie sądziłem jednak, że nadal istnieje. Myślę, że opierając się na innych informacjach przekazanych przez Tozera uda mi się coś osiągnąć.

— Przenieść nas do Zamku Brass?

— Och nie, chodzi mi o coś znacznie korzystniejszego. Jestem prawie pewien, że już niedługo będę mógł przywołać z powrotem Zamek Brass do naszego wymiaru.

Przez dłuższą chwilę Meliadus w milczeniu mierzył wzrokiem Taragorma, wreszcie zaczął się śmiać. Po chwili ryczał na cały głos, zagłuszając dobiegające z zewnątrz hałasy.

— Nareszcie! Nareszcie! Dziękuję ci, bracie! Dziękuję, mistrzu Tozerze! Opatrzność na pewno jest po mojej stronie!

## ROZDZIAŁ 10

### MISJA DLA MELIADUSA

Następnego dnia Meliadus zmuszony był stawić się przed obliczem króla Huona. Przez całą drogę korytarzami pałacu gryzł się podejrzeniami. Czyżby Kalan go zdradził? Przekazał królowi Huonowi prawdziwe rezultaty testu w maszynie mentalnej? A może Huon sam się domyślił? Cokolwiek powiedzieć, w ciągu dwóch tysięcy lat życia wiele musiał się nauczyć. Może Kalan niezbyt umiejętnie sfałszował zapisy i nieśmiertelny władca nie dał się wyprowadzić w pole? Czuł, że ogarnia go coraz silniejsza panika. Czyż miał to być koniec wszystkiego? Czy po wejściu do Sali Tronowej nie usłyszy skierowanego do strażników z Zakonu Modliszki rozkazu wykonania wyroku śmierci?

Olbrzymie drzwi otworzyły się przed nim, lecz drogę zastąpili gwardziści. W odległym końcu sali wisiała czarna, tajemnicza Kula Tronowa.

Meliadus ruszył wolno w tamtym kierunku.

Zbliżył się do niej i złożył hołd, ale jeszcze przez jakiś czas kula pozostawała czarną, nieprzeniknioną bryłą. Czyżby Huon grał na zwłokę?

W końcu jednak przemknęły po niej pasma błękitu, potem zieleni, przekształciły w róż i mleczną biel, wreszcie ukazała się zwinięta niczym embrion postać, a przenikliwe spojrzenie

złowieszczych oczu spoczęło na Meliadusie.

— Baronie...

— Szlachetny Władco.

— Jesteśmy zadowoleni z ciebie.

Zdumiony Meliadus uniósł wzrok.

— Wielki Imperatorze?

— Jesteśmy zadowoleni i pragniemy cię uhonorować.

— Szlachetny Książę?

— Wiesz, oczywiście, iż Shenegar Trott wyruszył na niezwykle ważną wyprawę.

— Tak, Wszechmocny Monarcho.

— Wiesz także, dokąd się udał.

— Nie wiem, Światło Wszechświata.

— Popłynął do Amareku, by zebrać jak najwięcej wiadomości o tym kontynencie oraz przekonać się, czy napotkamy opór, jeśli wylądujemy z liczniejszymi wojskami.

— Należy zatem sądzić, że napotkał opór mieszkańców, Nieśmiertelny Władco...?

— Owszem. Jego raport powinien nadejść już tydzień temu. Zaczynamy się niepokoić.

— Sądzisz, że zginął, Szlachetny Imperatorze?

— Chcielibyśmy się o tym przekonać. A jeżeli został zabity, dowiedzieć się, z czyjej ręki poniósł śmierć. Baronie Meliadusie, chcemy powierzyć ci dowództwo drugiej ekspedycji.

W pierwszej chwili Meliadusa ogarnęła wściekłość. Miał być dopiero drugim po tym tłustym bufonie, Troicie! Miał tracić czas na poszukiwania wzdłuż wybrzeży kontynentu śladów zaginionego Trotta! Nic z tego! Już w tej chwili zaatakuje Kulę Tronową, nawet gdyby ten zgrzybiały głupiec miał powalić go trupem na miejscu. Przełknął jednak złość, a w jego umyśle

począł kiełkować nowy plan.

— Jestem zaszczycony, Królu Wszechrzeczy - rzekł z szyderczą pokorą. - Czy mogę sam dobrać sobie załogę?

— Jeśli tego pragniesz...

— Chciałbym wybrać ludzi, na których mogę polegać: członków Zakonu Wilka oraz Zakonu Sępa.

— Ależ oni nie są żeglarzami, nie są nawet obeznani z morzem!

— Pośród Sępów są marynarze, Władco Świata, i tych właśnie mi potrzeba.

— To twoja sprawa, baronie Meliadusie. Twoja sprawa.

Barona zaskoczyła wiadomość, że Trott pożegłował do Amareku, ale teraz potraktował to jako jeszcze jeden powód do urazy, ponieważ Huon powierzył hrabiemu Sussex zadanie, które wedle prawa należało się jemu. Kolejny rachunek do wyrównania - stwierdził w duchu. Pochwalił siebie za to, że wyczekał na właściwy moment i przyjął, przynajmniej na pozór, królewskie rozkazy. Oto bowiem istota, którą od pewnego czasu uważał za swego największego - po Hawkmoonie - wroga, sama niejako wkładała mu broń do ręki.

Starał się sprawiać wrażenie, jakby namyślał się przez chwilę.

— Jeśli sądzisz, Monarcho Przestrzeni i Czasu, że Legion Sępów może nie być mi posłuszny, pozwól, by popłynął wraz ze mną ich przywódca...

— Przywódca? Asrovak Mikosevaar nie żyje, został zabity przez Hawkmoona!

— Ale godność konstabla odziedziczyła po nim wdowa...

— Flana?! Kobieta?!

— Tak, Wielki Imperatorze. Ona mogłaby nimi kierować...

— Nie wydaje mi się, by hrabina Kanbery była zdolna do kierowania choćby potulnym królikiem. Jest tak enigmatyczna.

Lecz jeśli taka twoja wola, mój panie, niech będzie i tak.

Przez następną godzinę omawiali szczegóły planu i król Huon przedstawił Meliadusowi wszelkie dostępne informacje o pierwszej ekspedycji Trotta.

Kiedy baron z Kroiden wychodził z Sali Tronowej, w jego oczach, ukrytych przed wzrokiem innych, płonęły ogniki triumfu.

## ROZDZIAŁ V

### FLOTA W DEAU-VERE

Niewielka flota była zakotwiczona u wyjścia na otwarte morze, w otoczonym z trzech stron nabrzeżami ze szkarłatnego kamienia porcie, nad którym górowały wieże miasta Deau-Vere. Na płaskich dachach budynków stało ze złożonymi skrzydłami tysiące skrzydłolotów, a zdobienia nadawały im wygląd wielkich ptaszysk lub mitycznych potworów. Piloci w maskach symbolizujących kruki lub sowy przechadzali się dumnym krokiem po ulicach miasta, mijając marynarzy w hełmach przedstawiających rybę lub węża morskiego, a także grupki żołnierzy piechoty i kawalerii - z Zakonów Świni, Czaszki, Psa, Kozła, Byka - przygotowujących się do przekroczenia kanału, lecz nie na pokładzie statków, a po osławionym Srebrnym Moście Nad Morzem. Jego zarysy widoczne były po drugiej stronie miasta - łagodny łuk konstrukcji, z pozoru delikatnej, błyszczącej, ginął w horyzontalnej mgiełce; bezustannie wędrowały po nim tabory przewożące towary między Granbretanem i kontynentem.

Na pokładach stojących w porcie okrętów kłębiły się tłumy żołnierzy w hełmach przedstawiających wilki i sępy, uzbrojonych po zęby w miecze, włócznie, łuki z kołczanami pełnymi strzał oraz ogniste lance, zaś na statku flagowym floty powiewały obok siebie sztandary Wielkiego Konstabla Zakonu



Wilka i Wielkiego Konstabla Zakonu Sępa. Ten ostatni utworzono z dawnego Legionu Sępów, który z rozkazu króla Huona, w uznaniu zasług w podbijaniu Europy oraz dla uczczenia pamięci krwiożerczego przywódcy Legionu, Asrovaka Mikosevaara, wyniesiony został do rangi zakonu.

Okręty różniły się tym od innych, że nie miały żagli, zamontowano natomiast za rufami olbrzymie koła łopatkowe. Ich konstrukcja stanowiła mieszaninę kunsztownie rzeźbionych drewnianych belek oraz pokrytych barokowymi deseniami blach. Burty zdobiły precyzyjnie wykonane malowidła, ukazujące sceny dawniejszych morskich zwycięstw granbretańskiej floty. Galiony wszystkich okrętów wyobrażały złożone podobizny starożytnych przerażających bogów Granbretanu: Jhona, Jhorga, Phowla i Rhungi - którzy według podań rządili krajem przed nastaniem Tragicznego Millenium - Chirshila, Wyjącego Boga, Bjrina Adassa, Śpiewającego Boga, Jeajeego Błada, Jęczącego Boga, JhTma Słasa, Łkającego Boga oraz Arala Vilsna - Ryczącego Boga, Boga Najwyższego - ojca Skvese'a i Blansacredida, bóstw Potępienia i Chaosu.

Na mostku „Arala Vilsna”, okrętu flagowego, obok hrabiny Flany Mikosevaar stał baron Meliadus. Poniżej, na głównym pokładzie, zaczęli się zbierać zasłonięci wilczymi i sępimi maskami kapitanowie okrętów, wezwani przez barona z Kroiden na naradę.

W końcu popatrzyli z oczekiwaniem w górę, a Meliadus odchrząknął.

— Na pewno zastanawiacie się, co jest celem naszej wyprawy, a także łamiecie sobie głowy nad konstrukcją owych tajemniczych okrętów, na których mamy popłynąć. Statki nie stanowią żadnej tajemnicy, zostały wyposażone w silniki

podobne do tych, którymi napędzane są skrzydłoloty, dysponują jednak znacznie większą mocą i są dziełem geniusza Granbretanu, barona Kalana z Vitall. Dzięki nim będziemy mogli pokonać ocean zdecydowanie szybciej, niż gdybyśmy korzystali z żagli, a poza tym nie będziemy uzależnieni od kaprysów pogody. Co do celu naszej podróży, wyjawię go później w tajemnicy. Ten statek, „Aral Vilsn”, wziął swą nazwę od najpotężniejszego z bogów starożytnego Granbretanu, dzięki któremu nasz naród mógł wynieść się ponad inne nacje. Nazwy jego siostrzanych okrętów, „Skvese” oraz „Blansacredid”, to stare słowa oznaczające Potępienie i Chaos. Ale byli to również synowie Arala Vilsna, także reprezentujący glorię Granbretanu, dawną, mroczną glorię, posępną i krwawą, straszliwą glorię naszej ojczyzny. Glorię, z której na pewno wszyscy jesteście bardzo dumni... - Meliadus zawiesił głos. - Czy chcielibyście oglądać jej upadek, panowie?

— Nie! Nie! - rozległy się chóralne okrzyki. - Na Arala Vilsna, na Skvese’a i Blansacredida! Nie! Nie!

— Czy gotowi jesteście uczynić wszystko, żeby Granbretan zachował swą czarną potęgę i lunatyczną glorię?

— Tak! Tak! Tak!

— Czy wszyscy pójdziecie za mną na szaleńczą wyprawę, tak jak cała załoga „Arala Vilsna” i jej dowódcy?

— Tak! Powiedz, dokąd mamy płynąć! Powiedz nam!

— Nie wycofacie się? Będziecie mi towarzyszyć aż do końca?

— Tak! - odpowiedział mu zgodny chór głosów.

— Chodźcie zatem do mojej kajuty, tam przedstawię wam szczegółowy plan. Ale strzeżcie się; każdy, kto pozna tajemnicę, będzie musiał dochować mi wierności, jeśli natomiast sprzeciwi się moim planom, nie wyjdzie stamtąd żywy.

Meliadus odwrócił się na pięcie, zszedł z mostka i ruszył w stronę kajuty. Wszyscy kapitanowie zgodną gromadą podążyli za nim, wszyscy także mieli wyjść żywi z narady.



Mrok wewnątrz rozpraszało jedynie światło słabej lampy. Baron stanął obok stołu, na którym leżały rozłożone mapy, lecz nawet nie spojrzał na nie. Przemówił do swych ludzi niskim, wibrującym głosem.

— Nie mam zamiaru dłużej tracić czasu, panowie, i przedstawię wam od razu cel naszej wyprawy. Bierzecie udział w spisku... - odchrząknął. - Podnosimy rebelię przeciwko dziedzicznemu władcy, Królowi-Imperatorowi Huonowi.

Z różnych stron kajuty dobiegły głośne westchnienia, lecz wilcze i sępie maski nadal wpatrywały się z uwagą w barona z Kroiden.

— Król Huon jest szalony - wyjaśnił pospiesznie Meliadus. - Do realizacji tego planu popchnęły mnie nie osobiste dążenia, ale miłość do ojczyzny... Jest obłąkany, dwa tysiące lat sprawowania władzy przyćmiły jego rozsądek, zamiast stać się źródłem mądrości. Zbyt. szybko chciałby podbić świat. My na przykład mieliśmy popłynąć do Amareku i przekonać się, czy zdołamy podbić tamten ląd, podczas gdy zaledwie udało nam się złamać potęgę krajów Środkowego Wschodu, a wciąż jeszcze pozostały nie zdobyte pewne regiony Moskovii.

— I pan objąłby tron króla Huona, Wielki Konstabl Wilków? - zapytał ironicznie jeden z kapitanów z Zakonu Sępa.

— Skądże znowu! - pokręcił głową Meliadus. - Królową Granbretanu będzie Flana Mikosevaar. Sępy i Wilki na równi zastąpią żołnierzy Modliszki w królewskiej gwardii. Wasze

zakony będą dominować...

— Przecież Sępy to zakon najemników - wytknął któryś z kapitanów w masce wilka.

Meliadus wzruszył ramionami.

— Dowiodły swej lojalności wobec Granbretanu. Ponadto można wykazać, że większość spośród naszych rodzimych zakonów trawi od wewnątrz choroba, że przyda się zastrzyk nowej krwi Mrocznemu Imperium.

— Zatem Flana będzie naszą Królową-Imperatorową. A pan, baronie z Kroiden? - odezwał się w zamyśleniu inny kapitan Zakonu Sępa.

— Zostanę regentem i małżonkiem królowej. Poślubię Flanę i będę jej pomagał.

— To znaczy, że chociaż nie posiadając tego tytułu, w istocie będzie pan Królem-Imperatorem? - dopytywał się kapitan Sępów.

— Owszem, będę sprawował władzę, ale to w żyłach

Flany płynie krew królewskiego rodu, nie w moich. Prawem dziedziczości jej należy się tytuł Królowej-Imperatorowej. Ja zostanę tylko Naczelnym Wodzem Armii, natomiast wszystkie pozostałe nici władzy będą w jej rękach. Wojna jest moim życiem, panowie, i pragnę jedynie udoskonalić metody prowadzonych przez nas podbojów.

Kapitanowie wydawali się usatysfakcjonowani tą odpowiedzią.

— Więc zamiast wyruszyć z porannym odpływem w rejs do Amareku - mówił dalej Meliadus - poześlujemy wzdłuż wybrzeża, wczekamy na odpowiedni moment, następnie wpłyniemy do ujścia Tamzy, skierujemy się w górę rzeki i wylądujemy w samym sercu Londry, zanim ktokolwiek zdoła przejrzeć nasze zamiary.

— Ale Huon jest dobrze strzeżony, nie sposób zdobyć jego

pałacu. Poza tym w mieście na pewno niektóre legiony pozostaną mu wierne - zauważył któryś z kapitanów Zakonu Wilka.

— Spotkamy się w Londrze z naszymi sprzymierzeńcami. Wiele legionów opowie się po naszej stronie. Sprzyja nam Taragorm, który po śmierci kuzyna odziedziczył dowództwo nad kilkoma tysiącami żołnierzy. To prawda, że Zakon Łasicy jest jednym z mniej licznych, ale niemal w całości stacjonuje w Londrze, podczas gdy wiele legionów innych zakonów broni naszych posiadłości w Europie. W chwili obecnej większość szlachciców, którzy raczej pozostaliby lojalni wobec Huona, przebywa na kontynencie. To znakomity moment do uderzenia. Również baron Kalan jest po naszej stronie. Dzięki niemu możemy dysponować nowymi rodzajami broni, zyskujemy też ludzi z Zakonu Węża do obsługi tych maszyn. Jeśli uda nam się odnieść szybkie zwycięstwo albo przynajmniej błyskawicznie opanować miasto, wówczas wiele oddziałów przejdzie na naszą stronę, a już tylko nieliczne pozostaną wierne Huonowi, gdy osadzimy na tronie Flanę.

— Mimo wszystko czuję się lojalnym poddanym króla Huona...  
- przyznał kapitan Wilków. - Wierność została nam wszczepiona...

— Podobnie jak wierność duchowi Arala Vilsna czy oddanie dla wszystkich ideałów Granbretanu. Te mamy wszczepione jeszcze głębiej i czyż nie można powiedzieć, że na tym właśnie polega nasza lojalność?

Oficer zastanawiał się przez chwilę, wreszcie skinął głową.

— Tak, to prawda. Myślę, że gdy na tronie zasiądzie nowy władca z królewskiego rodu, wówczas wszystkie znaczące siły przejdą na naszą stronę.

— Na pewno! Na pewno! - gorąco zapewnił Meliadus, a

widoczne przez szczeliny hełmu jego oczy silnie rozbłysły.

## ROZDZIAŁ VI

### POWRÓT DO ZAMKU BRASS

W wielkim holu Zamku Brass Yisselda Hawkmoon, córka hrabiego Brassy, nie mogła powstrzymać łez. Płakała ze szczęścia, nie potrafiła uwierzyć, że stojący przed nią mężczyzna jest jej mężem, którego darzyła tak gorącym uczuciem - wręcz bała się go dotknąć, by nie okazało się, iż to jedynie zjawą. Lecz kiedy Hawkmoon zaśmiał się, podszedł do niej, objął ją i ucałował wilgotne od łez policzki, wreszcie i jej oblicze rozpromienił uśmiech.

— Och, Dorianie! Dorianie! Lękaliśmy się, że Granbretañczycy cię zabili!

— Cokolwiek można by powiedzieć, Granbretan był najbezpieczniejszym ze wszystkich miejsc, jakie odwiedziliśmy w trakcie naszej wyprawy - rzekł Hawkmoon z radością w głosie. - Czyż nie tak, d'Avercu?

Francuz zakasłał w chusteczkę.

— Owszem, chyba także najzdrowszym.

Bowgentle, którego pociągła twarz emanowała jak zawsze spokojem, pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Jak wam się udało wrócić z Amareku w tamtym wymiarze do Kamargu znajdującego się w tej czasoprzestrzeni?

Hawkmoon wzruszył ramionami.

— Nie mnie pytaj o to, panie Bowgentle, nie mnie. Przenieśli

nas tu Ludzie Wielkiej Dobroci, tyle tylko potrafię powiedzieć. Zrobili to błyskawicznie, podróż nie trwała dłużej niż kilka minut.

— Ludzie Wielkiej Dobroci! Nigdy o nich nie słyszałem! - stwierdził cierpko hrabia Brass, strosząc swe rude wąsy i próbując ukryć napływające do oczu łzy. - To chyba jakieś duchy, prawda?

— Tak, swego rodzaju duchy, ojciec - rzekł książę Koln, wyciągając na powitanie dłoń do teścia. - Świetnie wyglądasz, hrabio Brass. Twe włosy są tak samo rude jak zawsze.

— To wcale nie jest oznaka młodości - oświadczył hrabia. - To rdza! Rdzewieję z gnuśności, podczas gdy wy podróżujecie wzdłuż i wszerz świata.

Oladah, drobny syn Gigancicy z Gór Bułgarskich, nieśmiało wystąpił naprzód.

— Cieszę się, że wróciłeś, drogi przyjacielu. Jak widzę, dopisuje ci zdrowie. - Uśmiechnął się, wręczając Hawkmoonowi puchar napełniony winem. - Proszę, potraktuj to jako toast powitalny!

Uradowany Hawkmoon przejął kielich z jego ręki i opróżnił go jednym haustem.

— Dziękuję, drogi Oladahnie. Jak wam się tutaj powodziło?

— Wszystkim nam doskwierała nuda. Poza tym baliśmy się, że nie wrócicie.

— A jednak wróciliśmy. Sądzę też, że mamy tak wiele do opowiadania o naszych przygodach, że rozproszymy waszą nudę przynajmniej na kilka godzin. Przynoszę nowinę o czekającej nas wszystkich misji. Okres dokuczającej wszystkim bezczynności dobiega końca.

— Mów zatem! - ryknął hrabia Brass. - Zaklinam cię, nie trzymaj nas dłużej w niepewności!



Hawkmoon zaśmiał się głośno.

— Dobrze, ale dajcie mi jeszcze chwilę, bym nasycił wzrok widokiem żony. - Odwrócił się, spojrział prosto w oczy Yisseldzie i dostrzegł jej wzburzenie.

— Cóż się stało, Yisseldo?

— Sądząc po twoim zachowaniu - oznajmiła - coś mi podpowiada, mój panie, że wkrótce znów zamierzasz ryzykować życie.

— Niewykluczone.

— Niech i tak będzie, jeśli to konieczne. - Westchnęła głęboko, po czym uśmiechnęła się. - Mam jednak nadzieję, że nie nastąpi to jeszcze dzisiejszej nocy.

— Na pewno nie w ciągu najbliższych dni. Musimy opracować szczegółowe plany.

— To dobrze - odparła cichym głosem, spuszczać wzrok ku kamiennej posadzce. - Ja także mam ci wiele do powiedzenia.

Hrabia Brass podszedł do nich, wskazując ręką odległy koniec holu, gdzie służba kończyła właśnie zastawiać stół.

— Siadajmy do posiłku. Zachowaliśmy najlepsze kaski na wasz powrót.



Później, kiedy zaspokoiли głód i zasiedli przed kominkiem, Hawkmoon zademonstrował im Miecz Świtu oraz Magiczną Laskę, którą wyciągnął zza pazuchy. W tej samej chwili hol zamku wypełniły niezwykle promieniste wzory utworzone przez wirujące strumienie światła, a zarazem w powietrzu uniósł się dziwny, gorzkawosłodki aromat. Wszyscy spoglądali na ów przedmiot w pełnym zachwytu milczeniu, aż w końcu Hawkmoon schował go.

— Oto nasz sztandar, przyjaciele. Jemu będziemy służyć, gdy wypowiemy wojnę całemu Mrocznemu Imperium.

Oladahń podrapał się w porośnięty gęstym futrem policzek.

— Całemu Mrocznemu Imperium?

— Tak. - Książę uśmiechnął się nieznacznie.

— Czy Granbretan nie dysponuje armią liczącą kilka milionów żołnierzy? - spytał niewinnym głosem Bowgentle.

— Chyba rzeczywiście jest ich kilka milionów.

— My zaś mamy w Zamku Brass zaledwie pięć setek obrońców Kamargu - mruknął hrabia Brass, otarł usta rękawem i w ironicznym grymasie zmarszczył brwi. - Przeliczmy zatem...

— Jest nas więcej niż pięć setek ludzi - wtrącił d'Averc. - Zapomnieliście o Legionie Świtu. - Wskazał miecz Hawkmoona, osłonięty pochwą i leżący obok jego krzesła.

— Jak liczny jest ten tajemniczy legion? - zapytał Oladahń.

— Nie wiem. Możliwe, że liczba wojowników jest nieograniczona.

— Załóżmy, że jest ich tysiąc - rzekł zamyślony hrabia Brass. - Ostrożnie licząc, rzecz jasna. Otrzymujemy zatem tysiąc pięciuset wojowników przeciwko...

— Kilku milionom - podsunął d'Averc.

— Zgadza się. Kilku milionom, mającym za sobą całą siłę Mrocznego Imperium, nie wspominając o wiedzy naukowej, z jaką nasza nie może się równać...

— Jest jeszcze Czerwony Amulet oraz pierścienie Mygana - przypomniał mu Hawkmoon.

— Ach tak, owszem... - Hrabia Brass miał coraz bardziej kwaśną minę. - Mamy wiele atutów. Nawet racja jest po naszej stronie. Czy ją także mam zaliczyć do atutów, książę Dorianie?

— Czemu nie. Jeśli używając pierścieni Mygana będziemy

robili krótkie wypadki do naszego macierzystego wymiaru i organizowali potyczki, uwalniając zniewolonych mieszkańców, być może uda nam się stworzyć coś w rodzaju armii chłopskiej.

— Armia chłopska, mówisz? No cóż...

Hawkmoon westchnął.

— Zdaję sobie sprawę, że ich przewaga liczebna jest ogromna, hrabio Brass.

Hrabia niespodziewanie wybuchnął donośnym, dźwięcznym śmiechem.

— To prawda, chłopcze. Trafiłeś w samo sedno!

— Co masz na myśli?

— Jest to właśnie taki układ sił, jaki lubię najbardziej. Przyniosę zaraz mapy i spróbujemy ułożyć plan naszej wstępnej kampanii!

Hrabia Brass odszedł, natomiast Oladahn zwrócił się do Hawkmoona:

— Chyba z tego wszystkiego zapomnieliśmy ci powiedzieć, że Elvereza Tozer uciekł. Zabił strażnika, który towarzyszył mu podczas konnej wycieczki, wrócił do zamku, odzyskał swój pierścień i zniknął.

Księżę zmarszczył brwi.

— To zła nowina. Możliwe, że udało mu się wrócić do Londry.

— Właśnie. Jesteśmy w tej chwili wystawieni na atak, drogi Hawkmoonie.

Hrabia Brass pojawił się z powrotem, dźwigając naręcze map.

— Przyjrzyjmy się...

Po godzinie księżę Koln wstał od stołu, ujął Yisseldę pod ramię, życzył przyjaciołom dobrej nocy, po czym powiódł żonę do małżeńskich apartamentów.

W pięć godzin później nie spali jeszcze - leżeli utuleni,

obejmując się nawzajem. Właśnie wtedy Yisselda powiedziała mu, że spodziewa się dziecka.

Przyjął tę nowinę w milczeniu, jedynie pocałował żonę i przytulił ją mocniej. Lecz gdy Yisselda usnęła, wstał z łóżka, podszedł do okna i zapatrzył się na porośnięte trzcinami mokradła i laguny Kamargu. Stwierdził w duchu, że ma teraz znacznie ważniejszy powód do toczenia walki na śmierć i życie niż tylko przyświecające mu dotychczas ideały.

Miał nadzieję, że będzie mu dane dożyć narodzin dziecka.

Miał nadzieję, że jego dziecko przyjdzie na świat, nawet jeśli on tego nie dożyje.

## ROZDZIAŁ VII

### BESTIE WSZCZYNAJĄ AWANTURĘ

Meliadus uśmiechnął się pod maską i mocniej ścisnął ramię Flany Mikosevaar, kiedy przed nimi, w górze rzeki wyłoniły się wieże Londry.

— Wszystko układa się pomyślnie - mruknął. - Już wkrótce, kochana, zostaniesz królową. Nie spodziewają się niczego. I nie powinni się spodziewać. Od stu wieków nie było podobnego buntu! Nie są przygotowani. Jakże będą teraz przeklinać architektów, którzy rozmieścili koszary wzdłuż brzegów rzeki! - zaśmiał się cicho.

Flana odczuwała już zmęczenie nieustannym jazgotem silników oraz turkotem wielkiego koła łopatkowego napędzającego okręt. Zrozumiała, iż jedną z największych zalet statków żaglowych była panująca na nich cisza. Doszła do wniosku, że kiedy wygrają walkę i ona zostanie królową Granbretanu, wyda zakaz pojawiania się tych hałaśliwych okrętów w obrębie Londry. Nie była jednak jeszcze zirytowana, a podjęta decyzja nie należała do najważniejszych. Ponownie zagłębiła się we własnych myślach, zapominając o Meliadusie i jego planach, zapominając nawet o tym, że jedynie dlatego zgodziła się brać udział w tym wszystkim, ponieważ niezbyt dbała o to, co ją czeka. Jej myśli znów skierowały się ku d'Avercowi.

Kapitanowie dowodzący pozostałymi okrętami wiedzieli dokładnie, co mają robić. Oprócz znakomitych silników Kalana dysponowali także skonstruowanymi przez niego działami ogniowymi i znali dobrze cele - wojskowe koszary Zakonów Świni, Szczura i Muchy oraz innych legionów, położone tuż nad brzegami rzeki, na przedmieściach Londry.

Baron Meliadus niespiesznie poinstruował kapitana okrętu flagowego, by wywiesił odpowiednią chorągiew, będącą sygnałem do rozpoczęcia bombardowania.

Wstawał świt. Londra, posępna i mroczna jak zawsze, setkami swych niezwykłych wież dźwigająca się w stronę chmur, przypominała wyciągnięte ku niebu palce milionów obłąkanych mieszkańców.

O tak wczesnej porze jedynie niewolnicy powinni być na nogach, nie licząc oczywiście Taragorma, Kalana i ich ludzi, którzy na odgłos pierwszych strzałów powinni zająć wyznaczone pozycje. Mieli zamiar wymordować tak wielu wojowników, jak tylko się da, a resztę otoczyć i zepchnąć jak najdalej w kierunku pałacu, by o zmierzchu zamiast kilku punktów oporu został już tylko jeden.

Meliadus zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli ten plan się powiedzie, prawdziwą walkę rozpocznie dopiero atak na pałac oraz że będzie im bardzo trudno zająć go przed nadejściem posiłków.



Oddychał teraz szybciej, jego oczy błyszczały. Ze spiżowej lufy działa bluznął ogień, spadając na budynki pogrążonych we śnie koszarów. Zaledwie po kilku sekundach rozległa się potężna eksplozja i jeden z baraków wyleciał w powietrze.

— Co za szczęście! - wykrzyknął Meliadus. - To dobry znak. Nie spodziewałem się odnieść znaczącego sukcesu tak szybko!

Drugi wybuch - tym razem eksplodował barak na przeciwległym brzegu rzeki. Z budynków wysypywali się ludzie, niektórzy przerażeni do tego stopnia, że nawet zapomnieli ukryć twarze za maskami! Na miotających się w panice żołnierzy spadły salwy z ognistych dział, zamieniając ich w popiół. Chóralne wrzaski i jęki rozbrzmiały echem między pogrążonymi w ciszy wieżami Londry, stanowiąc dla mieszkańców pierwsze ostrzeżenie co do czekającego ich wszystkich losu.

Maski wilcze obracały się ku sępiim maskom, wyrażając niemą satysfakcję w miarę rozszerzania się na brzegach rzeki dzieła zniszczenia. Świnie i Szczury nurkowały pod osłonę ruin, Muchy rzucały się w stronę stojących jeszcze budynków, ci zaś, którzy zdołali odnaleźć ogniste lance, bezładnie otwierali ogień.

Bestię wszczęły wielką awanturę.

Była ona częścią składową tej samej kolei zdarzeń, które zapoczątkował Meliadus, kiedy znieważony i wygnany z Zamku Brass złożył przysięgę na Magiczną Laskę.

Ale nikt nie umiał jeszcze rozsądzić, do czego doprowadzą te wydarzenia i kto będzie ostatecznym zwycięzcą - Huon, Meliadus czy też Hawkmoon.

## ROZDZIAŁ VIII

### WYNAŁAZEK TARAGORMA

Jeszcze przed południem baraki zostały doszczętnie zmiecione z powierzchni ziemi, a ci, którzy przeżyli, bronili się zaciekle na ulicach w pobliżu centrum Londry. Zostali tu zasileni kilkoma tysiącami żołnierzy z Zakonu Modliszki. Prawdopodobnie król Huon nadal nie miał pojęcia, co się dzieje. Możliwe, że przypuszczał, iż na miasto napadły oddziały Azjokomunistów przebranych za Granbretańczyków. Meliadus z uśmiechem na ustach szedł wraz z Flaną Mikosevaar na łód i w otoczeniu tuzina żołnierzy, zarówno z Zakonu Wilka jak i Sępa, ruszył na piechotę w stronę Pałacu Czasu. Zaskoczenie było kompletne. Oddani mu żołnierze trzymali się otwartych ulic, unikając labiryntu krytych pasaży, łączących większość budowli miasta. Ci wojownicy, którzy odważyli się stanąć im na drodze, zostali szybko wybici. Żołnierze Huona znaleźli się w potrzasku, ukryci we wnętrzach budynków nie mieli nawet do dyspozycji dogodnie położonych okien, skąd mogliby prowadzić skuteczny ogień. Architekci Londry z rzadka korzystali z możliwości umieszczania okien, Granbretańczycy bowiem nie darzyli zbytnimi względami świeżego powietrza i światła słonecznego. Zatem jeśli już umieszczano okna, znajdowały się na tyle wysoko, iż nie były dogodnymi punktami nawet dla snajperów. Także skrzydłoloty, nie przystosowane do walk w tak gęsto zabudowanym mieście



jak Londra, okazały się, wbrew obawom Meliadusa, niezbyt groźne. Wkraczał zatem do Pałacu Czasu wielce uradowany. Taragorm czekał na niego w niewielkiej sali.

— Bracie! Nasze sprawy mają się znakomicie, znacznie lepiej niż się spodziewałem.

— To prawda - odparł Taragorm. Skinieniem głowy powitał Flanę, z którą podobnie jak Meliadusa łączył go kiedyś krótkotrwały związek małżeński.

— Moje Łasice mają jak do tej pory niewiele roboty. Ale na pewno przydadzą się nam do wykurzenia tych wszystkich, którzy pochowali się w tunelach. Mam zamiar wykorzystać swoich żołnierzy do zaatakowania obrońców od tyłu, kiedy tylko zlokalizujemy główne punkty oporu.

Meliadus skinieniem głowy wyraził swą aprobatę.

— Przekazano mi wiadomość, że chcesz jak najszybciej widzieć się ze mną. O co chodzi?

— Sądzę, że odkryłem sposób na sprowadzenie twych przyjaciół z Zamku Brass z powrotem w ich macierzysty wymiar - mruknął Taragorm z nie skrywaną satysfakcją w głosie.

Meliadus jęknął cicho. Dopiero po chwili Flana zrozumiała, iż miało to oznaczać najwyższe zadowolenie.

— Och, Taragormie! Nareszcie będę miał w garści te ptaszki!

Tamten zaśmiał się.

— Nie jestem absolutnie pewien, że moja maszyna będzie działać prawidłowo, sądzą jednak, że tak, wykorzystałem bowiem bardzo starą formułę, którą znalazłem w tej samej księdze, gdzie zostało opisane krystaliczne urządzenie z Soryandum. Czy chciałbyś ją obejrzeć?

— Oczywiście! Zaprowadź mnie do niej, bracie, błagam cię!

— Tędy, proszę.

Taragorm powiódł Meliadusa i Flanę przez dwa krótkie korytarze, wypełnione hałasami i stukotem zegarów, i zatrzymał się przed niskimi drzwiami, które otworzył małym kluczykiem.

— Tutaj - rzekł, wyjmując z uchwytu w ścianie pochodnię i oświetlając wnętrze piwnicy. - Musiałem umieścić ją dokładnie na tym samym poziomie, na jakim znajduje się krystaliczne urządzenie w Zamku Brass. Jej głos zdolny jest przenikać do innych wymiarów.

— Niczego nie słyszę - oznajmił nieco rozczarowany baron z Kroiden.

— Nie słyszysz, ponieważ tutaj, w naszym wymiarze, ów głos się nie rozlega. Zapewniam jednak, że jest świetnie słyszalny w innym czasie i przestrzeni.

Meliadus podszedł do maszyny. Przypominała wielki, wysokości dorosłego człowieka, mosiężny, pozbawiony obudowy zegar. W dole poruszało się wahadło napędzające mechanizm zapadki, który regulował ruch wskazówek. Ze wszystkimi sprężynami i zębatkami sprawiała wrażenie najzwyczajszego zegara, tyle że ogromnego. Z boku zamontowane zostało potężne urządzenie przypominające gong z wiszącym nad nim ciężkim ramieniem. Kiedy tylko wskazówki pokazały połowę godziny, ramię dźwignęło się powoli ku górze, po czym opadło gwałtownie na płytę gongu, która wyraźnie wibrowała, nie rozbrzmiał jednak nawet najbliższy dźwięk.

— Nieprawdopodobne! - szepnął Meliadus. - Jak to działa?

— Wciąż jeszcze muszę korygować jej ustawienie, by głos rozbrzmiewał dokładnie w tym wymiarze czasu i przestrzeni, który dzięki pomocy Tozera udało mi się precyzyjnie określić. Kiedy nadejdzie północ, nasi przyjaciele w Zamku Brass

doświadczą czegoś, co nazwałbym nieprzyjemnym zaskoczeniem.

Baron westchnął z zachwytu.

— Och, szlachetny bracie! Powinieneś być najbogatszym i najbardziej szanowanym człowiekiem w całym Imperium!

Taragorm skłonił lekko swą niezwykłą, stanowiącą zegar maskę, traktując słowa Meliadusa jako obietnicę.

— To tylko zwykłe urządzenie - mruknął. - Niemniej dziękuję ci, bracie.

— Czy jesteś pewien, że to działa?

— Jeśli nie działa, wówczas nie będę najbogatszym i najbardziej szanowanym człowiekiem w całym Imperium - odparł żartobliwie Taragorm. - Nie mam też wątpliwości, że zostanę wynagrodzony w zdecydowanie mniej odpowiadający mi sposób.

Meliadus ścisnął potężnymi dłońmi ramiona swego szwagra.

— Nie wolno ci mówić w ten sposób, bracie! Nie wolno!

## ROZDZIAŁ IX

### NARADA HUONA Z DOWÓDCAMI

— I cóż powiecie, panowie? Wszczęły się jakieś rozruchy? - Młodzieńczy głos popłynął z zasuszonego gardła, a przenikliwe spojrzenie czarnych oczu prześliznęło się po maskach zgromadzonych dowódców.

— To rebelia, Szlachetny Monarcho - rzekł jeden z oficerów Zakonu Modliszki. Jego zbroja nosiła ślady walki, a maska była osmalona płomieniem ognistej lancy.

— Wojna domowa, Wielki Imperatorze - stwierdził drugi.

— I chyba nie ma już o czym rozmawiać - mruknął cicho, jakby do siebie stojący obok tamtego inny oficer. - Byliśmy zupełnie nie przygotowani, Znamienity Władco.

— To prawda, panowie. Byliśmy zupełnie nie przygotowani. Winimy za to was, ale także i nas. Zostaliśmy oszukani.

Spojrzenie Huona tym razem znacznie wolniej omiotło zgromadzonych dowódców.

— Czy jest wśród was Kalan?

— Nie ma, Potężny Panie.

— A Taragorm? - zamruczał słodki głosik.

— Taragorma także nie ma, Królu nad Królami.

— Ponadto... ktoś podobno widział Meliadusa na okręcie flagowym...

— U boku hrabiny Flany, Wszechmocny Imperatorze.

— Wszystko jasne. Tak, zostaliśmy podstępnie oszukani.

Nieważne. Rozumiemy jednak, że pałac jest dobrze zabezpieczony?

— Jedyne bardzo wielka armia mogłaby się pokusić o zdobycie go, Panie Świata.

— A może oni dysponują bardzo wielką armią? Zresztą jeśli są z nimi Kalan i Taragorm, mają do dyspozycji znacznie potężniejsze siły. Czy jesteśmy przygotowani na oblężenie, kapitanie? - Huon skierował pytanie do żołnierza z Zakonu Modliszki, stojącego z pochyloną nisko głową.

— Mniej więcej, Znamienity Książę. Podobne wypadki nie miały precedensu.

— To prawda. Może powinniśmy zatem ściągnąć posiłki?

— Z kontynentu - rzekł kapitan. - Wszyscy lojalni baronowie przebywają na kontynencie. Adaz Promp, Brenal Farnu, Shenegar Trott...

— Niestety, nie ma wśród nich Shenegara Trotta - powiedział Huon z żalem w głosie.

— ...Jerek Nankenseen, Mygel Holst...

— Tak, tak, znamy nazwiska naszych baronów. Ale czy możemy być pewni ich lojalności?

— Chyba tak, Wielki Królu-Imperatorze, ponieważ to ich ludzie byli dziś przede wszystkim atakowani. Gdyby popierali Meliadusa, z pewnością przekazaliby te wierne Prawom Zakonów oddziały pod jego sztandary.

— Ten wniosek wydaje się być przekonujący. Wezwijcie zatem wszystkich Lordów Granbretanu. Przekażcie im rozkaz, by jak najszybciej zebrali podlegające im oddziały i przybyli w celu zdławienia rebelii. Prześlijcie im wiadomość, że jesteśmy zaniepokojeni. Niech posłańcy wystartują z dachu pałacu. Powinno się tam znaleźć kilka zdatnych do użytku

skrzydłolotów.

Z oddali dobiegł stłumiony grom, przypominający huk ognistego działa i całą Salę Tronową przebiegło nieznaczne, lecz wyczuwalne drżenie.

— Nawet bardzo zaniepokojeni - westchnął Król-Imperator. - Jaki teren udało się zdobyć Meliadusowi w ciągu ostatniej godziny według waszych ocen?

— Prawie całe miasto z wyjątkiem pałacu, Znamienity Monarcho.

— Zawsze uważaliśmy go za najlepszego spośród naszych generałów.

## ROZDZIAŁ X

### PRZED PÓŁNOCĄ

Baron Meliadus spoglądał ze swej wieży na płonące miasto. Najbardziej podobały mu się spektakularne eksplozje skrzydłolotów nad dachami pałacu. Na bezchmurnym, pociemniałym niebie jasno świeciły gwiazdy. Był wyjątkowo piękny wieczór. A żeby jeszcze bardziej go uprzyjemnić, rozkazał kwartetowi niewolnic, złożonemu z najlepszych wykonawczyń podbitych krajów, grać utwory Londena Johne'a, najślawniejszego kompozytora Granbretanu.

Odgłosy wybuchów, krzyki ludzi i szczęk oręża stanowiły zdaniem Meliadusa wyborne tło dla muzyki. Sączył wino, spoglądał na mapy i mruzczał odtwarzane melodie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Jedna z niewolnic otworzyła je i do środka, kłaniając się nisko, wkroczył dowódca piechoty jego zakonu, Vrasła Beli.

— O co chodzi, kapitanie Beli?

— Muszę donieść, panie, że bardzo szybko tracimy ludzi. W kilku miejscach cudem udało nam się przełamać obronę, ale nie zdołaliśmy utrzymać zajętych już dzielnic bez wsparcia. Albo musimy się przegrupować...

— Albo w ogóle wycofać z miasta i wybrać dogodnie do wielkiej bitwy miejsce. Czy o to panu chodziło, kapitanie Beli?

— Dokładnie, panie.

Baron potarł dłonią maskę.

— Mamy jeszcze w zanadrzu rozrzucone po całym kontynencie

oddziały Wilków, Sępów, a nawet Łasic. Gdybyśmy ściągnęli je do Londry...

— Czy dotrą tu na czas, panie?

— Nie mamy innego wyjścia, jak próbować zyskać na czasie, kapitanie.

— Tak jest, panie.

— Zaproponujcie wszystkim więźniom zmianę barw - polecił Meliadus. - Jeśli przekonacie ich, że zwycięstwo jest po naszej stronie, wówczas być może przystąpią do nas.

— Pałac króla Huona jest bardzo silnie broniony, panie.

— I zostanie też siłą zdobyty, kapitanie. Jestem tego pewien.

Beli zasalutował.

Baron skoncentrował się ponownie na muzyce Johne'a i oglądaniu płonącego miasta, utwierdzając się w przekonaniu, że wszystko przebiega po jego myśli. Walki o pałac musiały potrwać jakiś czas, ufał jednak, że zdołają go zdobyć, zniszczą Huona, osadzą na tronie Flanę, a on zostanie najbardziej wpływowym człowiekiem w kraju.

Spojrzał na zegar ścienny. Dochodziła jedenasta. Wstał z fotela i klasnął w dłonie, uciszając dziewczęta.

— Przygotujcie moją lektykę - rozkazał. - Wyruszam do Pałacu Czasu.

Te same cztery dziewczęta wróciły szybko z lektyką. Baron wszedł do środka i usadowił się na miękkich poduszkach.

Kiedy wędrowali powoli korytarzami, wciąż słyszał muzykę ogniowego dział i krzyki wojujących żołnierzy. Musiał przyznać, że wiele dzieliło go jeszcze od ostatecznego zwycięstwa - nawet jeśli zabije króla Huona, niektórzy baronowie Granbretanu mogą nie zaakceptować Flany jako Królowej-Imperatorowej. Skonsolidowanie wszystkich sił musiało potrwać



kilka miesięcy, ale znacznie pomogłoby mu, gdyby zdołał zjednoczyć Granbretańczyków i skierować ich nienawiść przeciwko Kamargowi i mieszkańcom Zamku Brass.

— Szybciej! - zawołał do nagich dziewcząt. - Pospieszcie się! Nie możemy się spóźnić!

Gdyby działanie maszyny Taragorma okazało się skuteczne, odniósłby podwójne zwycięstwo - osiągnął swych wrogów, a zarazem zjednoczył naród.

Westchnął z ukontentowania. Wszystko układało się po jego myśli.

## KSIĘGA TRZECIA

*Nieuchronnie zbliżał się groźny finał. Bohaterowie Kamargu snuli swe plany w Zamku Brass, baron Meliadus spiskował w Pałacu Czasu Taragorma, Król-Imperator Huon wazył decyzje w Sali Tronowej - a wszystkie te zamierzenia poczynały silnie zazębiać się ze sobą. Także Magiczna Laska, stanowiąca centralną oś splotu wydarzeń, zaczęła oddziaływać na uczestników dramatu. Mroczne Imperium uległo podziałowi, jego bezpośrednią przyczyną była nienawiść Meliadusa do Hawkmoona, którego zamierzał właśnie przemienić w bezwolną marionetkę, lecz książę Koln był na tyle silny, że mógł mu się przeciwstawić. Prawdopodobnie właśnie wtedy, gdy Meliadus wybrał Hawkmoona na swą ofiarę i zapragnął wykorzystać go do zniszczenia azylu Zamku Brass, Magiczna Laska wykonała w tej rozgrywce pierwsze posunięcie. Losy powiązane były ze sobą tak ściśle, iż urzeczywistnienie niektórych grózb wydawało się nieuniknione...*

Wielka Historia Magicznej Laski

# ROZDZIAŁ I

## UDERZENIA ZEGARA

W sali panował chłód. Hawkmoon owinał się szczelnie płaszczem i omiół poważnym spojrzeniem twarze zgromadzonych przyjaciół. Wszyscy patrzyli na stół. Ogień w kominku dogasał, ale zgromadzone tu przedmioty były dość dobrze widoczne.

Z brzegu leżał Czerwony Amulet, a bijący od niego blask zalewał twarze ludzi krwistą poświatą. Od niego zależała siła Hawkmoona, klejnot ten nadawał bowiem właścicielowi nadludzką energię. Przy nim spoczywały kryształowe pierścienie Mygana zdolne do przenoszenia ludzi poprzez różnorodne wymiary, a zarazem zapewniające im powrót do macierzystej czasoprzestrzeni. Obok znajdował się skryty w pochwie Miecz Świtu - dzięki niemu książę Koln dysponował armią. Na końcu leżała owinięta skrawkiem płótna Magiczna Laska, berło oraz źródło nadziei Hawkmoona.

Hrabia Brass odchrząknął.

— Czy zdolni jesteśmy pokonać tak wielkie Imperium, jakim jest Granbretan, nawet jeśli wykorzystamy potęgę zawartą w tych przedmiotach?

— Zamek będzie naszym schronieniem - przypomniał Oladahn. - Możemy wyruszać stąd w wybranych przez siebie momentach i wracać zgodnie z wolą. Tym sposobem będziemy mogli prowadzić wojnę partyzancką aż do chwili, kiedy przełamiemy opór przeciwnika.

Hrabia skinął głową.

— To prawda, lecz ja nadal mam wątpliwości.

— Z całym respektem, panie, przywykł pan do prowadzenia klasycznych bitew - odezwał się d'Averc. Jego bladą twarz ocieniał wysoki kołnierz ciemnego skórzanego płaszcza. - Byłby pan znacznie bardziej zadowolony z bezpośredniej konfrontacji, wiodąc do boju szeregi lansjerów, łuczników, piechoty, i tak dalej. Lecz nie dysponujemy na tyle liczną armią, by występować otwarcie. Musimy uderzać w ciemności, operować na tyłach wroga, atakować z zaskoczenia... przynajmniej w początkowej fazie.

— Chyba ma pan rację, d'Avercu - westchnął hrabia Brass.

Bowgentle napełnił kielichy winem.

— Może lepiej chodźmy spać, przyjaciele. Musimy dokładnie zaplanować akcje i należałoby przedtem wypocząć...

Hawkmoon podszedł do drugiego końca stołu, gdzie leżały zwoje map. Potarł dłonią czarny kamień na czole.

— Owszem, musimy szczegółowo zaplanować pierwsze natarcie. - Zapatrzył się na mapę Kamargu. - Niewykluczone, że w pobliżu miejsca, gdzie znajdował się Zamek Brass, nieprzyjaciel założył stały obóz i być może czeka na nasz powrót. Domyślam się, że tak właśnie postąpiłby Meliadus.

— Nie sądzisz, że mógł już całkowicie utracić swe wpływy? - zapytał Huillam. - Shenegar Trott sugerował to wyraźnie.

— Gdyby tak się stało - stwierdził książę Koln - wówczas jego legiony mogłyby zostać przeniesione na inne obszary, odniosłem bowiem wrażenie, że przekonanie o zagrożeniu z naszej strony wcale nie było tak powszechne na dworze Londry.

Bowgentle wykonał gest, jakby chciał zabrać głos, ale tylko zastygł z pochyloną w bok głową. Wszyscy wyczuli, że podłogę

sali przebiegło delikatne drżenie.

— Zrobiło się piekielnie zimno - mruknął hrabia Brass i podszedł do kominka, by dorzucić dREW do ognia. Strzeliły iskry, duże polano zajęło się błyskawicznie, a na ścianach sali zatańczyły czerwone odblaski płomieni. Hrabia miał na sobie jedynie cienki wełniany strój. Owinął się teraz ciasno połami narzutki, jak gdyby żałował, że nie założył czegoś cieplejszego. Popatrzył w stronę olbrzymiego stojaka w przeciwległym końcu sali, gdzie tkwiły włócznie, łuki, strzały, buzdygany i miecze, wśród nich także jego własny wielki obusieczny miecz, a obok stała spiżowa zbroja. Na krągłej brązowej twarzy pojawił się cień niepokoju.

Ponownie cały zamek zadrżał w posadach, aż zadzwonił wiszący na ścianach sali oręż.

Hawkmoon spojrział na Bowgentle'a i dostrzegł w oczach poety wyraz tego samego przeczucia jakiegoś straszliwego fatum, które i jego nawiedziło.

— Czyżby trzęsienie ziemi?

— Możliwe - mruknął Bowgentle, ale było jasne, iż to wyjaśnienie nie trafiło mu do przekonania.

Po chwili usłyszeli jakiś dziwny odgłos, jak gdyby dobiegający z oddali dźwięk olbrzymiego gongu, tak niski, że wręcz niesłyszalny. Pobiegli w stronę wyjścia z zamku, przed drzwiami hrabia Brass zawahał się na chwilę, wreszcie otworzył je i wyjrżeli w mrok nocy.

Niebo było czarne, lecz na jego tle widniały ciemnogrnatowe chmury, których dziwny układ jakby sugerował, że opoka nieboskłonu może się zaraz rozpołować. Wibracje pojawiły się po raz kolejny, a dźwięk gigantycznego dzwonu lub gongu rozbrzmiał im w uszach dudniącym echem.

— Zupełnie jakbyśmy znaleźli się w wieży zegarowej w chwili wybijania godziny - rzekł Bowgentle, omiatając krajobraz przerażonym spojrzeniem.

Na pobladłych twarzach ludzi malowało się napięcie. Książę zawrócił i poszedł w głąb sali, zmierzając z wyciągniętymi rękoma w stronę Miecza Świtu.

— Czego się spodziewasz, Hawkmoonie? Czyżbyś sądził, że to sprawka Mrocznego Imperium?

— Albo efekt ich działania, albo jakieś zjawisko nadprzyrodzone - odparł książę Koln.

Trzecie uderzenie wdarło się w noc, przelewając falą ponad mokradłami, lagunami i zarośniętymi trzcinami bagnami Kamargu. Zaniepokojone hałasem flamingi zaczęły podrywać się w powietrze.

Czwarte - jeszcze głośniejsze, niczym echo potwornego dzwonu przeznaczenia.

Piąte. Hrabia Brass podszedł do stojaka i zacisnął dłoń na rękojeści swego miecza.

Szóste. D'Averc zakrył uszy dłońmi.

— Na pewno będę miał od tego co najmniej łagodną migrenę - oznajmił głośno.

Siódme. Yisselda w nocnej koszuli zbiegła ze schodów.

— Co się dzieje, Dorianie? Ojczy, co to za dźwięk? Brzmi jak uderzenia zegara. Mam wrażenie, że popękają mi bębenki...

Oladahń zwrócił ku niej posępne spojrzenie.

— Mnie zaś wydaje się, że to zagraża naszej egzystencji - rzekł. - Chociaż sam nie wiem, dlaczego coś takiego przychodzi mi do głowy...

Dźwięk siódmego uderzenia tak silnie wstrząsnął całym zamkiem, że z sufitu posypał się tynk.

— Lepiej zamknijmy drzwi - zaproponował hrabia Brass, kiedy echo przebrzmiało na tyle, że mógł usłyszeć swój głos. Wszyscy bez pośpiechu weszli do środka, a Hawkmoon pomógł hrabiemu domknąć oba skrzydła drzwi i umocować ciężką żelazną sztabę.

Ósme uderzenie rozbrzmiało w sali tak przeraźliwym hukiem, iż musieli wszyscy pozakrywać dłońmi uszy. Wielka tarcza, od niepamiętnych czasów wisząca na ścianie, runęła na kamienną posadzkę i potoczyła się z głośnym brzękiem, zatrzymując dopiero w pobliżu stołu.

Do sali zaczęła wbiegać przerażona służba.

Wraz z dziewiątym gongiem poczęły trzaskać szyby w oknach i na podłogę posypały się odłamki szkła. Książę poczuł się tak, jakby przebywał na pokładzie okrętu, który niespodzianie trafił na podwodną rafę - zamkiem wstrząsnęło do podstaw, a ludzie stracili równowagę. Zdążył objąć ramieniem marmurową kolumnę, a następnie powstrzymał przed upadkiem Yisseldę. Gromowy dźwięk wywołał nagły, ostry ból w uszach; przez chwilę nic nie widział na oczy.

Zdawało im się, że dziesiąte uderzenie wielkiego dzwonu wstrząsnęło całym światem, a huk wypełniający wszechświat obwieszcza definitywny koniec wszystkiego.

Bowgentle runął na kolana, a potem padł na kamienie bez czucia. Oladah zachwiał się, z całej siły przyciskając dłonie do uszu, zatoczył się i także legł na posadzce. Hrabia Brass i d'Averc chwiejnym krokiem podeszli do stołu, jak gdyby chcieli powstrzymać jego dygotanie. Kiedy echo gromu ucichło, książę Koln usłyszał okrzyk d'Averca:

— Spójrz na to, Hawkmoonie!

Podtrzymując Yisseldę, na miękkich nogach podszedł do stołu i popatrzył na pierścienie Mygana. Jęknął głucho. Wszystkie

kryształy były potrzaskane.

— To koniec naszych planów wojny partyzanckiej - rzekł chrapliwym głosem Francuz. - Być może to koniec wszelkich naszych planów...

Rozległo się jedenaste uderzenie - jeszcze głębsze i głośniejsze od poprzedniego. Zatrzęsło zamkiem, powalając ludzi na podłogę. Książę wrzasnął z bólu, gdyż grom niemal rozsadał mu czaszkę i rozrywał mózg, ale nie mógł nawet usłyszeć własnego krzyku. Wszystko wokół dygotało. Czołgał się po posadzce, jakby chciał błagać atakującą zamek moc o litość.

Umilkło echo. Dźwignął się na czworaki, próbując w desperacji podpełznąć do Yisseldy. Wywołane męką łzy popłynęły mu po twarzy. Wiedział także, po ciepłych strumykach na szyi, że z uszu pociekła krew. Jak przez mgłę ujrzał hrabiego Brassę zaciskającego kurczowo dłoń na krawędzi stołu i usiłującego podnieść się na nogi. Plamy zakrzepłej krwi na jego uszach miały niemal ten sam kolor co włosy.

— Jesteśmy straceni - wycedził hrabia Brass z trudem. - Zniszczeni przez jakiś podstęp i nie możemy nawet ujrzeć wroga! Zniszczeni przez siłę, przeciwko której na nic się zdadzą nasze miecze!

Hawkmoon nadal próbował podpełznąć do leżącej nieruchomo Yisseldy. Nagle rozbrzmiało dwunaste uderzenie, jeszcze głośniejsze i bardziej przerażające od poprzednich. Mury zamku zaczynały się kruszyć. Z głośnym trzaskiem stół przełamał się w połowie i runął na podłogę. Kamienie posadzki pękały na drobniejsze kawałki. Cały zamek podskoczył niczym korek na sztormowej fali. Hawkmoon ryknął z bólu, ciekące po policzkach łzy zastąpiły krople krwi - czuł, jakby w jego ciele potrzaskały wszystkie żyły.



Basowy grom dopełnił teraz inny dźwięk - wysoki, piskliwy świst - a sala zatoneła w powodzi zmieniających się barw. Najpierw rozbłyskał fiolet, przygasał do czerwieni, wreszcie kolory przechodziły w nieprzeniknioną czerń. Zdawało się, że rozbrzmiewa jednocześnie milion maleńkich dzwoneczków, lecz tym razem można było zlokalizować źródło dźwięku - dobiegał on prosto z dołu, gdzieś z zamkowych lochów.

Ostatnim wysiłkiem Hawkmoon próbował się podnieść, ale runął twarzą na kamienną posadzkę. Echo grzmotu powoli zanikało, dopalały się resztki barwnej łuny, szybko milkł chór dzwoneczków.

Zapadła martwa cisza.

## ROZDZIAŁ II

### POCZERNIAŁE BAGNA

— Kryształ został zniszczony...

Książę pokręcił głową i zamrugał oczyma.

— Co?

— Kryształ został zniszczony. - D'Averc klęczał obok, usiłując dźwignąć go na nogi.

— Co z Yisseldą? - zapytał Hawkmoon. - Jak ona się czuje?

— Nie gorzej niż ty. Położyliśmy ją do łóżka. Kryształ został zniszczony.

Książę zaczął oczyszczać nos i uszy z zakrzepłej krwi.

— Chodzi ci o pierścienie Mygana?

— Wy tłumacz mu dokładnie, d'Avercu - rozległ się głos Bowgentle'a. - Powiedz, że została zniszczona maszyna widmowców.

— Zniszczona? - Hawkmoon stanął chwiejnie na nogach. - Przez ten ogłuszający grom, który słyszałem na końcu?

— Właśnie. - Obok niego stanął hrabia Brass, wspierając się ciężko na resztkach stołu i przecierając dłonią twarz. - Wibracje rozsadziły kryształ.



— To znaczy...? - Książę skierował pytający wzrok na teścia, który smętnie pokiwał głową.

— Tak. Jesteśmy z powrotem w macierzystym wymiarze.

— Nie atakują nas jeszcze?

— Nic na to nie wskazuje.

Hawkmoon zaczerpnął głęboko powietrza i ruszył wolnym krokiem w stronę głównego wejścia. Walcząc z bólem mięśni zdjął żelazną sztabę i otworzył drzwi.

Nadal panowała noc. Świecące na niebie gwiazdy wydawały się te same, ale zniknęły skłębione granatowe chmury. Dokoła panowała niezwykła cisza, a w powietrzu unosił się dziwny zapach. Nie krzyknął nawet jeden flaming, nie było słychać szumu trzciny poruszanych wiatrem. Powoli, w zamyśleniu, książę Koln zamknął z powrotem drzwi.

— Gdzie są te legiony? - zapytał d'Averc. - Podobno miało tu czyhać na nas przynajmniej kilka z nich.

Hawkmoon zmarszczył brwi.

— Musimy poczekać do świtu. Być może rano będę mógł odpowiedzieć na to pytanie. Niewykluczone, że Granbretańczycy czają się w ciemnościach, chcąc nas zaskoczyć.

— Myślicie, że te fale dźwiękowe zostały wysłane z Mrocznego Imperium? - zapytał Oladahn.

— Nie mam co do tego wątpliwości - stwierdził hrabia Brass. - Udało im się dopiąć swego, przenieśli nas z powrotem do tego wymiaru. - Pociągnął kilkakrotnie nosem. - Zdaje się, że rozpoznałem ten smród.

D'Averc przystąpił do sortowania rzeczy leżących pod kawałkami stołu.

— To istny cud, że uszliśmy z tego z życiem - powiedział.

— Owszem - przyznał Hawkmoon. - Ten grom wyrządził więcej szkód przedmiotom martwym niż nam.

— Dwaj najstarsi ludzie ze służby nie żyją - rzekł cichym głosem hrabia Brass. - Przypuszczam, że nie wytrzymały ich serca. Musimy zająć się pogrzebaniem ciał, na wypadek gdyby

nie było to możliwe rano. Pochowamy ich na wewnętrznym dziedzińcu.

— Co z zamkiem? - spytał Oladah.

Hrabia Brass wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Schodziłem do lochów. Krystaliczna maszyna rozsypała się w pył, niektóre ściany popękały, ale to stara i mocna budowla. Chyba zanadto nie ucierpiała. Oczywiście, nie została się ani jedna szyba w oknie, na pewno uległy zniszczeniu wszystkie przedmioty ze szkła. Mimo wszystko... - Ponownie wzruszył ramionami, jak gdyby jego umiłowany zamek przestał dla niego cokolwiek znaczyć. - Mimo wszystko nadal stoi pewnie, tak jak poprzednio...

— Miejmy nadzieję - mruknął d'Averc. Ostrożnie uniósł Miecz Świtu, starając się dotykać wyłącznie pochwy, palcami drugiej dłoni ujął łańcuszek Czerwonego Amuletu. Wyciągnął oba artefakty w stronę Hawkmoona. - Lepiej ty się tym zajmij, podejrzewam bowiem, że wkrótce będziesz ich potrzebował.

Księżę zawiesił sobie amulet na szyi, a miecz umocował przy pasie. Następnie schylił się i podniósł zawiniętą w płótno Magiczną Laskę.

— Nie dopisuje nam z jej powodu tyle szczęścia, ile można by się spodziewać - rzekł i westchnął głośno.



Nadszedł wreszcie ranek. Świt wstawał niezwykle powoli - szary i mroźny, kreśląc linię horyzontu bladą, przypominającą kolorem ciało nieboszczyka smugą, nad którą wisały chmury barwy starych kości.

Piątka bohaterów spoglądała na wschód słońca. Stali tuż przed zamkową bramą, na szczycie wzgórza, a ich dłonie coraz silniej

zaciskały się na rękojeściach mieczów, w miarę jak wyłaniał się widok leżącej w dole krainy.

To był Kamarg, który opuścili - ale Kamarg spustoszony przez wojnę. Wiszący w powietrzu odór, który poczuli już wcześniej, był smrodem spalonej ziemi. Jak daleko sięgnąć wzrokiem roztaczało się jedno wielkie pogorzelsko. Pociski z ognistych dział osuszyły wszystkie mokradła i laguny. Flamingi, dzikie konie i bydło zostały wyrżnięte albo uciekły. Wieże strażnicze, chroniące niegdyś granice Kamargu, zostały zrównane z ziemią. Zdawało im się, że cały świat zamieniono w morze szarego popiołu.

— To koniec - oznajmił hrabia Brass grobowym głosem. - Nic nie zostało z mego ukochanego Kamargu, z ludzi i zwierząt. Wybrali mnie Lordem Kanclerzem, a ja ich tak zawiodłem. Nie ma już po co żyć, chyba że dla zemsty. Stanę kiedyś u bram Londry i będę patrzył na upadek miasta. Potem mogę umrzeć. Ale nie wcześniej...

## ROZDZIAŁ III

### POBOJOWISKO

Zanim Hawkmoon i Oladahń dotarli do granic Kamargu, od stóp do głów pokryci zostali miłym, lepkiem popiołem, który utrudniał oddychanie i drapał w gardle. Wierzchowce przybrały jednolitą szarą barwę, a ich oczy były jeszcze bardziej zaczerwienione od oczu jeźdźców.

W końcu szare morze popiołów zastąpił step wyschniętej, pożółkłej trawy, nadal jednak nie było nigdzie widać śladów legionów Mrocznego Imperium okupującego tę krainę.

Kilka wyblakłych promieni słońca przedarło się przez ciężką powłokę chmur. Książę zatrzymał konia i spojrzał na mapę. Po chwili wskazał na wschód.

— Tam dalej powinna znajdować się wioska Verlin. Pojedźmy w tamtym kierunku i przekonajmy się, czy nie stacjonują w niej granbretańskie oddziały.

Wkrótce ich oczom ukazały się pierwsze zabudowania. Na ten widok Hawkmoon popędził konia galopem.

— Co się stało, książę Dorianie?! - zawołał za nim Oladahń. - Cóż tam zobaczyłeś?

Nie otrzymał odpowiedzi. Kiedy podjechali bliżej, okazało się, że połowa zabudowań leży w gruzach, a uliczki zasłane są ciałami zabitych. Tu również nie było śladu żołnierzy Mrocznego Imperium.

Większość budynków została wypalona płomieniami ognistych lanc, także niektóre ciała były osmalone i poparzone.

Gdzieniegdzie spoczywały trupy zakutych w zbroje Granbretańczyków, zwracających swe zwierzęce maski w stronę nieba.

— Wśród poległych dostrzegłem wyłącznie żołnierzy z Zakonu Wilka - mruknął książę. - To ludzie Meliadusa. Wygląda na to, że napadli wioskę, lecz napotkali zbrojny opór mieszkańców. Spójrz, ten zginął od ciosu sierpem, a tamten od łopaty, która wciąż jeszcze tkwi w jego karku...

— Może mieszkańcy podnieśli bunt przeciwko najeźdźcom - podsunął Oladah - a Wilki wzięły na nich odwet?

— Dlaczego w takim razie opuścili wioskę? Na pewno mieli tu swój obóz.

Zatrzymali konie przed skupiskiem ciał. W powietrzu czuć było jeszcze woń świeżo przelanej krwi. Wszystko wskazywało na to, iż rzezi dokonano stosunkowo niedawno. Hawkmoon wskazał dłonią zrzucone na stos sprzęty domowe oraz leżące nie opodal pozarzynane krowy, konie, a nawet psy.

— Nie zostawili przy życiu zwierząt, zniszczyli wszystkie zapasy żywności. Wygląda tak, jakby wycofywali się przed potężniejszym od nich przeciwnikiem!

— Czy istnieje w ogóle potęga większa od Mrocznego Imperium? - spytał Oladahn wzruszywszy ramionami. - Czyżbyśmy mieli zmierzyć się z jakimś nieznanym wrogiem, drogi Hawkmoonie?

— Mam nadzieję, że nie. Mimo wszystko ten widok jest zastanawiający.

— I odrażający - dodał Oladah.

Na ulicach obok zwłok mężczyzn leżały także trupy dzieci, a ciała wszystkich kobiet, czy to młodych czy starych, nosiły wyraźne ślady gwałtu. Większość z nich zginęła z poderżniętymi

gardłami, jako że granbretańskie żołdactwo lubowało się w podryzaniu gardeł kobietom w trakcie gwałtu.

Hawkmoon westchnął.

— Gdziekolwiek byśmy pojechali, wszędzie odnajdziemy ślady przemocy Mrocznego Imperium.

Uniósł nagle i przechylił głowę, wsłuchując się w ledwie słyszalne dźwięki niesione przez mroźny wiatr.

— To płacz! A zatem ktoś tu jeszcze żyje.

Zawrócił konia i popędził między zabudowania, aż znalazł się u wylotu bocznej uliczki. W wyłamanych drzwiach domu, do połowy wywleczone na ulicę leżało ciało młodej dziewczyny. Płacz przybrał na sile. Księżę zeskoczył z konia i ostrożnie podszedł ku drzwiom. Płakała dziewczyna. Pospiesznie uklęknął przy niej i uniósł jej głowę. Była niemal naga, okrywały ją nieliczne strzępy poszarpanego stroju. W poprzek szyi widniała szeroka czerwona szrama - ślad po cięciu tępym sztyletem. Miała około piętnastu lat, kręcone jasne włosy oraz błyszczące niebieskie oczy. Całe jej ciało było jednym ogromnym, niebieskoczarnym siniakiem. Jęknęła, kiedy Hawkmoon uniósł ją w górę.

Delikatnie ułożył dziewczynę z powrotem, podszedł do wierzchowca i z torby przy siodle wyjął flaszkę z winem. Przytknął butelkę do jej ust. Zaczęła pić łapczywie, z trudem chwytając powietrze. Po chwili jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

— Nie bój się - rzekł Hawkmoon łagodnym tonem. - Jestem wrogiem Mrocznego Imperium.

— I żyjesz?

Uśmiechnął się krzywo.

— Owszem, żyję. Nazywam się Dorian Hawkmoon, jestem



księciem Koln.

— Hawkmoon z Koln? Myśleliśmy, że nie żyjesz albo uciekłeś na zawsze...

— Wróciłem i przysięgam ci, że pomszczę śmierć wszystkich mieszkańców twojej wioski. Co tu się stało?

— Nie jestem pewna, mój panie, wiem tylko tyle, że mordercy z Mrocznego Imperium nie chcieli zostawiać nikogo przy życiu. - Raptownie uniosła głowę. - Mój ojciec i matka... moja siostra...

Książe zajrzał do wnętrza domu i przeszył go dreszcz zgrozy.

— Martwi - rzekł. Dalsze wyjaśnienia były zbędne, z pewnością zginęli męczeńską śmiercią. Podniósł szlochającą dziewczynę i ruszył w stronę wierzchowca. - Zabiorę cię do Zamku Brass - powiedział.

## ROZDZIAŁ 10

### NOWE HEŁMY

Ułożono ją w najwygodniejszym łóżu na zamku, Bowgentle opatrzył jej rany, a Yisselda i Hawkmoon otoczyli opieką, przesiadując przy niej. Lecz stan dziewczyny był krytyczny. Umierała - nie tyle z powodu odniesionych ran, ile ze smutku. Chciała umrzeć, a oni respektowali to pragnienie.

— Przez kilka miesięcy - opowiadała cichym głosem - oddziały Wilków okupowały naszą wioskę. Zabierali nam wszystko, panował głód. Ludzie mówili, że to część wielkiej armii zostawionej, by strzec Kamargu, chociaż wszyscy zastanawiali się, czego mieliby strzec na tym pustkowiu...

— Prawdopodobnie czekali na nasz powrót - wtrącił księżę Koln.

— Chyba tak - odparła dziewczyna posępnym głosem. - Wczoraj wylądował w wiosce skrzydłolot, a pilot udał się wprost do komendanta garnizonu. Dotarły do nas plotki, że oddział został wezwany do Londry i zapanowała powszechna radość. W godzinę później żołnierze z garnizonu napadli na wioskę, mordując, grabiąc i gwałcąc. Otrzymali rozkaz, żeby zniszczyć wszystko doszczętnie, tak by w razie powrotu nie napotkali zbrojnego oporu. Chcieli też, by w wiosce nie zostały żadne zapasy żywności. Po następnej godzinie wyruszyli w drogę.

— Planują zatem tu wrócić - mruknął Hawkmoon. - Ciekaw jestem, z jakiego powodu zostali wezwani...

— Być może ktoś zaatakował Imperium - wyraził

przypuszczenie Bowgentle ocierając czoło dziewczyny.

— Mnie również to przyszło do głowy, ale to raczej mało prawdopodobne. - Książę westchnął. - Interesujące... Szkoda, że mamy tak skąpe wiadomości.

Rozległo się pukanie i do komnaty wkroczył d'Averc.

— Jest tu nasz stary przyjaciel, Hawkmoonie.

— Stary przyjaciel? Któż taki?

— Człowiek z Orkadów, Orland Fank.

Książę podniósł się.

— Może on będzie umiał nam to wyjaśnić.

Nie zdążył jednak dojść jeszcze do drzwi, kiedy Bowgentle rzekł cicho:

— Dziewczyna zmarła, książę Dorianie.

— Odeszła ze świadomością, że zostanie pomszczona - odparł spokojnie Hawkmoon, wyszedł z pokoju i ruszył schodami w dół, ku głównej sali.



— Przyznaję, że faktycznie coś wisi w powietrzu, przyjacielu. - Orland Fank, który rozmawiał z hrabią Brassem przy kominku, na widok Hawkmoona pomachał mu ręką. - Jak się miewasz, książę Dorianie?

— Nieźle, zważywszy okoliczności. Czy wiesz, mistrzu Fank, dlaczego wycofują się oddziały granbretańskie?

— O tym samym debatowaliśmy z szacownym hrabią Brassem. Nie, nie wiem...

— Myślałem, że jesteś wszechwiedzący, mistrzu Fank.

Przybysz uśmiechnął się niewinnie, ściągnął czapkę i otarł nią twarz z potu.

— Ja także potrzebuję czasu, żeby zebrać informacje, a od

chwili, kiedy opuściliście Dnark, byłem bardzo zajęty. Przywiozłem podarki dla wszystkich bohaterów z Zamku Brass.

— To miło z twojej strony.

— Nie są to podarki ode mnie, jeśli chcecie wiedzieć, lecz... chyba od samej Magicznej Laski. Wręczone je wam później. Na pozór te rzeczy nie wyglądają, jakby miały duże zastosowanie praktyczne, lecz tak naprawdę trudno powiedzieć, co może okazać się przydatne, a co nie podczas wojny przeciwko Mrocznemu Imperium.

— A cóż ty odkryłeś w trakcie swojego rekonesansu? - Książę odwrócił się do d'Averca.

— To samo co ty - stwierdził Francuz. - Ograbione wioski, wszyscy mieszkańcy pomordowani. Odniosłem wrażenie, że przynajmniej niektóre oddziały wycofywały się w pośpiechu. Przypuszczam, że w większych miastach pozostały jeszcze garnizony, ale to raczej tylko siły pomocnicze, głównie artyleria, prawie zupełnie nie widziałem konnicy.

— Istne szaleństwo - mruknął hrabia Brass.

— A my możemy zyskać na tym szaleństwie, wykorzystując ów brak racjonalności - rzekł Hawkmoon, uśmiechając się krzywo.

— Dobrze powiedziane, książę Dorianie. - Fank położył swą czerwoną, spaloną słońcem dłoń na ramieniu Hawkmoona. - Teraz mogę przynieść podarki.

— Jak sobie życzysz, mistrzu Fank.

— Czy moglibyście, panowie, poprosić kogoś ze służących, by mi pomógł? Jest tego sześć sztuk i są dosyć ciężkie. Objuczyłem nimi dwa konie.

Poszło z nim dwóch służących i wnet wrócili, a każdy dźwigał po dwa duże, opakowane przedmioty. Ułożyli je na kamiennej posadzce przed oczekującymi mężczyznami.

— Proszę je rozpakować, panowie - rzekł Fank.

Hawkmoon pochylił się i rozwinął płótno skrywające jeden z podarków. W oczy uderzył go odbłask światła, a po chwili ujrzał lustrzane odbicie swej twarzy. Zaskoczony ściągnął do końca płótno i z niedowierzaniem ogarnął spojrzeniem leżący przed nim przedmiot. Dokoła rozległy się zdumione pomruki.

Podarkami okazały się olbrzymie hełmy bitewne, okrywające całą głowę i ramiona. Wykonane były z nieznanego metalu, wypolerowanego do tego stopnia, że można się było w nich przejrzeć jak w najlepszym zwierciadle. Z wyjątkiem dwóch niewielkich otworów wizyjnych ich czołowe strony były zupełnie gładkie, pozbawione jakichkolwiek ozdób, tak że każdy, kto stawał na wprost człowieka w takiej osłonie, widział jedynie odbicie własnej twarzy. Tylną stronę, zaopatrzoną w grzebień z tego samego metalu, pokrywał prosty deseń, świadczący o najwyższym kunszcie ich twórcy. Hawkmoon stwierdził w duchu, że mogą być one niezwykle przydatne w bitwie, kiedy przeciwnik, zdezorientowany własnym odbiciem, może odnieść wrażenie, że walczy z samym sobą.

Zaśmiał się na głos.

— Ktokolwiek to wymyślił, musi być geniuszem! To najwspanialsze hełmy, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Proszę je przymierzyć - rzekł Fank, uśmiechając się promiennie. - Przekonacie się, że znakomicie na was pasują. Oto odpowiedź Magicznej Laski na zwierzęce maski Mrocznego Imperium.

— Jak mamy poznać, który do kogo należy? - zapytał hrabia Brass.

— Poznacie na pewno. Pan rozpakował z pewnością swój. Jest na nim krzyżyk w kolorze brązowym.

Hrabia z uśmiechem podniósł hełm i założył go na głowę. Hawkmoon popatrzył na niego i dostrzegł swoje odbicie - matowy czarny kamień pośrodku czoła oraz zdumienie malujące się na twarzy. Dźwignął swój, ze złotym krzyżykiem, i nasunął go na głowę. Kiedy teraz popatrzył na hrabiego Brass, początkowo zdawało mu się, że nie widzi nic szczególnego, dopiero po chwili zrozumiał, iż spogląda w nieskończony ciąg powielonych odbić.

Pozostali także nałożyli swe hełmy - d'Averca miał błękitny krzyżyk, a Oladahna szkarłatny. Zaśmiali się głośno.

— Świetne prezenty, mistrzu Fank - rzekł książę Koln odsłaniając twarz. - Wspaniałe. Dla kogo są te dwa pozostałe?

Orland uśmiechnął się tajemniczo.

— Ach, te... Przydadzą się ludziom, którzy będą ich potrzebowali.

— Na przykład tobie?

— Nie, nie mnie. Muszę przyznać, że gardzę zbroją. To bardzo nieporęczna osłona, sprawia mi wiele kłopotów przy operowaniu moim starym toporem bojowym. - Wskazał kciukiem za siebie, na wystający znad ramienia i przywiązany sznurem na plecach topór.

— Któż zatem będzie używał tych dwóch hełmów? - zapytał hrabia Brass, również odsłaniając swe oblicze.

— Dowiedzie się w swoim czasie - mruknął Fank. - Będzie to dla was zupełnie oczywiste. Jak się czują pozostali ludzie Zamku Brass?

— Masz na myśli mieszkańców miasteczka? - rzekł Hawkmoon. - Cóż, kilku poniosło śmierć wskutek uderzeń tego potężnego gongu, który zniszczył nasz azyl w innym wymiarze. Runęło parę domów, ale większości nic się nie stało. Kamarska konnica przetrwała bez szwanku.

— Około pięciuset ludzi - dodał d'Averc. - Cała nasza armia.

— To dobrze - odparł Fank, obrzucając Francuza przeciągłym, uważnym spojrzeniem. - To dobrze. Muszę już jechać, wzywają mnie ważne sprawy.

— Jakież to sprawy, mistrzu Fank? - wtrącił Oladah.

Orland milczał przez chwilę.

— Na Orkadach, przyjacielu, nie wypyujemy się nawzajem o prywatne sprawy - rzekł chłodno.

— Bardzo dziękuję za prezent - powiedział Oladah, kłaniając się nisko - i proszę mi wybaczyć ciekawość.

— Przyjmuję przeprosiny - odparł Fank.

— Zanim odjedziesz, mistrzu Fank, chciałbym gorąco podziękować ci w imieniu nas wszystkich za wspaniałe podarki - odezwał się hrabia Brass. - Czy wolno mi zadać jeszcze jedno pytanie?

— Uważam, że każdy z was ma duże skłonności do zadawania zbyt wielu pytań - stwierdził Fank. - My, ludzie z Orkadów, jesteśmy małomówni. Pytaj, przyjacielu. Postaram się odpowiedzieć ci jak najlepiej, o ile nie będzie to osobiste pytanie.

— Czy wiesz, w jaki sposób została zniszczona kryształowa maszyna? Co było tego przyczyną?

— Zdaje się, że Taragorm z Pałacu Czasu w Londrze poznawszy źródło waszej siły, odkrył sposób, by ją zniszczyć. Dysponuje on wieloma starożytnymi księgami, gdzie opisano podobne przypadki. Z pewnością skonstruował zegar, którego uderzenia zdolne były przebić się do tamtego wymiaru i tak dobrał wysokość oraz siłę dźwięku, by roztrzaskać kryształ. Jak sądzę, posłużył się wskazówkami wrogów ludzi z Soryandum, od których otrzymaliście tę maszynę.

— A więc to za sprawką Mrocznego imperium musieliśmy tu

wrócić - rzekł Hawkmoon. - Dlaczego zatem nie czekali na nas?

— Prawdopodobnie doświadczają jakiegoś lokalnego kryzysu - stwierdził Orland. - Przekonamy się. Żegnajcie, przyjaciele. Mam przeczucie, że już niedługo znów się zobaczymy.



## ROZDZIAŁ V

### PIĘCIU BOHATERÓW I JEDNA BOHATERKA

**G**dy tylko drzwi zamknęły się za Fankiem, na schodach stanął Bowgentle; miał dziwny wyraz twarzy, szedł usztywniony i sprawiał wrażenie, jakby nie dostrzegał niczego dokoła.

— Co się stało, Bowgentle? - spytał zdumiony hrabia Brass, podchodząc do niego i kładąc mu dłoń na ramieniu. - Wyglądasz na wzburzonego.

— To nie wzburzenie - pokręcił głową poeta - lecz silne postanowienie. Podjąłem decyzję. Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy miałem w dłoni broń cięższą od pióra, a na głowie coś bardziej namacalnego od rozważań filozoficznych. Postanowiłem walczyć przeciwko Mrocznemu Imperium. Pojadę z wami, kiedy wyruszyście na wojnę.

— Ależ Bowgentle... - zaproponował Hawkmoon. - Nie jesteś wojownikiem. Wspierasz nas swym spokojem, dodajesz otuchy optymizmem i mądrością. Zawdzięczamy ci dodatkową siłę, nie mniej ważną od pary rąk na polu walki.

— To prawda, ale czekająca nas bitwa będzie ostatnią: albo zwyciężymy, albo zostaniemy pokonani - rzekł stanowczo Bowgentle. - Jeśli nie wrócicie, moje mądrości na nic się wam nie przydadzą, jeśli zaś wrócicie, nie będą wam już potrzebne żadne moje rady, wrócicie bowiem w chwale zwycięzców Mrocznego Imperium. Zatem pojadę razem z wami. Jestem pewien, że jeden

z tych lustrzanych hełmów będzie na mnie pasował. Pewnie ten z czarnym krzyżykiem.

Bowgentle podszedł w tamtą stronę i podniósł hełm z podłogi. Nikt się nie poruszył. Powoli nasunął go na głowę - pasował jak ulał. Ujrzeni odbity na jego powierzchni obraz, jaki Bowgentle widział przez wizjer - ich twarze, wyrażające zarazem uznanie, jak i smutek.

D'Averc pierwszy ruszył ku niemu z wyciągniętą dłonią.

— Wspaniale, Bowgentle. To będzie wielka przyjemność i miła odmiana, walczyć u boku człowieka o tak bystrym umyśle!

Hawkmoon spojrzał na niego spode łba.

— W pełni się zgadzam. Jeśli taka twoja wola, Bowgentle, wszyscy będziemy zaszczyceni twą obecnością w naszym gronie. Dla kogo zatem jest ten ostatni hełm?

— Dla mnie.

Na dźwięk tego melodyjnego, dźwięcznego głosu księżę Koln odwrócił się powoli i spojrzał na swoją żonę.

— Nie, na pewno nie dla ciebie, Yisseldo...

— Skąd ta pewność?

— Ponieważ...

— Przyjrzyj mu się. Hełm z białym krzyżykiem, mniejszy od pozostałych. Pasowałby na chłopca... lub na kobietę.

— To prawda - przyznał Hawkmoon z ociąganiem.

— A czyż nie jestem córką hrabiego Brassa?

— Jesteś.

— Czy nie umiem jeździć konno równie dobrze, jak wy?

— Umiesz.

— Czy nie toczyłam jako młoda dziewczyna walk z bykami na arenie, czy nie odnosiłam zwycięstw? Czy nie ćwiczyłam razem z kamarskimi gwardzistami sztuki władania toporem, mieczem

oraz ognistą lancą? Odpowiedz, ojciec.

— To prawda, zyskałaś biegłość w posługiwaniu się orężem - rzekł hrabia Brass posępnym tonem. - Ale biegłość to jeszcze za mało, by nazwać cię wojownikiem...

— Czy nie jestem wystarczająco silna?

— Jesteś... jak na kobietę - przyznał jej ojciec. - Łagodna i mocna jak jedwab, chyba w ten właśnie sposób opisał cię pewien prowincjonalny poeta. - Hrabia spojrział na Bowgentle'a, który oblał się rumieńcem.

— Czego mi więc brakuje? Wytrzymałości? - zapytała Yisselda. Jej oczy rzucały figlarne, wyzywające błyski.

— Nie, jesteś bardzo wytrzymała - mruknął Hawkmoon.

— A może odwagi? Czy brak mi odwagi?

— Nie ma chyba wśród nas nikogo odważniejszego niż ty, moje dziecko - stwierdził hrabia Brass.

— Zatem jakiej cechy nie posiadam, która powinna charakteryzować wojownika?

— Żadnej, Yisseldo... - Książę wzruszył ramionami. - Tyle tylko, że jesteś kobietą, a...

— A kobiety nie walczą? Są tylko po to, żeby doglądać ogniska domowego i opłakiwać utraconych bliskich, to chciałeś powiedzieć?

— Albo czekać na ich powrót...

— Czekać na ich powrót? Nie, ja mam za mało cierpliwości. Dlaczego miałabym zostać sama w Zamku Brass? Kto mnie tu ochroni?

— Zostawimy strażników.

— Kilku strażników, którzy przydaliby się bardziej na polu bitwy? Wiesz przecież, że będzie wam potrzebna każda para rąk.

— Owszem, to prawda - przyznał Hawkmoon. - Ale jest jeszcze

jedna rzecz, Yisseldo. Czyżbyś zapomniała, że spodziewasz się dziecka?

— Nie zapomniałam, ale chciałabym wraz z nim uczestniczyć w bitwach. Gdybyśmy zostali pokonani, nie czekałoby go w życiu nic poza nieustającym pasmem nieszczęść. Jeśli zaś zwyciężymy, pozna tylko dreszcz euforii, i to zanim jeszcze przyjdzie na świat. Gdyby czekała nas śmierć, niech i ono zginie razem z nami. Nie chcę być wdową po Hawkmoonie i nie chcę urodzić sieroty po Hawkmoonie. Nigdy nie będę bezpieczna sama w zamku, Dorianie. Muszę pojechać wraz z wami. - Podeszła do lustrzanego hełmu z białym krzyżykiem, podniosła go, wsunęła sobie na głowę i triumfalnym gestem rozłożyła szeroko ramiona. - Spójrzcie, znakomicie pasuje. Z pewnością został zrobiony właśnie dla mnie. Pojedziemy razem, całą szóstką, i powiedziemy Kamargijczyków przeciwko zmasowanej potędze Mrocznego Imperium. Pięciu bohaterów i... mam nadzieję, jedna bohaterka!

— Niech tak będzie - mruknął Hawkmoon. Zbliżył się do niej i uścisnął ją czule. - Niech tak będzie.

## ROZDZIAŁ VI

### NIEOCZEKIWANY SPRZYMIERZENIE

Ściągnięte z całego kontynentu oddziały Wilków i Sępów wlewały się strumieniem do Londry, ale przybywały także legiony Much, Szczurów, Kozłów, Psów i wszelkich innych krwiożerczych granbretańskich bestii.

Z wysokiej wieży, kwatery dowódcy, Meliadus z Kroiden przyglądał się nadciągającym formacjom, wkraczającym do Londry wszystkimi bramami i natychmiast przystępującym do walki. Jedna z grup przyciągnęła jego uwagę. Wyteżył wzrok. Był to liczny oddział przybyły pod rozciągniętym wielkim, czarno-białym sztandarem oznaczającym neutralność. Kiedy zbliżyli się nieco, rozpoznał barwy, jakie nosili żołnierze.

Zmarszczył brwi.

Oddział jechał pod sztandarem Adaza Prompa, Wielkiego Konstabla Zakonu Psa. Czy neutralna flaga miała oznaczać, że ich dowódca nie zdecydował jeszcze, po której stronie stanąć do walki? A może zaplanował jakiś wymyślny podstęp? Meliadus w zamyśleniu poskubał wargę. Mając u boku Adaza Prompa mógłby już teraz przystąpić do szturm na pałac. Oparł dłoń na wielkim metalowym hełmie w kształcie wilczego pyska.

Tocząca się od kilku dni bitwa o Londrę nie przynosiła żadnych rezultatów. Meliadus coraz częściej chodził zamyślony - głównie z tego powodu, iż nie miał pewności, czy urzędzeniu

Taragorma udało się przywołać Zamek Brass z powrotem do ich wymiaru. Znakomity nastrój, wywołany odniesionymi w początkowej fazie walk sukcesami, zastąpiła nerwowość, wywołaną niepewnym pod wieloma względami położeniem. Otworzyły się drzwi. Meliadus odruchowo sięgnął po hełm, włożył go na głowę i dopiero wówczas odwrócił się.

— Ach, to ty, Flano. Czego chcesz?

— Przybył Taragorm.

— Taragorm? Czyżby miał jakieś dobre nowiny dla mnie?

Obok noszonej przez Flaną maski czapli pojawił się olbrzymi zegar.

— Ja także sądziłem, że usłyszę jakieś dobre nowiny, bracie - rzekł kwaśnym tonem Taragorm. - Zdaje się, że w ciągu ostatnich kilku dni nie zdobyliśmy nawet kawałka terenu.

— Przybywają posiłki - burknął opryskliwie Meliadus, machnąwszy ręką w stronę okna. - Nadciągają oddziały Wilków, Sępów, także nieliczne Łasice.

— Owszem, ale przybywają także posiłki dla Huona, a odnoszę wrażenie, że ich żołnierzy jest więcej niż naszych.

— Kalan powinien wkrótce zakończyć prace nad nowym typem broni - dodał baron z Kroiden na usprawiedliwienie. - Dzięki niej zyskamy przewagę.

— O ile okaże się skuteczna - stwierdził ironicznie Taragorm. - Zaczynam się zastanawiać, czy nie popełniłem błędu, przyłączając się do waszego spisku.

— Teraz już za późno, bracie. Sprzeczka między nami będzie oznaczała koniec wszystkiego.

— Owszem, muszę przyznać, że jest już za późno. Cokolwiek się stanie, zwycięstwo Huona będzie oznaczało naszą śmierć.

— Huon nie może zwyciężyć.

— Potrzebujemy miliona żołnierzy, by wygrać bitwę o pałac.

— Znajdziemy milion żołnierzy. Gdyby udało się nam dokonać choćby najmniejszego przełomu, wielu przeszłoby na naszą stronę.

Taragorm zignorował tę uwagę i zwrócił się do hrabiny:

— To wstyd, Flano. Byłaby z ciebie piękna królowa...

— Przekonasz się, że ona będzie królową - syknął rozwścieczony Meliadus, siłą powstrzymując się od uderzenia szwagra. - Twój pesymizm równa się niemal zdradzie, Taragormie!

— Czyżbyś pragnął mnie zabić za zdradę, bracie? Chcesz zaprzepaścić moją wiedzę? Tylko ja znam wszelkie sekrety czasu.

— Oczywiście, że nie chcę cię zabić. - Baron wzruszył ramionami. - Odłóżmy tę kłótnię i skoncentrujmy się lepiej na tym, jak zdobyć pałac.

Znudzona wymianą zdań Flana wyszła z komnaty.

— Muszę się zobaczyć z Kalanem - oznajmił Meliadus. - Przeciwnatarcie tamtych zmusiło go do pospiesznego przeniesienia wszystkich urządzeń w inne miejsce. Chodźmy, Taragormie. Złożmy mu razem wizytę.

Obaj wezwali swe lektyki, weszli do środka i rozkazali niewolnikom zanieść się tonącymi w półmroku korytarzami i opadającymi spiralnie pochylniami do pomieszczeń zaadaptowanych na laboratoria Kalana. Kiedy tylko otwarto drzwi, owionęło ich gorące, cuchnące powietrze, przed którym nie chroniły nawet maski. Wyszędłszy z lektyki Meliadus zaniósł się kaszlem. Przeszedł do niewielkiego pokoiku, gdzie rozebrany do pasa, wychudzony Kalan nadzorował pracę ukrytych za maskami węży naukowców.

Na powitanie machnął im ręką zniecierpliwiony.

— Czego chcecie? Nie mam czasu na dyskusje!

— Zastanawialiśmy się, jakie uczynił pan postępy, baronie Kalan - wrzasnął Meliadus, starając się przekrzyczeć ogłuszający bulgot.

— Mam nadzieję, że znaczące. Musimy jeszcze dokonać kilku drobnych poprawek. Nowa broń jest już prawie gotowa.

Taragorm popatrzył nieufnie na płataninę rur i przewodów, z której zalaływał smród, bił żar i dobywał się hałas.

— To jest ta broń?

— Jeszcze nie, dopiero będzie.

— Jak to działa?

— Dajcie mi ludzi, którzy zamontują to na dachu wieży, a wszystko wam zademonstruję za kilka godzin.

— Świetnie - powiedział Meliadus skinąwszy głową. - Chyba rozumiesz, Kalanie, jak wiele zależy od jej skuteczności?

— Tak, rozumiem. Zaczynam przeklinać siebie za to, że przyłączyłem się do was, Meliadusie. Ale jestem z wami i nie pozostaje mi nic innego, jak być konsekwentnym. Odejdźcie teraz. Dam wam znać, kiedy broń będzie gotowa.

Poszli z powrotem korytarzami, nie korzystając z niesionych za nimi lektyk.

— Mam nadzieję, że zachował jeszcze odrobinę rozsądku - odezwał się grobowym głosem Taragorm. - W przeciwnym razie może nas wszystkich doprowadzić do zguby.

— Albo też nie uzyskać żadnych rezultatów - dodał posępnym tonem Meliadus.

— I kto tu jest pesymistą, bracie?



Wróciwszy do swych apartamentów baron z Kroiden



spozrzegł, że ma gościa. Grubas nosił zbroję okrytą jedwabiem w krzykliwych barwach, a na głowie hełm przedstawiający groźnego, szczerzącego zęby psa.

— Baron Adaz Promp - rzekła Flana Mikosevaar wychodząc z przylegającego pomieszczenia - przybył z wizytą krótko po tym, jak wyszliście, Meliadusie.

— Baronie - Meliadus skłonił się ceremonialnie. - Jestem zaszczycony.

— O co poszło, Meliadusie? Jakie są twoje cele? - rozbrzmiały spod maski lakoniczne pytania Adaza Prompa.

— Sprawa sporna to plan naszych dalszych podbojów. Celem jest osadzenie na tronie Granbretanu monarchy, który będzie słuchał rad lak doświadczonych wojowników jak my.

— Chcesz powiedzieć, że będzie słuchał twoich rad. - Promp zachichotał. - Muszę przyznać, mój panie, iż uważałem, że to ty postradałaś zmysły, a nie Huon. Mam na myśli twą bezwzględną wendetę przeciwko Hawkmoonowi i reszcie mieszkańców Zamku Brass. Sądziłem dotąd, że motywem twego postępowania są wyłącznie skryte żądze i pragnienie osobistej zemsty.

— Czyżbyś zmienił przekonanie?

— Przestało się liczyć. Zaczynam podzielać twą opinię, że tamci stanowią największe zagrożenie dla Granbretanu i należy się w pierwszej kolejności rozprawić z nimi, zanim zaczniemy myśleć o czymś innym.

— Cóż sprawiło, że zmieniłeś zdanie, Adazie? - Zaciekawiony Meliadus pochylił się do przodu. - Dlaczego tak uważasz? Czyżbyś zdobył jakieś nie znane mi jeszcze wiadomości?

— To na razie tylko domysły - odparł cicho, jakby z ociąganiem Promp. - Plotki dochodzące z różnych stron...

— Jakie plotki?

— Kiedy wracaliśmy ze Skandii na wezwanie Imperatora, spotkaliśmy i przejeźliśmy na Morzu Północnym statek. Tutaj zaś dotarły mnie wieści z Francji. Nic poza tym.

— Cóż to był za statek?

— Podobny do tych, które stoją zakotwiczone na rzece, wyposażony w dziwne urządzenia na rufie i pozbawiony żagli. Był uszkodzony i dryfował z prądem, a na pokładzie znaleźliśmy dwóch ciężko rannych ludzi. Zmarli, nim zdążyliśmy przenieść ich na nasze okręty.

— To statek Shenegara Trotta. Z Amareku.

— Zgadza się. Ci ludzie powiedzieli nam to samo.

— Ale coż to ma wspólnego z Hawkmoonem?

— Wygląda na to, że natknęli się na niego w Amareku i odnieśli rany podczas krwawej bitwy w mieście zwanym Dnark. Zgodnie z ich relacją, a bredzili w gorączce, walka toczyła się o Magiczną Laskę.

— I Hawkmoon wygrał tę bitwę.

— W rzeczywistości. Trott dysponował tysiącem żołnierzy, a przeciw nim stanęło zaledwie czterech ludzi, wliczając samego Hawkmoona.

— I tamci zwyciężyli?!

— Tak. O ile zdołaliśmy zrozumieć majaczenia rannych, wspierali ich jacyś zaczarowani wojownicy. To wszystko brzmiało jak mieszanina faktów z urojeniami, ale wniosek był prosty: Hawkmoon zdołał pokonać o wiele liczniejszą od jego oddziału armię i własnoręcznie zabił Shenegara Trotta. Jest chyba oczywiste, że korzysta on z jakichś zdobytych nauki, o których nic nam nie wiadomo. Świadczy o tym również sposób, w jaki udało im się umknąć przed nami ostatnim razem. Dodatkowym argumentem jest druga wiadomość, jaką

uzyskałem od jednego z twoich Wilków, maszerujących na Londrę.

— Jaka to wiadomość?

— Słyszał on nowiny, że Zamek Brass pojawił się z powrotem, a Hawkmoon i jego towarzysze zajęli miasto na północ od Kamargu, wyciąwszy w pień cały nasz garnizon. To tylko plotka, zresztą niezbyt wiarygodna. Gdzież bowiem Hawkmoon mógłby zebrać tak szybko armię?

— W czasie wojny podobne plotki są czymś normalnym - mruknął Meliadus. - Nie byłbym jednak pewien, czy ta wiadomość jest zupełnie niewiarygodna. Przekonałeś się jednak, że ze strony Hawkmoona grozi nam znacznie większe niebezpieczeństwo, niż sądził Huon?

— To tylko domysły, ale mam przeczucie, iż nie należy ich lekceważyć. Kierowało mną jednak coś innego, Meliadusie. Uważam, że trzeba jak najszybciej zakończyć tę walkę. Jeśli Hawkmoon stanął na czele armii, dajmy na to zwerbowanej w Amareku, powinniśmy czym prędzej rozprawić się z nim. Przechodzę na twoją stronę, Meliadusie. W ciągu najbliższych kilku dni postawię do twojej dyspozycji pół miliona żołnierzy Zakonu Psa. Czy przy wsparciu oddziałów, którymi dowodzę, będziesz miał wystarczające siły do zajęcia pałacu?

— Możliwe, o ile będziemy dysponować ogniem artylerii.

— Będziesz miał również artylerię.

Meliadus poklepał dłoń Prompa.

— Och, baronie Adazie, wierzę teraz, że jutro możemy odnieść zwycięstwo!

— Ciekaw jestem tylko, ilu z nas przeżyje, by się nim cieszyć - odparł Promp. - Zdobycie pałacu pociągnie za sobą kilka, a może nawet kilkaset tysięcy ofiar.

— Ale cena nie gra roli, baronie Adazie. Uwierz mi, mamy o co walczyć!

Meliadus, znacznie podniesiony na duchu wizją zwycięstwa nad Huonem, cieszył się przede wszystkim perspektywą ponownego przejęcia kontroli nad Hawkmoonem w niedalekiej przyszłości - zwłaszcza że Kalan obiecał mu przystąpić do prac nad reaktywowaniem Czarnego Klejnotu.

## ROZDZIAŁ VII

### BITWA O PAŁAC HUONA

Baron przyglądał się montowaniu na dachu swej kwatery dziwnego urządzenia. Znajdowali się wysoko nad poziomem ulic, niedaleko pałacu Huona, o który toczyły się już walki. Promp nie wprowadził jeszcze swych Psów do boju, wstrzymując się z decyzją bezpośredniego ataku na bramy królewskiego pałacu, póki nie ujrzy pierwszych efektów działania maszyny Kalana. Olbrzymia budowla na pozór mogła wytrzymać każdy szturm, zdolna byłaby przetrzymać nawet koniec świata. Dźwigała się kaskadą gigantycznych pięter ku zasnutemu ciężkimi chmurami niebu. Pałac - wzmocniony w czterech narożnikach ogromnymi wieżycami, które błyszczały dziwnym złotym blaskiem, ozdobiony groteskowymi płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny ze starożytnej glorii Granbretanu, połyskujący milionem kłócących się ze sobą odcieni, chroniony przez monstrualnej wielkości bramy, wykonane ze stali o dziesięciometrowej grubości - sprawiał wrażenie, jakby w zamyśleniu spoglądał z góry na zmagania ludzi.

Nawet Meliadusa ogarnęły wątpliwości co do powodzenia ataku, kiedy obrzucił budowlę uważnym spojrzeniem. Szybko skierował uwagę z powrotem na nową broń Kalana. Z gmatwaniny drutów i rur wystawała olbrzymia lufa,

przypominająca kształtem stożkowate zakończenie gigantycznej trąby, skierowana w stronę pałacowych murów, silnie obsadzonych obrońcami, głównie z Zakonów Modliszki, Świni oraz Muchy. Zebrane poza murami miasta oddziały innych zakonów szykowały się do zaatakowania sił Meliadusa od tyłu. Czas zaczynał mieć coraz większe znaczenie - gdyby udało im się teraz przedrzeć przez bramy i zdobyć pałac, mogli mieć jeszcze nadzieję na to, że część oddziałów przejdzie na stronę zwycięzców.

— Gotowe - oznajmił Kalan.

— Zaczynajcie więc -- rozkazał Meliadus. - Najpierw skierujcie ją przeciw żołnierzom broniącym murów.

Kalan skinął głową, jego pomocnicy z Zakonu Węża ustawili broń. Kalan zbliżył się, podniósł w górę dużą dźwignię, skierował na chwilę swą maskę w stronę zachmurzonego nieba, jakby odmawiał modlitwę, wreszcie pociągnął dźwignię na dół.

Maszyna zadrżała. Buchnął z niej słup pary. Wibracje oraz basowy ryk zaczęły przybierać na sile. U wylotu lufy pojawił się wielki, pulsujący, zielony bąbel, od którego bił straszliwy żar. Po chwili bania oddzieliła się od maszyny i łagodnym łukiem poleciała w stronę murów.

Zafascynowany Meliadus przyglądał się niezwykleму zjawisku. Bąbel doleciał do blanków i spadł na gromadę żołnierzy. Wsłuchał się z satysfakcją w ich krzyki - ludzie skręcali się od żaru, rozpływali w zieloną maź i wkrótce zniknęli bez śladu. Kula żaru potoczyła się wzdłuż murów, połykając kolejne ludzkie ofiary, aż wreszcie pękła, a po ścianach popłynęły strumienie wrzącej zielonej cieczy.

— Rozpadła się! To nie działa! - ryknął.

— Cierpliwości, Meliadusie! - zawołał Kalan. Pomocnicy

przesunęli o kilka stopni wylot lufy. - Patrz teraz! - Ponownie ściągnął w dół dźwignię, maszyna znów zadygotała, zasyczała i powoli przy krawędzi lufy uformował się następny gigantyczny zielony bąbel. Poszybował w stronę murów, spopielił inną grupę żołnierzy i potoczył wzdłuż szeregów obrońców. Tym razem bania turlała się znacznie dłużej, a kiedy w końcu pękła, na blankach murów nie został prawie ani jeden wojownik.

— Teraz skierujemy ją na ściany! - Kalan zachichotał i po chwili znów nacisnął dźwignię. Tym razem nie czekał. Zaledwie wrzący zielony bąbel oderwał się od wylotu lufy, natychmiast powołał do życia następny. W efekcie kilkanaście ich, jeden po drugim, poleciało ku pałacowym murom i spadło na wewnętrzny dziedziniec. Baron pracował zaciekle, całkowicie pochłonięty swym zajęciem - maszyna podskakiwała i syczała, wyrzucając z siebie kolejne kule straszliwego żaru.

— Ta mieszanina rozpuści każdą substancję! - krzyknął podniecony Kalan. - Każdą! - Zapatrzył się na chwilę i wskazał ręką. - Spójrz, co się dzieje ze ścianami!

Wyraźnie było widać, jak żrąca ciecz wgryza się w mury. Wielkie kawały kamiennych płaskorzeźb spadały na leżącą w dole ulicę, zmuszając do wycofania się nacierające oddziały. Zielona mieszanka trawiła kamienie równie łatwo, jak wrzący olej rozpuszczałby lód - w murach pojawiało się coraz więcej olbrzymich dziur o poszarpanych krawędziach.

— Ale jak nasi ludzie mają się przez to przedrzeć? - zapytał Meliadus. - Ta ciecz będzie groźna również dla nich.

— Nie bój się. - Kalan zachichotał. - Ona działa tylko przez kilka minut. - Ponownie nacisnął dźwignię, posyłając w stronę murów kolejny wielki, zielony, kipiący bąbel. Niemal w tej samej chwili zawalił się olbrzymi fragment ściany obok bramy, a kiedy kurz

opadł, Meliadus dostrzegł, że utworzyło się przejście na teren pałacu. Przepęłniła go radość.

Maszyna zaczęła nagle przeraźliwie wyć. Kalan rzucił się ku prowizorycznemu pulpitowi kontrolnemu, począł biegać z jednej strony na drugą, wydając w pośpiechu dyspozycje swym ludziom.

Na dachu pojawił się Taragorm.

— Widzę, że nie doceniałem barona Kalana - rzekł, salutując Meliadusowi. Podeszedł następnie w stronę naukowca. - Moje gratulacje, panie!

— Sam widzisz, Taragormie! - krzyknął Kalan piskliwym ze wzruszenia głosem, rozkładając szeroko ręce. - Sam widzisz! Proszę, spróbuj sam. Po prostu trzeba nacisnąć tę dźwignię!

Taragorm zacisnął obie dłonie na dźwigni i popatrzył w kierunku pałacu. Przez wyrwę w murze widać było teraz żołnierzy Huona umykających w głąb budowli przed toczącymi się ich śladem, siejącymi śmierć kulami. Nagle od strony pałacu rozległ się ryk ognistego działa; widocznie ludziom Huona udało się jakoś przegrupować artylerię. Kilka kul ognia rozerwało się nad ich głowami, inne spadły, nie wyrządzając szkody, na ściany wieży. Kalan chichotał triumfalnie.

— Działa są bezużyteczne wobec mej nowej broni. Udowodnij im to, Taragormie. Poślij kulę... tam! - Wskazał palcem jedno z okien, skąd miotano pociski.

Taragorm był na równi z Kalanem zaabsorbowany obsługą maszyny. Meliadus z rozbawieniem spoglądał na dwóch naukowców, którzy jak chłopcy w wieku szkolnym darzyli podziwem nową zabawkę. Znacznie uspokojony stwierdził w duchu, że nowa broń musi teraz przechylić szalę zwycięstwa na jego stronę. Nadszedł właściwy moment do nakłonienia Adaza



Prompa, by wprowadził do walki swoich ludzi.

Zszedł po schodach do wnętrza wieży i kazał postawić sobie lektykę. Kiedy wszedł do niej i ułożył się wygodnie na poduszkach, ogarnęło go cudowne poczucie triumfu.

Nagle usłyszał nad głową potężną eksplozję, która wstrząsnęła całą wieżą. Wyskoczył z lektyki i rzucił się biegiem z powrotem w stronę wyjścia na dach. Ale bijący stamtąd żar zmusił go do cofnięcia. Przez kłęby pary dostrzegł Kalana w pogietej, zdeformowanej masce, który energicznie zamachał do niego ręką.

— Cofnij się! - krzyknął. - Maszyna eksplodowała. Znajdowałem się blisko wyjścia i tylko dlatego przeżyłem. Moja mieszanina rozlewa się po całej wieży. Uciekajmy, w przeciwnym razie padniemy jej łupem.

— Taragorm! - wrzasnął Meliadus. :- Co z Taragormem?

— Nie miał szans się uratować, nic z niego nie zostało - odparł Kalan. - Biegiem, musimy jak najszybciej wydostać się z wieży. Pospiesz się, Meliadusie!

— Taragorm nie żyje, ledwie zdołałem osiągnąć swój cel? - Baron w ślad za Kalanem rzucił się biegiem w dół pochylni. - Zdawałem sobie sprawę, że przysporzy mi wiele kłopotów, kiedy już pokonamy Huona. Rozmyślałem nawet, jak się go pozbyć. Ale ten problem rozwiązał się sam! Mój biedny brat!

Nie przestając biec Meliadus ryknął głośnym śmiechem.

## ROZDZIAŁ VIII

### FLANA OBSERWUJE BITWĘ

Zacisza swojej wieży Flana Mikosevaar przyglądała się, jak przez utworzoną wyrwę kolumny żołnierzy wdzierają się na teren pałacu, budowla zaś, która ostatnio stanowiła kwaterę Meliadusa, rozsypuje się, kruszy i w końcu zamienia w bezkształtną kupę gruzów.

Przez chwilę sądziła, że poniósł śmierć w ruinach, wkrótce dostrzegła jednak, że pod własnym sztandarem prowadzi ludzi do walki. Kiedy ujrzała obok sztandary Adaza Prompa, zrozumiała, iż od dawna rywalizujące ze sobą Wilki i Psy wspólnie wystąpiły przeciwko królowi Huonowi.

Westchnęła. Przeszkadzały jej odgłosy bitwy, ale nie mogła znaleźć przed nimi schronienia. Patrzyła na ogniste działo, które powoli kierowano w dół i skracano jego zasięg, aż wreszcie pociski spadły na żołnierzy tłumnie pędzących ku wielkiej bramie, gdzie zielona kula utworzyła przejście do pałacu. Skuteczność tego ognia była jednak znikoma - ciężkie działo znajdowało się wysoko, przygotowane do strzałów na dalsze odległości, i nie można było teraz przenieść go szybko na dół. Zza wyłomu w murze błyskały ogniste lance obrońców, nie było tam jednak ciężkiej artylerii.

Kiedy odgłosy bitwy w miarę jej przesuwania się w głąb pałacu zaczęły przycichać, myśli Flany znów skierowały się ku

d'Avercowi. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze go ujrzy. Wiadomości przyniesione przez Adaza Prompa na nowo rozbudziły w niej nadzieję - jeśli żył Hawkmoon, prawdopodobnie żył także i d'Averc.

Czy jednak dane jej będzie ujrzeć go kiedykolwiek? Czy nie zginie w jakiejś bitwie, występując przeciwko potędze Granbretanu? Gdyby nawet uszedł z życiem, czekał go los ściganego przez wszystkich bandyty, nikt bowiem nie mógł ludzić się nadzieją wzniesienia rebelii i zniszczenia Mrocznego Imperium. Przypuszczała, że Hawkmoon, d'Averc i ich przyjaciele zginą na polu walki, gdzieś na końcu świata. Istniała możliwość, że przed śmiercią zdołają dotrzeć do wybrzeża, nie wierzyła jednak, by zdołali przedrzeć się w pobliże Londry - skutecznie przecież rozdzielało ich morze, a kamarscy powstańcy nie mieli szans przedostać się po Srebrnym Moście.

Pomyślała przez chwilę, jak ocalić siebie, doszła jednak do wniosku, że jej obecne życie nie było warte najmniejszego wysiłku ratowania go. Postanowiła zabić się, kiedy zabraknie już wszelkiej nadziei. Gdyby natomiast została królową Granbretanu, zyskałaby jakąś część władzy. Istniała niewielka szansa, że Meliadus zgodzi się oszczędzić d'Averca, gdyż był on najmniej znaczącym spośród znienawidzonych mieszkańców Zamku Brass, z drugiej jednak strony wszyscy uważali Francuza za zdrajcę.

Posłyszała głośnie, chóralne okrzyki i ponownie wyjrzała na zewnątrz. Meliadus z Adazem Prompem wkraczali na teren pałacu. Widocznie bliska już była chwila zwycięstwa.

## ROZDZIAŁ IX

### ZABÓJSTWO KRÓLA HUONA

**B**aron Meliadus pognał swego rumaka galopem wzdłuż rozbrzmiewających echem korytarzy pałacu króla Huona. Bywał tu wielokrotnie i zawsze przychodził w pokorze, przynajmniej pozorowanej. Lecz teraz pysk jego wilczej maski unosił się dumnie, a z gardła płynął głośny okrzyk bojowy, kiedy wyrąbywał sobie drogę przez szeregi gwardzistów z Zakonu Modliszki, w stosunku do których kiedyś wpajano mu bezpodstawny lęk. Siekł na lewo i prawo ogromnym czarnym mieczem, którym nie tak dawno jeszcze posługiwał się w służbie Huona. Podrywany w górę koń stawał dęba, a jego kopyta, które tratowały dziesiątki podbitych krain, teraz spadały na owadzie hełmy i kruszyły karki gwardzistów.

Meliadus śmiał się w głos. Meliadus ryczał. Meliadus pędził w stronę Sali Tronowej, gdzie schroniły się niedobitki obrońców. Dostrzegł ich u wylotu korytarza, próbujących pośpiesznie ustawić ogniste działo. Otoczony tuzinem dosiadających koni Wilków runął na gromadę żołnierzy, nim zdumieni operatorzy działa zdolali się choćby poruszyć. Niemal równocześnie sześć głów spadło z karków, a po kilku sekundach wszyscy artylerzyści leżeli martwi. Czarny wilczy hełm smagały płomienie z ognistych lanc, lecz baron z Kroiden nie zwracał na nie uwagi. Poganiał swego rumaka o przekrwionych, błyszczących bitewnym

szaleństwem oczach na zastępy przeciwników.

Spychał gwardzistów z Zakonu Modliszki, ciął ich, rąbał i tratował, a oni umierali w przekonaniu, że stawali przeciwko istocie o nadprzyrodzonej sile.

Lecz to jedynie niespożyta energia i zapal bitewny pozwoliły Meliadusowi z Kroiden dopaść masywnych drzwi Sali Tronowej. Zatrzymał się, mając przed sobą zaledwie kilku ostatnich zmieszanych gwardzistów. Wszystkie oddziały zostały wysłane do obrony pałacowych bram. Kiedy żołnierze Modliszki ruszyli powoli ku niemu z wyciągniętymi włóczniami, Meliadus ryknął głośnym śmiechem, po czym runął na nich z szybkością błyskawicy, przedarł się i pogalopował w stronę Kuli Tronowej, przed którą kiedyś składał czołobitne hołdy.

Przez czarną bryłę przemknęły jaśniejsze pasma i stopniowo ukazała się pomarszczona postać nieśmiertelnego Króla-Imperatora. Zwinięta na kształt embriona sylwetka miotała się niczym ohydnie zdeformowana ryba tam i z powrotem w niewielkiej przestrzeni kuli, która zapewniała królowi Huonowi nieśmiertelność. Był bezbronny, bezradny. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zabezpieczyć się przed zdradą. Zbierane przez dwa tysiące lat doświadczenia nie skłoniły go do podejrzeń, że jeden z granbretańskich szlachciców może zwrócić się przeciwko swemu dziedzicznemu władcy.

— Meliadusie... - W dźwięcznym młodzieńczym głosie brzmiał strach. - Meliadusie, jesteś szalony. Posłuchaj, mówi do ciebie twój Król-Imperator. Rozkazuję ci odejść, wycofać swe oddziały i ponownie złożyć przysięgę lojalności, Meliadusie!

Czarne oczka, spoglądające niegdyś z pogardą, teraz przepełniał zwierzęcy strach. Chwytny język wysuwał się i chował, jak u żmii, a pozbawione siły, nie używane ręce i nogi

poruszały się nieporadnie.

— Meliadusie!

Wstrząsany spazmami triumfalnego śmiechu baron z Kroiden uniósł swój ciężki miecz i uderzył w Kulę Tronową. Siła ciosu sprawiła, że całe jego ciało przeniknął dreszcz rezonansu. Pochłonął go biały błysk eksplozji.

Usłyszał przejmujące wycie i odgłos spadających na posadzkę odłamków. Poczuł, że zalała go fala fluidu z roztrzaskanej kuli.

Zamrugął energicznie oczyma, spodziewając się, że ujrzy poskręcana, drobną postać konającego Króla-Imperatora, ale widział jedynie przepastną czarną otchłań.

Jego głośny śmiech przemienił się w przeraźliwy wrzask.

— Na zęby Huona! Oślepiłem!

## ROZDZIAŁ X

### BOHATEROWIE WYRUSZAJĄ

Oladahń odwrócił się w siodle i po raz ostatni spojrział na ruiny garnizonu. — Fort dopala się już - powiedział.

W mieście stacjonował duży oddział piechoty z Zakonu Szczura, ale nikt nie został przy życiu z wyjątkiem dowódcy, który miał dogorywać w mękach, gdyż mieszkańcy ukrzyżowali go na tym samym szafocie, na którym poniosło śmierć tak wiele mężczyzn, kobiet i dzieci.

Sześć zwierciadlanych hełmów obróciło się ku odległemu horyzontowi. Hawkmoon, Yisselda, hrabia Brass, d'Averc, Oladahń oraz Bowgentle jechali na czele pięciuset kamarskich gwardzistów uzbrojonych w ogniste lance.

Ich pierwsze starcie po opuszczeniu Kamargu zakończyło się absolutnym zwycięstwem. Z zaskoczenia natarli na niezbyt liczny garnizon i zniszczyli go całkowicie w ciągu pół godziny.

Podniesiony na duchu, choć daleki jeszcze od euforii Hawkmoon powiódł towarzyszy w stronę następnego miasta, gdzie według relacji ludzi stacjonował znacznie silniejszy oddział Granbretańczyków.

Nagle, na widok galopującego w ich kierunku jeźdźca, ściągnął wodze konia, lecz po chwili dostrzegł, że jest to Orland Fank, który pędził ku nim, tak że przywiązany do jego spalonych słońcem ramion topór bojowy podskakiwał wysoko.

— Pozdrowienia, przyjaciele! Przywożę wam nowiny oraz kilka wyjaśnień. Bestie skoczyły sobie nawzajem do gardeł. W Granbretanie wybuchła wojna domowa. Zacięte walki toczą się w Londrze, gdzie baron Meliadus wystąpił zbrojnie przeciwko królowi Huonowi. Zginęły już tysiące żołnierzy.

— Rozumiem teraz, dlaczego zostawiono tu jedynie nieliczne oddziały - rzekł Hawkmoon, ściągając swój lustrzany hełm. Otarł spocone czoło jedwabną chustą. W ciągu ostatnich miesięcy tak rzadko miewał na sobie pełną zbroję, że nie zdążył jeszcze przywyknąć do jej niewygód. - Pewnie wezwali wszystkie siły do udzielenia wsparcia królowi Huonowi.

— Albo do zasilenia armii Meliadusa. Nie sądzicie, że daje nam to pewną przewagę?

— Owszem - przyznał hrabia Brass zachrypniętym, nieco bardziej niż zazwyczaj podekscytowanym głosem. - Oznacza to, że wyrzynają się nawzajem, tym samym przechylając nieco szalę na naszą korzyść. Powinniśmy jak najszybciej ruszyć w stronę Srebrnego Mostu, dopóki zajęci są walką, przekroczyć go i stanąć na terytorium samego Granbretanu! Dopisuje nam szczęście, mistrzu Fank!

— Szczęście albo los, czy przeznaczenie - odparł tajemniczo Fank. - Nazywajcie to, jak chcecie.

— Czy nie powinniśmy zatem jak najszybciej skierować się ku wybrzeżom? - zapytała Yisselda.

— Tak - stwierdził Hawkmoon. - Natychmiast. Musimy wykorzystać przewagę zaskoczenia.

— Bardzo rozsądny pomysł - przyznał Orland. - Sądzę też, że rozsądnie z mojej strony będzie przyłączyć się do was.

— Serdecznie zapraszamy, mistrzu Fank.



## ROZDZIAŁ XI

### RÓŻNORODNE NOWINY

Kalan pochylał się nad spoczywającym na leżance i dyszącym ciężko Meliadusem, badając różnymi aparatami jego oczy. — Co mi jest, Kalanie? - warknął baron, a w jego głosie zabrzmiała mieszanina cierpienia i furii. - Czy oślepiłem całkowicie?

— Twoje oczy zostały porażone intensywnym światłem, jakie powstało w momencie wybuchu - stwierdził Kalan. - W ciągu kilku dni powinieneś odzyskać wzrok.

— W ciągu kilku dni?! Ja muszę widzieć! Muszę skonsolidować moje oddziały. Muszę upewnić się, że nie istnieją żadne spiski skierowane przeciwko mnie. Muszę przekonać pozostałych konstabli zakonów, by złożyli przysięgę lojalności Flanie, a następnie zdobyć wiadomości o poczynaniach Hawkmoona. Moje plany... Moje plany mogą zostać zniweczone!

— Większość dowódców Granbretanu podjęła już decyzję udzielenia ci poparcia - odparł Kalan. - Niewiele mogą zrobić przeciwko nam. Jedyne poważne zagrożenie stanowi Jerek Nankenseen i podlegający mu Zakon Muchy. Jego stronę trzyma jeszcze Brenal Farnu, ale z jego oddziałów nie zostało praktycznie nic. Większość Szczurów poległa już na początku walki. Adaz Promp nadal wygania z miasta resztki legionów Szczurów i Much.

— Nie ma już Szczurów? - rzekł w zamyśleniu Meliadus. - Jak wielu żołnierzy zginęło według twoich ocen, Kalanie?

— W przybliżeniu połowa wszystkich sił Granbretanu.

— Połowa? Czyżbym doprowadził do zguby połowę naszych oddziałów? Zniszczył połowę naszej potęgi?

— Czy nie było warto, skoro odniosłeś zwycięstwo?

Niewidzące oczy Meliadusa obróciły się ku sufitowi.

— Tak... Chyba tak... - Nagle usiadł sztywno na leżance. - Muszę potwierdzić zasadność śmierci tych wszystkich, którzy polegli, Kalanie. Uczyniłem to w imię dobra Granbretanu, żeby oczyścić świat od Hawkmoona i bandy łajdaków z Zamku Brass. Muszę ich pokonać, Kalanie, w przeciwnym razie nie znalazłbym usprawiedliwienia dla dokonanego, tak wielkiego osłabienia armii Mrocznego Imperium!

— Chyba nie masz się czego obawiać - stwierdził Kalan uśmiechając się krzywo. - Pracowałem równocześnie nad inną moją maszyną.

— Jeszcze jedna nowa broń?

— Raczej stara, tylko ponownie uruchomiona.

— O czym mówisz?

Kalan zachichotał.

— O maszynie Czarnego Klejnotu, baronie Meliadusie. Hawkmoon wkrótce znów znajdzie się w naszej mocy, a siły życiowe Czarnego Klejnotu pożrą jego umysł.

Uśmiech głębokiej satysfakcji powoli wypłynął na wargi Meliadusa.

— Och, Kalanie! Nareszcie!

Naukowiec delikatnie ułożył barona z Kroiden z powrotem na leżance i zaczął smarować jego porażone oczy leczniczym olejkim.

— Odpocznij teraz i wyśnij swój sen o zemście, stary przyjacielu. Wkrótce zasmakujemy jej wspólnie.

Na odgłos kroków łącznika wchodzącego pospiesznie do

niewielkiego pokoju Kalan błyskawicznie uniósł głowę.

— O co chodzi? Jakież nowiny?

Kurier z trudem łapał oddech.

— Przybywam z kontynentu, ekscelencjo. Przynoszę wieści o Hawkmoonie i jego ludziach.

— Jakie wieści? - Meliadus ponownie usiadł na leżance, nie bacząc, że sługa może oglądać jego twarz nie osłoniętą maską. Krople olejku pociekły mu po policzkach. - Co z Hawkmoonem?

— Posuwają się w kierunku Srebrnego Mostu, mój panie.

— Chcą dokonać inwazji na Granbretan? - zdumiał się baron. - Ilu ich jest? Jak liczną prowadzi ze sobą armię?

— Pięciuset jeźdźców, mój panie.

Meliadus wybuchnął gromkim śmiechem.

## ROZDZIAŁ XII

### NOWA KRÓLOWA

Kalan powiódł Meliadusa schodami w stronę tronu, ustawionego w miejscu złowieszczej Kuli Tronowej. Siedziała na nim Flana Mikosevaar - z koroną na głowie, twarzą ukrytą za nabijaną klejnotami maską czapli, odziana w królewskie szaty. Przed Flaną klęczeli wszyscy lojalni wobec niej szlachcice.

— Oto wasza nowa królowa! - oznajmił z dumą Meliadus głębokim głosem, który odbił się zwielokrotnionym echem w przeogromnej sali. - Pod rządami królowej Flany osiągniecie wielkość, o jakiej nawet nie śniliście. Pod rządami królowej Flany rozpocznie się nowa epoka, wiek szalonej radości i niewypowiedzianych rozkoszy, takich, jakie my, wszyscy Granbretańczycy, cenimy najbardziej. Cały świat stanie się naszą zabawką!

W dalszym ciągu ceremonii kolejno każdy z Mrocznych Baronów składał przysięgę posłuszeństwa królowej Flanie. Kiedy uroczyste wystąpienia dobiegły końca, głos ponownie zabrał Meliadus.

— Gdzie jest Adaz Promp, Naczelnny Wódz Armii Granbretanu?

— Tu jestem, mój panie - odezwał się Promp. - Dziękuję ci za ten zaszczyt, którym mnie obdarowałaś. - Po raz pierwszy Meliadus wspomniał publicznie, że ustanowił Prompa naczelnym dowódcą, któremu mieli podlegać wszyscy konstable zakonów, z wyjątkiem samego Meliadusa.

— Czy mógłbym cię prosić o przedstawienie raportu o

przebiegu rebelii, Adazie?

— Zostały już tylko nieliczne punkty oporu, mój panie. Resztki Zakonu Muchy, które nie zostały jeszcze wytępione, rozproszyły się, a ich Wielki Konstabl, Jerek Nankenseen, nie żyje. Zabiłem go osobiście. Brenal Farnu i niedobitki jego Szczurów poukrywali się w jakichś norach, gdzieś w Sussex, lecz wkrótce zostaną wykurzeni. Wszystkie pozostałe zakony zjednoczyły się ponownie, przysięgając lojalność królowej Flanie.

— To radosne wieści, Adazie. Jestem bardzo zadowolony. A co ze śmiesznym oddziałkiem Hawkmoona? Czy nadal posuwa się ku nam?

— Tak donoszą zwiadowcy wysłani na skrzydłolotach, mój panie. Tamci wkrótce dotrą do wjazdu na Srebrny Most.

Meliadus zachichotał.

— Pozwólcie im wjechać na most. Niech pokonają co najmniej połowę dystansu, nim zetrzemy ich z powierzchni ziemi. Jak posuwają się prace nad maszyną, Kalanie?

— Jest już prawie gotowa, mój panie.

— Świetnie. Wyruszymy teraz do Deau-Vere na spotkanie z Hawkmoonem i jego przyjacielami. Chodźmy, panowie.

Kalan sprowadził Meliadusa ze schodów i poprowadził go przez całą salę, aż dotarli do gigantycznych drzwi, strzeżonych teraz nie przez gwardzistów z Zakonu Modliszki, lecz przez Wilki i Sępy. Baron gorąco żałował, że nie może oglądać tego widoku, co w jakimś stopniu studziło kipiące w nim poczucie triumfu.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za wychodzącymi, Flana opadła ciężko na swym tronie, a jej myśli powędrowały ku d'Avercowi. Próbowwała rozmawiać o nim z Meliadusem, ale nie chciał jej słuchać. Dręczyło ją teraz tylko to jedno pytanie - czy Francuz zostanie zabity?

Pomyślała także o tym, co miało się wydarzyć. Jako jedyna spośród całej szlachty Granbretanu, z wyjątkiem Shenegara Trotta, lubiła czytać starożytne księgi, z czego większość stanowiły legendy bądź też zbeletryzowane opowieści z czasów poprzedzających Tragiczne Millenium. Głęboko wierzyła, że niezależnie od wszelkich kroków podjętych przez nią czy też Meliadusa, stanęła właśnie na czele dworu wkraczającego w ostatnie stadium dekadencji. Rozszerzanie działań wojennych, rozgrywki wewnętrzne - wszystko to były oznaki przedśmiertnych drgawek Królestwa Granbretanu, bo choć ostateczny upadek nie musiał nastąpić w ciągu najbliższych dwustu, pięciuset czy nawet tysiąca lat, to według jej przekonań całe Mroczne Imperium stało już w obliczu zguby.

Modliła się jedynie, by w jego miejsce powstało coś znacznie lepszego.

## ROZDZIAŁ XIII

### „CÓŻ WIDZISZ?”

Meliadus ścisnął w garści wodze wierzchowca towarzyszącego mu herolda. — Nie wolno ci mnie opuścić, chłopcze. Musisz mówić mi, co widzisz, a ja zgodnie z tym będę kierował bitwą.

— Będę mówił, mój panie.

— Świetnie. Czy wszystkie oddziały są już gotowe?

— Tak, mój panie. Czekają tylko na twój sygnał.

— Czy ten kundel, Hawkmoon, znalazł się już w zasięgu wzroku?

— Widziano jeźdźców zmierzających po Srebrnym Moście w naszym kierunku. Muszą wyjechać prosto na nasze szeregi, chyba że zawrócą.

— Nie zawrócą - mruknął Meliadus. - Hawkmoon na pewno tego nie uczyni, nie teraz. Czy możesz ich dostrzec?

— Widzę odbłaski... jakby odbicia w zwierciadłach... jak sygnały z heliografu... jeden, dwa, trzy... cztery, pięć, sześć. To promienie słońca odbijają się od nich. Sześć srebrnych zwierciadeł. Ciekaw jestem, co to oznacza?

— Odbicia od wypolerowanej stali?

— Nie sądzę, mój panie.

— Cóż, wkrótce się przekonamy.

— Tak, mój panie.

— Co teraz?

— Widzę już sześciu jeźdźców na czele oddziału kawalerii, mój

panie. Każdego z nich otacza srebrzysta aureola... Ach, mój panie, to ich hełmy tak błyszczą! Ich hełmy!

— Czy to znaczy, że są dobrze wypolerowane?

— One skrywają całe głowy jeźdźców. Ja... ledwie mogę patrzeć w tamtym kierunku, tak silny bije od nich blask.

— To dziwne. Sądzę jednak, że dość szybko popękają od ciosów naszego oręża. Czy przekazałeś wszystkim, że Hawkmoon musi być wzięty żywcem, natomiast można zabić pozostałych?

— Przekazałem, mój panie.

— Dobrze.

— Powtórzyłem także pańskie słowa, że gdyby Hawkmoon złapał się za głowę i zaczął dziwnie zachowywać, należy natychmiast dać panu znać.

— Znakomicie. - Meliadus zachichotał. - Znakomicie. Tak czy inaczej, dokona się moja zemsta.

— Zbliżają się już do wylotu mostu, mój panie. Musieli nas ujrzeć, lecz się nie zatrzymują.

— Daj sygnał rozpoczęcia ataku. Zadmij w trąbkę, heroldzie! - rozkazał Meliadus, a w chwilę potem zapytał: - Czy tamci nacierają, heroldzie?

— Tak, mój panie.

— Co teraz? Czy armie już się zwarły?

— Tak, rozpoczęli bitwę, mój panie.

— Mów, co się dzieje.

— Ja... niezupełnie rozumiem... ten dziwny blask bijący od ich hełmów... teraz jakieś niezwykle czerwone światło zalało cały teren... zdaje się, że armia Hawkmoona liczy o wiele więcej ludzi, niż sądziliśmy. Piechota... a także kawaleria. Na zęby Huona! Proszę mi wybaczyć, mój panie... na piersi Flany! To najdziwniejsi wojownicy, jakich kiedykolwiek widziałem!



— Jak wyglądają?

— Prymitywni barbarzyńcy... ale walczą zaciekle! Wnikają w nasze szeregi jak nóż w masło!

— Co? To niemożliwe. Mamy pięć tysięcy żołnierzy, a ich jest zaledwie pięciuset. Wszystkie doniesienia potwierdzały tę liczbę.

— Jest ich znacznie więcej niż pięciuset, mój panie. O wiele więcej.

— Czy to znaczy, że wszyscy zwiadowcy kłamali? A może ogarnia nas szaleństwo? Ci barbarzyńscy wojownicy musieli przypłynąć wraz z Hawkmoonem z Amareku. Co teraz? Cóż widzisz? Czy nasze legiony nacierają?

— Nie, mój panie.

— Co zatem robią?

— Wycofują się, mój panie.

— Wycofują? To niemożliwe!

— Wygląda na to, że szybko ustępują pola, mój panie. Ci, którzy uszli z życiem.

— O czym ty mówisz? Ilu zostało z naszej pięciotysięcznej armii?

— Rzekłbym, że mniej więcej pięciuset z piechoty, mój panie, oraz setka rozproszonej konnicy.

— Przekaż pilotowi mojego skrzydłolotu, heroldzie, żeby przygotował maszynę.

— Rozkaz, mój panie.

— Czy pilot jest gotów do lotu, heroldzie?

— Tak, mój panie.

— A co z Hawkmoonem i jego bandą? Gdzie są teraz jeźdźcy w srebrzystych hełmach?

— Ruszyli w pogoń za niedobitkami naszych żołnierzy, mój panie.

— Czy to znaczy, że zostaliśmy jakimś cudem pobici, heroldzie?

— Tak, mój panie. Jest wielu zabitych. Teraz barbarzyńscy wojownicy kończą rozprawiać się z piechotą. Tylko nielicznym jeźdźcom udało się uciec.

— Nie mogę w to uwierzyć. Och, przeklęta ślepotą! Czuję się, jakbym śnił!

— Zaprowadzę cię do skrzydłolotu, mój panie.

— Dziękuję ci, heroldzie. Nie, pilocie, do Londry. Szybko. Musimy opracować nowe plany!

Kiedy maszyna z łopotem skrzydeł wzbijała się w przymglone błękitne niebo, przed oczyma Meliadusa przemknęła jaskrawosrebrzysta błyskawica. Zamrugał powiekami i spojrzał w dół. Przejrzał na oczy. Mógł teraz dostrzec sześć jaśniejących hełmów, które opisywał mu herold. Ujrzał teren zasłany trupami żołnierzy oraz umykające w popłochu niedobitki konnicy, a przecież granbretańskie legiony powinny były zetrzeć oddziały Hawkmoona w pył. Do jego uszu doleciał z oddali głośny śmiech najbardziej znienawidzonego spośród jego wrogów.

Zacisnął z całej siły pięści.

— Hawkmoon! Hawkmoon!

Znów przemknęła srebrzysta błyskawica, gdy jeden ze zwierciadlanych hełmów zwrócił się ku górze.

— Bez względu na to, jakie sztuczki stosujesz, Hawkmoonie, zginiesz tej nocy. Na pewno zginiesz! Na pewno!

Raz jeszcze spojrzał w dół, kipiąc wściekłością, jaką wzbudził w nim triumfalny śmiech księcia Koln. Popatrzył na pole, gdzie barbarzyńcy jakoby otoczyli i wyrzynali jego żołnierzy. Lecz tam nie było żywej duszy.

„To koszmar” - pomyślał. A może herold był w zмовie z tamtymi? Czy też to jego oczy nie mogły dostrzec dzikusów?

Przecięgnął dłonią po twarzy. Możliwe, że ślepotą, która ustąpiła zaledwie chwilę temu, wciąż jeszcze dawała o sobie znać w ten dokuczliwy sposób. A może tamci po prostu błyskawicznie przenieśli się w inną część pola bitwy?

Nie. Był przekonany, że barbarzyńcy w ogóle nie istnieli.

— Pospiesz się, pilocie - zawołał, przekrzykując głośny łopot metalowych skrzydeł rozcinających powietrze. - Pospiesz się! Musimy dotrzeć do Londry tak szybko, jak tylko to możliwe!

Przyszło mu na myśl, że pokonanie Hawkmoona może okazać się o wiele trudniejsze, niż przypuszczał. Kiedy jednak przypomniał sobie o Kalanie i jego maszynie Czarnego Klejnotu, uśmiechnął się.

## ROZDZIAŁ XIU

### POWRÓT MOCY

Upojeni z lekka zwycięstwem w bitwie, w której stracili zaledwie dwunastu żołnierzy, a dwudziestu odniosło niegroźne rany, zdejmowali kolejno swe lustrzane hełmy i spoglądali za uciekającymi jeźdźcami.

— Nie spodziewali się obecności Legionu Świtu - rzekł z uśmiechem hrabia Brass. - Zostali zaskoczeni i stawiali niewielki opór. Lecz nim dotrzemy do Londry, zdążą się odpowiednio przygotować.

— To prawda - przytaknął Hawkmoon. - Myślę też, że gdy przyjdzie nam się zmierzyć następnym razem, Meliadus wystawi znacznie liczniejszą armię. - Przesunął palcami po zwisającym mu na szyi Czerwonym Amulecie i popatrzył na Yisseldę, która potrząsając głową układała swe jasne włosy.

— Świetnie walczyłeś, mój panie - powiedziała. - Mógłbyś zastąpić stu wojowników.

— To tylko z powodu amuletu, dającego mi siłę pięćdziesięciu ludzi, oraz miłości do ciebie, dzięki której zyskuję siłę następnych pięćdziesięciu. - Uśmiechnął się promiennie.

Odpowiedziała mu tym samym.

— Od początku naszego małżeństwa nie zaszczycasz mnie takimi pochlebstwami.

— Może dlatego, że teraz Kocham cię o wiele bardziej niż dotychczas - odparł.

D'Averc chrząknął głośno.

— Lepiej rozbijmy obóz w pewnej odległości od tego zasłanego trupami pobojuwiska.

— Zajmę się rannymi - oświadczył Bowgentle i zawrócił konia ku zbierającym się w grupy, zasiadającym na trawie i dyskutującym z ożywieniem kamarskim gwardzistom.

— Świetnie się spisaliście, chłopcy! - krzyknął do nich hrabia Brass. - Znów jest jak za dawnych czasów, kiedy toczyliśmy walki w całej Europie! Ale teraz walczymy o ocalenie Europy.

Hawkmoon otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz tylko wrzasnął przeraźliwie. Upuścił hełm na ziemię, objął głowę obiema dłońmi, a z jego oczu można było wyczytać straszliwą mękę i przerażenie. Zachwiał się w siodle i byłby spadł, gdyby nie podtrzymał go Oladah.

— Co się stało, książę Dorianie? - zapytał strwożony.

— Dlaczego krzyczysz, ukochany?! - zawołała Yisselda, zeskakując z konia i pomagając Oladahnowi podtrzymać męża.

Pobielałymi wargami i przez zaciśnięte zęby książę Koln zdołał wyartykułować jedynie kilka słów:

— To... kamień... Czarny Klejnot... Znowu zaczął się wgryzać w moją głowę! Wróciła jego moc! - Zatoczył się jeszcze silniej, po czym zwisł bezwładnie w ich ramionach, a z jego twarzy odpłynęła cała krew. Gdy opadły jego ręce, przekonali się, że mówił prawdę. Czarny Klejnot pulsował życiem - nie był już matowy, teraz połyskiwał złowieszczo.

— Czy on nie żyje, Oladahnie?! - zawołała przerażona Yisselda. Mały człowieczek pokręcił głową.

— Żyje, trudno jednak powiedzieć, ile jeszcze życia mu zostało. Bowgentle! Panie Bowgentle! Proszę przyść tu szybko!

Poeta podbiegł do nich, ujął Hawkmoona pod pachy i ułożył na ziemi. Kiedyś miał już okazję oglądać go w takim stanie. Pokręcił

z niedowierzaniem głową.

— Spróbuję mu pomóc, choć ulga będzie krótkotrwała. Nie mam tu tego, czym dysponowałem w Zamku Brass.

Przejęci zgrozą Oladah i Yisselda przyglądali się wykonywanym przez Bowgentle'a czynnościom. Wkrótce dołączyli do nich hrabia Brass oraz d'Averc. Po jakimś czasie Hawkmoon poruszył się i otworzył oczy.

— Klejnot... - jęknął. - Śniło mi się, że znowu wżera się w mój mózg...

— Tak też się stanie, jeśli nie znajdziemy szybko sposobu odizolowania go - mruknął Bowgentle. - Siły życiowe opuściły go na jakiś czas, nie umiem jednak powiedzieć, kiedy opanują cię znowu i jakie szkody zdolne będą poczynić.

Książę dźwignął się z ziemi. Był bardzo blady i ledwie trzymał się na nogach.

— Musimy zatem ruszać... Do Londry, póki mamy trochę czasu. Jeśli go wystarczy...

## ROZDZIAŁ XU

### BRAMY LONDRY

**K**iedy sześciu jeźdźców na czele kawalerii stanęło na szczycie wzgórza, ujrzeni zgromadzone przed bramami Londry oddziały żołnierzy. Zmagając się z falami bólu Hawkmoon dotknął palcami Czerwonego Amuletów. Teraz już tylko on mógł mu pomóc, tylko jego siły zdolne były przeciwstawić się mocy Czarnego Klejnotu. Kalan obsługiwał gdzieś w mieście maszynę, przekazującą Czarnemu Klejnotowi siły życiowe. By dostać się do Kalana, musiał najpierw zdobyć miasto, pokonać tę olbrzymią, dowodzoną przez Meliadusa armię, która oto czekała już na nich.

Nie wahał się - wiedział, że nie ma czasu na wahanie, że każda sekunda jest dla niego bezcenna. Uniósł wysoko nad głowę różowy Miecz Świtu i wydał rozkaz do natarcia. Stopniowo kamarska konnica przelała się przez szczyt wzgórza i przyspieszając popędziła w kierunku kilkakrotnie przewyższającej ją liczebnością armii. Płomienie ognistych lanc spadły na szeregi Granbretańczyków, lecz ci odpowiedzieli tym samym szarżującej kawalerii. Hawkmoon wyczekał na odpowiedni moment, po czym dźwignął swój miecz w stronę nieba.

— Legion Świtu! Przyzywam Legion Świtu! - Jego okrzyk przemienił się w jęk, kiedy głowę wypełnił nieznośny ból, a żar Czarnego Klejnotu rozlał się po czole.

— Czy wszystko w porządku, kochany?! - zawołała galopująca obok niego Yisselda, nie otrzymała jednak odpowiedzi.

Po chwili otoczył ich bitewny zgiełk. Przed oczyma księcia Koln falowała mglista zasłona - ledwie mógł dostrzec nieprzyjaciół, nie miał też pewności, czy Legion Świtu przystąpił do walki. Domyślił się ich obecności po czerwonawej łunie bijącej w niebo. Poczuł przepełniającą go moc Czerwonego Amuletu, stopniowo przewyciężającą siłę Czarnego Klejnotu; zarazem znów wracała mu energia. „Jak długo jeszcze będę potrafił to znieść?” - pomyślał.

Ujrzał, że otaczają go przerażone rumaki, a jeźdźcy z Zakonu Sępa, których wysunięte maski ukazywały wzniesione do ostatecznego ciosu dzioby drapieżnych ptaszysk, zamierzają się na niego wielkimi maczugami o długich trzonkach. Zablokował cios najbliższego z nich i natychmiast pchnął mieczem, przebijając napierśnik i serce. Wychylił się w siodle, ciął kark drugiego wojownika, zanurkował pod opadającą ze świstem maczugą i natarł na kolejnego napastnika.

Rozgorzała gorączkowa, zażarta bitwa. Powietrze wypełniły wrzaski przerażenia i po pewnym czasie Hawkmoon doszedł do wniosku, że jest to najstraszliwsza z bitew, w jakich uczestniczył - wstrząśnięci pojawieniem się Legionu Świtu żołnierze Mrocznego Imperium tracili zimną krew, bronili się bezładnie, łamiąc szyki i ignorując rozkazy dowódców.

Stwierdził, że walka zakończy się krwawą rzezią, z której nieliczni tylko ujdą z życiem. Zaczął też podejrzewać, że nie będzie mu dane doczekać do jej końca, w jego czasce bowiem z każdą chwilą nasilał się pulsujący ból.



Oladah n zginął z dala od swych towarzyszy, osamotniony, pocięty na kawałki przez kilkunastu toporników z piechoty



Zakonu Świni.

Hrabiego Brassa dosięgnęła zupełnie inna śmierć.

Stanął do walki z Adazem Prompem, Mygelem Holstem i Saką Gerdenem, Wielkim Konstablem Zakonu Byka. Rozpoznali go - nie po prostym lustrzanym hełmie ozdobionym jedynie krzyżykiem, lecz po masywnej sylwetce i charakterystycznej spiżowej zbroi. Natarli we trzech równocześnie - Pies, Kozioł i Byk - z uniesionymi wysoko mieczami.

Stojący nad nieruchomym ciałem swego ostatniego przeciwnika hrabia - któremu tamten zabił konia, zmuszając tym samym do kontynuowania walki pieszo - dostrzegł szarżujących jeźdźców, ujął więc oburącz ciężki miecz i kiedy tamci zbliżyli się, ciął szerokim łukiem, odrąbując naraz trzem rumakom przednie nogi. Baronowie wylecieli z siodeł, przekoziółkowali nad końskimi łbami i wylądowali w błocku stratowanego pola. Hrabia spadł na nich z góry: najpierw w niegodny sposób, pchnięciem od tyłu rozprawił się z Adazem Prompem, następnie ściął głowę Mygelowi Holstowi właśnie w chwili, kiedy wódz Kozłów chciał błagać go o litość; Saka Gerden zdołał jednak w tym czasie podnieść się na nogi i przyjąć postawę obronną. Parując ciosy, dowódca Byków kilkakrotnie potrząsał głową, oślepiony blaskiem odbitym od zwierciadlanego hełmu. Widząc to hrabia Brass zerwał z głowy srebrzysty hełm i odrzucił go na bok, odsłaniając rude włosy i bujne wąsy, a na jego twarzy pojawił się wyraz dumy i zaciętości.

— Dwóch twoich kompanów poległo haniebną śmiercią - rzekł chrapliwym głosem. - Ty będziesz miał szansę stoczyć ze mną honorową walkę.

Saka Gerden natarł jak rozwścieczony byk, symbol jego zakonu, lecz hrabia Brass zszedł z linii ataku i błyskawicznym

ruchem wyprowadził cios, który roztrzaskał wielki hełm tamtego i rozplątał mu czaszkę. Gdy przeciwnik padł na ziemię, hrabia Brass uśmiechnął się i w tej samej chwili jego pierś przeszła na wylot włócznia kawalerzysty z Zakonu Kozła. Zdążył jeszcze odwrócić się, wyrwać drzewce z rąk zabójcy i ciąć mieczem w gardło, powalając go na miejscu.

W ten właśnie sposób zginął hrabia Brass.

Orland Fank widział to wszystko. Odłączył się od nich przed bitwą i przyjechał nieco później, lecz jego wielki topór bojowy zdążył zasiać spustoszenie w szeregach wrogów. Teraz oglądał śmierć hrabiego Brassa. Niedługo potem oddziały Mrocznego Imperium pozbawione trzech wodzów zaczęły się przegrupowywać i cofać ku bramom Londry, a przed ucieczką za mury miasta powstrzymywała ich jedynie budząca lęk postać barona Meliadusa w czarnej zbroi, olbrzymim wilczym hełmie i z wielkim czarnym mieczem w dłoni.

Mimo to Granbretańczycy byli spychani w stronę miasta przez Hawkmoona, Yisseldę, d'Averca, Bowgentle'a, Orlanda Fanka i garstkę pozostałych przy życiu Kamargijczyków, których w boju przeciwko bestiom Mrocznego Imperium wspomagał niesamowity, występujący zawsze z żałobną pieśnią na ustach Legion Świtu.

Nie było już czasu na zamknięcie bram miasta przed szarżującymi bohaterami Kamargu. Meliadus - przekonany dotychczas, że prawidłowo ocenił siły Hawkmoona - doszedł teraz do wniosku, że go nie docenił. Nie pozostało mu nic innego, jak zebrać wszelkie możliwe posiłki, a zarazem wysłać gońca do Kalana z prośbą o zwiększenie mocy Czarnej Klejnotu.

Odżyła w nim nadzieja, kiedy dostrzegł, że Hawkmoon chwieje się w siodle i unosi dłonie do srebrzystego hełmu. Przyszedł mu

jednak z pomocą dziwnie ubrany mężczyzna w kraciastych spodniach i wełnianej czapeczce na głowie - przytrzymał księcia Koln, a następnie wyciągnął zza jego siodła jakiś zwój materiału.

— Czy mnie słyszysz, człowieku? - mruknął Fank do Hawkmoona. - Najwyższy czas skorzystać z Magicznej Laski. Musisz jej użyć jako naszego godła. Zrób to, Hawkmoonie, w przeciwnym razie możesz nie przeżyć nawet minuty dłużej!

Książę poczuł żar pulsujący mu pod czaszką, jakby coś miało się niczym szczur w klatce, posłuchał jednak Fanka, chwycił Magiczną Laskę lewą ręką i uniósł ją wysoko nad głowę. Powietrze natychmiast wypełniło się dziwacznymi świetlistymi wzorami.

— Magiczna Laska! - wrzasnął Fank. - Magiczna

Laska! Magiczna Laska jest z nami! - Ryknął gromkim śmiechem na widok cofających się i uciekających Granbretańczyków, do tego stopnia przerażonych tym widokiem, że zapomnieli o swej przewadze liczebnej. Hawkmoon poczuł się już niemal zwycięzcą.

Lecz baron Meliadus nie uważał się jeszcze za pokonanego.

— Wracać, to tylko zwyczajny przedmiot! - wrzeszczał. - Nic wam nie grozi! Naprzód, głupcy! Pojmać ich!

Garstka atakujących, ze słaniającym się w siodle Hawkmoonem, który przede wszystkim usiłował trzymać nieruchomo wysoko w górze Magiczną Laskę, pognała za uciekającymi przez bramy Londry, gdzie wciąż jeszcze były skupione miliony ludzi zdolnych ich powstrzymać.

Jak we śnie książę Koln powiodł swój niezwykły legion przeciwko wrogom, trzymając w jednej dłoni Miecz Świtu, w drugiej Magiczną Laskę i ze wszystkich sił ściskając kolanami boki konia.

Był to tak silny uścisk, że kiedy obiegnęła go piechota z zakonów Świni oraz Kozła i próbowała ściągnąć na ziemię, nie mogli go w ogóle ruszyć z miejsca. Hawkmoon spostrzegł, że któryś z rycerzy w lustrzanym hełmie walczy zaciekle z dziesiątkami żołnierzy ściągniętych go z konia. Przejęty lękiem, że może to być Yisselda, zebrał w sobie resztki energii i zawrócił rumaka, chcąc pospieszyć z pomocą, lecz zaraz ujrzał innego jeźdźca w zwierciadlanym hełmie przedzierającego się w tamtą stronę i zrozumiał, że to nie Yisselda znalazła się w okrążeniu, lecz Bowgentle, a Yisselda spieszy mu na ratunek.

Za późno jednak. Bowgentle zniknął w skłębionej masie napastników, oręż Kozłów, Świn i Psów zaczął uderzać w niego bezlitośnie, aż w końcu ktoś uniósł w górę zbryzgany krwią, połyskujący hełm - uniósł go tylko na chwilę, gdyż spadł na niego ostry miecz Yisseldy odcinając ramię i w górę trysnął strumień krwi.

Księżca zalała kolejna fala nieznośnego bólu. Kalan z pewnością zwiększał moc maszyny. Hawkmoon jęknął, oczy zaszyły mu mgłą, zdołał jednak jakimś sposobem osłaniać się przed spadającymi nań ciosami, a zarazem utrzymać w kurczowo zaciśniętej dłoni Magiczną Laskę.

Gdy na krótko odzyskał wzrok, dostrzegł szarżującego d'Averca, który wywijając młynka mieczem wycinał sobie drogę poprzez tłumy Granbretańczyków, zdecydowanie dążąc w określonym kierunku. Księżę zrozumiał po chwili, że przyjaciel chce przedrzeć się do pałacu, do kobiety, którą darzył miłością - królowej Flany.

A oto jak zginął d'Averc.

Udało mu się dotrzeć do pałacu, który po szturmie przypuszczonym przez Meliadusa znajdował się w opłakanym

stanie. Dostał się do środka przez wyrwę w murze, zeskokczył z konia u podnóża szerokich schodów i popędził ku grupie strażników chroniących wejścia. Uzbrojeni byli w ogniste lance, a on miał jedynie miecz. Kiedy płomienie strzeliły w jego stronę, padł na posadzkę, potoczył się i ukrył w obszernej jamie, jaką zielony fluid z bąbli Kalana wytopił w kamiennym murze. Znalazł tu porzuconą ognistą lancę i z jej pomocą, prawie nie wychylając nawet głowy z ukrycia, rozprawił się ze wszystkimi strażnikami.

Skoczył na nogi i pobiegł dalej przestronnymi korytarzami, rozbrzmiewającymi głośnym echem jego kroków. Dotarł do wielkich drzwi Sali Tronowej, gdzie próbowała go zatrzymać następna grupa strażników, lecz dysponując ognistą lancą poradził sobie z nimi bez trudu, sam doznając tylko nieznacznych poparzeń na prawym ramieniu. Z hukiem otworzył drzwi i popatrzył w otchłań Sali Tronowej. O milę dalej dostrzegł podwyższenie, ale nie mógł stąd dojrzeć, czy Flana siedzi na tronie. Poza tym w sali nie było nikogo.

Popędził wielkimi susami w stronę odległego podwyższenia, wykrzykując:

— Flana! Flana!

Spoczywająca na tronie królowa trwała zatopiona w myślach. Spoglądała na zbliżającą się ku niej, małą w odległej perspektywie postać, i słyszała wykrzykiwane jej imię, powtarzane zwielokrotnionym echem w gigantycznym pomieszczeniu: „Flana! Flana!” Rozpoznała ten głos, sądziła jednak, że rozbrzmiewa on w jej mózgu.

Postać w przypominającym zwierciadło, połyskującym jak wypolerowane srebro hełmie zbliżyła się do niej. Nie umiała jeszcze rozpoznać tego człowieka po sylwetce.

— Huillam? - spytała niepewnym głosem. - Huillam d'Averc?

— Flano! - Rycerz ściągnął z głowy hełm i odrzucił go daleko od siebie, tak że potoczył się z brzękiem po marmurowej posadzce. - Flano!

— Huillamie! - Zerwała się na nogi i pobiegła schodami w dół ku niemu.

Rozłożył szeroko ramiona, uśmiechając się radośnie.

Nie dane im było jednak się objąć. Strumień płomieni z ognistej lancy spadł niczym błyskawica z umieszczonej wysoko galerii na jego głowę. Krzyknął w agonii i runął na kolana, a płomień przesunął mu się po plecach, powalając go twarzą na posadzkę. Umarł u stóp kobiety, której całym ciałem wstrząsnął silny histeryczny spazm. Z góry rozległ się wyrażający wielkie zadowolenie z siebie czyjś głos:

— Teraz jesteś już bezpieczna, pani.

## ROZDZIAŁ XVI

### OSTATNIA WALKA

Miasto pełne było wojska, zdawało się, że żołnierze Mrocznego Imperium wypełzają z każdej mysiej dziury, natomiast Legion Świtu, jak zauważył Hawkmoon, począł tracić na sile. Kiedy padał któryś z wojowników, nie zawsze w jego miejsce pojawiał się następny. Powietrze dookoła przepęśniał gorzkawosłodki zapach oraz niezwykle świetlne wzory Magicznej Laski.

Księżę spostrzegł Meliadusa, lecz w tej samej chwili w jego głowie rozlał się tak silny ból, że stracił równowagę i spadł z konia.

Baron zeskoczył z czarnego rumaka i wolnym krokiem podszedł do Hawkmoona, z którego dłoni wysunęła się Magiczna Laska, a Miecz Świtu ledwie tkwił w jego palcach.

Księżę jęknął i poruszył się. Wokół nadal trwała bitwa, lecz on czuł się tak, jakby nie miał z nią nic wspólnego. Opuszczały go resztki sił, a w głowie pulsował coraz intensywniejszy ból. Otworzył oczy i ujrzał nadchodzącego Meliadusa - pysk maski tamtego zdawał się szczerzyć kły w triumfalnym uśmiechu. Nie mógł nawet wydobyć głosu z wyschniętego gardła. Próbował dosięgnąć Magicznej Laski, leżącej nie opodal na kamieniach bruku.

— Nareszcie, Hawkmoonie! - odezwał się Meliadus łagodnym tonem. - Widzę, że bardzo cierpisz, jesteś niezmiernie osłabiony. Gorąco żałuję tylko, że nie będziesz mógł widzieć twej

ostatecznej klęski oraz tego, co stanie się z Yisseldą, kiedy wpadnie mi w ręce. - W głosie barona z Kroiden niemalże wyczuwało się żal. - Czyżbyś nie mógł wstać, Hawkmoonie? A więc Czarny Klejnot pożera już twój mózg za tym srebrzystym hełmem? Jak sądzisz, czy powinienem pozwolić mu dokończyć dzieła, czy też zostawić tę przyjemność dla siebie? Możesz mi odpowiedzieć, Hawkmoonie? A może masz zamiar błagać mnie o litość?

Książę konwulsyjnym ruchem dosięgnął Magicznej Laski, jego palce zacisnęły się na uchwycie. Niemal natychmiast poczuł, jak wracają mu siły. Nie odzyskał ich w pełni, wystarczająco jednak, by dźwignąć się w górę i stanąć na chwiejnych nogach. Nisko pochylony dyszał ciężko, z trudem chwytając powietrze. Mętным wzrokiem ujrzał Meliadusa unoszącego miecz do zadania ostatecznego ciosu.

Próbował podnieść swój oręż, ale nie dał rady.

Baron zawahał się.

— Nie możesz nawet walczyć. Nie możesz się bronić. Twój widok przejmuje mnie smutkiem, Hawkmoonie. - Podszedł jeszcze bliżej. - Oddaj mi tę laskę. To na nią przysięgałem zemścić się na wszystkich mieszkańcach Zamku Brass. Moja zemsta prawie się już dokonała. Oddaj mi ją teraz, Hawkmoonie.

Książę na miękkich nogach postąpił dwa kroki w tył, potrząsając głową. Był tak osłabiony, że nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Oddaj mi ją, Hawkmoonie.

— Nigdy... jej... nie... dostaniesz - wycharczał książę Koln.

— Zatem będę musiał cię zabić. - Meliadus ponownie uniósł miecz, lecz nagle Magiczna Laska rozbłysła jaśniejszym światłem i baron z Kroiden jak urzeczony zapatrzył się w odbicie swej



wilczej maski w lustrzanym hełmie Hawkmoona. Jakby zahipnotyzowany tym widokiem zamarł w bezruchu - choć na moment tylko.

Książę, na którego spłynęło nieco energii z Magicznej Laski, uniósł ciężko swój miecz wiedząc, że ma oto jedyną szansę zadania ciosu i że tym jednym cięciem musi zabić zastygłego przed nim człowieka.

Miecz Świtu spadł na ramię Meliadusa, gruchocząc jego kości i sięgając serca. Baron wydał z siebie przeraźliwy krzyk agonii, a po chwili, wraz z ostatnim tchnieniem, z jego warg popłynęły słowa:

— Przeklinam tę rzecz. Przeklinam Magiczną Laskę! Przyniosła zniszczenie Granbretanowi!

Hawkmoon runął na ziemię. Nie miał już cienia wątpliwości, że teraz umrze, że poniosą śmierć Yisseldą oraz Fank, gdyż szeregi Legionu Świtu wyraźnie rzedły, a przeciwko nim występowały ciągle nowe zastępy żołnierzy Mrocznego Imperium.

## ROZDZIAŁ XVII

### SMUTNA KRÓLOWA

**H**awkmoon odzyskał nagle przytomność - pochylała się nad nim węzowa maska barona Kalana z Vitall. Książę poderwał się błyskawicznie na leżance, sięgając po broń.

Kalan tylko wzruszył ramionami i odwrócił się ku grupie ludzi stojących w cieniu. — Mówiłem, że mogę to uczynić. Jego mózg został ocalony, wróciły mu wszystkie siły, zachowała się nawet jego głupia osobowość. A teraz proszę, byś pozwoliła mi, królowo Flano, kontynuować to, co robiłem, zanim mi przeszkodziłaś.

Książę poznał zdobną maskę czapli. Królowa skinęła głową i Kalan odszedł powłócząc nogami do sąsiedniego pokoju, po czym starannie zamknął za sobą drzwi. Z cienia wyszły dwie osoby i Hawkmoon z wielką radością popatrzył na Yisseldę, uścisnął ją mocno i serdecznie ucałował.

— Och, bałam się, że Kalan będzie chciał nas oszukać - powiedziała. - Królowa Flana odnalazła cię zaraz po tym, jak rozkazała przerwać walkę. Tylko my ocaleliśmy, Orland Fank i ja. Sądziliśmy, że nie żyjesz. Lecz Kalan przywrócił cię do życia, usunął kamień z twego czoła i rozmontował maszynę, by nikt więcej nie musiał się obawiać straszliwej mocy Czarnego Klejnotu.

— W czym mu przeszkodziłaś, królowo Flano? - zapytał Hawkmoon. - Z jakiego powodu był taki zde gustowany?

— Miał zamiar popełnić samobójstwo - stwierdziła bezosobowym tonem Flana. - Zagroziłam mu, że skażę go na

nieśmiertelność, jeśli nie wykona moich rozkazów.

— Co z d'Avercem? - spytał posmutniały książę Koln. - Gdzie jest d'Averc?

— Nie żyje - odparła królowa równie beznamiętnie. - Został zabity w Sali Tronowej przez nadgorliwego strażnika.

Hawkmoon zasepił się jeszcze bardziej.

— Czy to znaczy, że oni wszyscy nie żyją? Hrabia Brass, Oladah, Bowgentle?

— Tak - powiedział Orland Fank - ale zginęli za wielką sprawę i uchronili przed straszliwą śmiercią miliony istnień ludzkich. Do dnia dzisiejszego Europa знаła jedynie przemoc. Może teraz ludzie zaczną żyć w pokoju, przekonali się bowiem, do czego prowadzi przemoc.

— Hrabia Brass nade wszystko pragnął pokoju w całej Europie - rzekł Hawkmoon. - Żałuję, że nie doczekał tej chwili.

— Może jego wnuk doczeka wieczystego pokoju - wtrąciła Yisselda.

— Nie musicie się już obawiać Granbretanu, przynajmniej tak długo, dopóki będę królować - oznajmiła Flana. - Mam zamiar zrównać z ziemią Londrę, a stolicę przenieść do mego rodzinnego miasta, Kanbery. Wszystkie skarby Londry, których jest tu na pewno więcej niż w całym pozostałym świecie, zostaną spożytkowane na odbudowę miast Europy, na wyposażenie wiejskich gospodarstw, na czynienie wszelkiego dobra, jakie tylko w naszej mocy, by zadośćuczynić za wyrządzone krzywdy. - Zerwała z głowy maskę, odsłaniając swą piękną, choć napiętnowaną smutkiem twarz. - Od dziś także zabraniam noszenia masek.

Orland Fank popatrzył na nią sceptycznym wzrokiem, ale nie skomentował tych obietnic.

— Potęga Granbretanu została złamana na zawsze - powiedział. - Spełniły się zamierzenia Magicznej Laski. - Poklepał dłonią ściskane pod pachą zawiniątko. - Zabieram Miecz Świtu, Czerwony Amulet oraz samą Magiczną Laskę w bezpieczne miejsce, lecz gdyby kiedykolwiek nadszedł czas, drogi Hawkmoonie, że znów musiałbyś walczyć razem z nią, ona cię z pewnością odnajdzie, obiecuję ci to.

— Mam nadzieję, że taki czas nigdy nie nadejdzie, Orlandzie.

Fank westchnął.

— Świat nie zmienia się tak łatwo, Hawkmoonie. Czasem tylko mniej czy bardziej wychyla się ze stanu równowagi, a gdy tego typu zmiany postępują zbyt daleko w jednym kierunku, wówczas Magiczna Laska zmuszona jest przystąpić do działania. Niewykluczone, że podobnie ekstremalne odejście od stanu równowagi nie powtórzy się w ciągu najbliższego stulecia, czy nawet dwóch stuleci. Któż to może wiedzieć?

Księżę zaśmiał się.

— Ty powinieneś to wiedzieć, jesteś przecież wszechwiedzący.

Fank odpowiedział uśmiechem.

— Nie ja, przyjacielu, ale ta, której służę, Magiczna Laska.

— Twój syn, Jehamia Cohnahlias...

— Ach, istnieją takie tajemnice, których nawet Magiczna Laska nie potrafi rozwikłać. - Fank potarł palcami długi nos i powiódł dookoła uważnym spojrzeniem. - Cóż, pora się z wami pożegnać. Stoczyliście śmiertelny bój, ale walczyliście o sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość? - zawołał Hawkmoon w ślad za wychodzącym mężczyzną. - Sprawiedliwość? Czy w ogóle istnieje coś takiego?!

— Owszem, można ją wytworzyć w niewielkich ilościach - odparł Fank. - Ale trzeba się ciężko napracować, usilnie walczyć i

wykorzystać wiele mądrości, aby uzyskać znikomą jej ilość.

— Cóż... - Hawkmoon pokiwał głową. - Może masz rację.

Fank zaśmiał się.

— Ja wiem, że mam rację - stwierdził, znikając im z oczu. Po chwili raz jeszcze doleciał z oddali jego głos. - Sprawiedliwość to nie jest Prawo, to nie Porządek, tak jak ludzie chcieliby ją rozumieć. Sprawiedliwość to Równowaga, to odpowiednie Wyważanie Sił. Pamiętaj o tym, Hawkmoonie. Pamiętaj.

Książę otoczył Yisseldę ramieniem.

— Tak, będę o tym pamiętał - szepnął. - Wracajmy teraz do Zamku Brass. Musimy tam znów puścić wodę w strumieniach, odtworzyć trzciny i laguny, wyhodować stada byków, koni i flamingów. Musimy znów uczynić z tej krainy nasz ukochany Kamarg.

— Któremu potęga Mrocznego Imperium nie zagrozi już nigdy więcej - dodała królowa Flana.

Hawkmoon skinął głową.

— Jestem o tym przekonany. Lecz gdyby jakiegokolwiek zło miało kiedyś spaść na Zamek Brass, będę przygotowany na jego przyjęcie, niezależnie od tego, z jaką siłą by nadciągnęło i jaką miało przybrać postać. Świat wciąż tkwi w barbarzyństwie. Sprawiedliwość, o której mówił Fank, z wielkim trudem ujrzała światło dzienne. Musimy spróbować za wszelką cenę - jak to powiedział: wytworzyć jej choć odrobinę więcej. Żegnaj, Flano.

Królowa popatrzyła na plecy odchodzącej pary, a w jej oczach zabłyśły łzy.

36 000,-

## Runestaff-Magiczna Łaska

*Ratuj się, kto może! — krzyknął Hawkmoon, ruszając wraz z d'Avercem biegiem ku relingom. Statek szarpnął, odskoczył w bok niczym żywa istota, a wszystkie sprzęty poleciały w stronę prawej burty. Potłuczeni, lecz nadal przytomni, dwaj przyjaciele poderwali się na nogi, zawahali przez moment, po czym skoczyli w czarną kąpiel oceanu.*

*Hawkmoon poczuł, że ciężar olbrzymiego mlecza ściga go na dno. Poprzez spienione fale dostrzegł sylwetki pływających ludzi, huk przyboju zdawał się ogłuszać. Nie wypuścił jednak z dłoni Mlecza Światła. Pograżając się powoli zdołał wsunąć go do pochwy, po czym zebrał wszystkie siły, by z dodatkowym obciążeniem wynurzyć się na powierzchnię.*

*W końcu wypłynął pośród fal. Pochwylił mroczny ciężar górującego nad nim statku. Morze znacznie się uspokoiło, wiatr ucichł niemal całkowicie, a huk przyboju zmienił w lekki szum. W miejscu rozbrzmiewającej jeszcze przed chwilą kakofonii zapanowała niezwykła cisza. Popytnął w kierunku płaskiej skały i po chwili wdrapał się na suchy ląd.*

*Spojrzał za siebie. Monstrualne stwory nadal zataczały nad nim kółka, ale wzbliły się wysoko, jakby nie chciały wleceć wywołując wiatru uderzeniami skrzydeł. Po pewnym czasie uniosły się jeszcze wyżej, zbliżyły w gromadę, a następnie zanurkowały ku falom, oddalając od wyspy.*

Wydrukowano na zlecenie: PRASA PRAZETIN



ISBN 83-7083-058-1

# SPIS TREŚCI

## KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział I - Epizod w Sali Tronowej króla Huona

Rozdział II - Ludzkie myśli hrabiny Flany

Rozdział III - Hawkmoon zmienia kurs

Rozdział IV - Orland Fank

Rozdział V - Miasto błyszczących cieni

Rozdział VI - Jehamia Cohnahlias

Rozdział VII - Dobrze znany podróżnik

Rozdział VIII - Ultimatum

Rozdział IX - Magiczna Laska

Rozdział X - Duch Magicznej Laski

Rozdział XI - Śmierć brata

## KSIĘGA DRUGA

Rozdział I - Szepty w sekretnej komnacie

Rozdział II - Rozmowa w pobliżu maszyny mentalnej

Rozdział III - Taragorm z Pałacu Czasu

Rozdział IV - Misja dla Meliadusa

Rozdział V - Flota w Deau-Vere

Rozdział VI - Powrót do Zamku Brass

Rozdział VII - Bestie wszczynają awanturę

Rozdział VIII - Wynalazek Taragorma

Rozdział IX - Narada Huona z dowódcami

Rozdział X - Przed północą

## KSIĘGA TRZECIA

Rozdział I - Uderzenia zegara

Rozdział II - Poczerniałe bagna

Rozdział III - Pobojowisko

Rozdział IV - Nowe hełmy

Rozdział V - Pięciu bohaterów i jedna bohaterka

[Rozdział VI](#) - Nieoczekiwany sprzymierzeniec

[Rozdział VII](#) - Bitwa o pałac Huona

[Rozdział VIII](#) - Flana obserwuje bitwę

[Rozdział IX](#) - Zabójstwo króla Huona

[Rozdział X](#) - Bohaterowie wyruszają

[Rozdział XI](#) - Różnorodne nowiny

[Rozdział XII](#) - Nowa królowa

[Rozdział XIII](#) - „Cóż widzisz?”

[Rozdział XIV](#) - Powrót mocy

[Rozdział XV](#) - Bramy Londry

[Rozdział XVI](#) - Ostatnia walka

[Rozdział XVII](#) - Smutna królowa